

BIULETYN IPN

nr 3 (24)/2014

# pamięć pl

**Zatrzymane  
cygańskie tabory**

**Rozstrzelany medalik**

**8 marca – dzień  
bez kobiet**

**Subkultura  
konspiratorów**

## Siedmiu z „Łączki”

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521  
nakład 10 500 egz.

**Dodatek specjalny:  
plakat na Narodowy  
Dzień Pamięci  
Żołnierzy Wyklętych**







**3 AKTUALNOŚCI IPN**

**4 KALENDARIUM**

**6 Z PIERWSZEJ STRONY**

**FELIETON**

**8** Krzysztof Gottesman, „Zośka”, „Rudy”, Justyna i Kamil oraz sondażowe procenty

**STOP-KLATKA**

**10** Robert Szcześniak, „Wyklęta” rodzina

**Z ARCHIWUM IPN**

**14** Grzegorz Wołk, Wyklęci wśród milicjantów

**WYWIAD**

**16** Historia się domknęła – rozmowa z Katarzyną Kuźniarską, antropologiem, uczestniczką prac poszukiwawczych na powązkowskiej „Łączce”

**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU**

**21** Tomasz Ceran, Rozstrzelany medalik

**25** Paweł Niziołek, Pod obcym niebem i nazwiskiem

**30** Sławomir Poleszak, Siedmiu z „Łączki”

**36** Karolina Wichowska, Znamy kolejne nazwiska z „Łączki”

**37** Piotr Jacek Krzyżanowski, Zatrzymane tabory

**41** Dom to klatka – rozmowa z Edwardem Dębickim, cygańskim muzykiem i poetą

**43** Natalia Jarska, Dzień bez kobiet

**Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO**

**46** Jan Olaszek, Subkultura konspiratorów?



Fot. Irena Jarosińska/Osrodek KARTA



Fot. PAP



Fot. AIPN



Fot. ze zbiorów T. Zawistowskiego



Fot. P. Życieński



Fot. AIPN



Fot. AIPN

**PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU**

**52** Jerzy Eisler, *Różyczka*

**ORZEŁ BIAŁY**

**55** Tomasz Zawistowski, Orły biżuteryjne produkcji Marcina Jarry

**Z BRONIĄ W RĘKĘ**

**59** Michał Mackiewicz, Arsenal pod Arsenalem

**PRZEMINĘŁO Z PEERELEM**

**62** Andrzej Zawistowski, Ładunek powrotny

**MIEJSCA Z HISTORIĄ**

**63** Katarzyna Dzierzbicka, Śladami „Alka”, „Rudego” i „Zośki”

**EDUKACJA HISTORYCZNA**

**68** Andrzej Lipson, Los Żołnierzy Wyklętych rzucony na stos... kart

**HISTORIA W KINIE**

**70** Jan Olaszek, *Ida*, czyli historia bez uproszczeń

**71 RECENZJE**

**73 BIBLIOTEKA IPN**

Szanowni Czytelnicy!

**W**niedawno opublikowanym w jednej z gazet codziennych wywiadzie pisarka Magdalena Tulli mówiła m.in. o patriotyzmie, nacjonalizmie, o tym, że nie jest łatwo być Polakiem. W rozmowie pojawiła się też „Inka” – jedna z Żołnierzy Wyklętych, siedemnastoletnia dziewczyna skatowana i zamordowana przez ludzi z komunistycznej bezpieki za to, że służyła jako sanitariuszka w oddziale ze zgrupowania „Łupaszk”. Dziennikarz – wyraźnie niebędący zwolennikiem kulturywowania pamięci o żołnierzach drugiej konspiracji – próbował wmanewrować rozmówczynię w oświadczenie potwierdzające jego światopogląd, przedstawiając takie zagadnienie: „Podczas marszu narodowców jeden z liderów mówił, że dziś wzorem dla młodych Polek powinna być Danuta »Inka« Siedzikówna, członkini antykomunistycznych oddziałów, która została rozstrzelana w wieku 17 lat. Jej ostatnimi słowami miało być »Niech żyje Polska!«. Nastolatki mają utożsamiać się z dziewczyną, która nie mogła się uczyć i bawić, tylko zmuszona była mieszkać w lesie i umykać obławom NKWD, a jej największym dokonaniem jest śmierć? To życie zmarnowane, a nie godne naśladowania”. Naiwne i głupie słowa dziennikarza – przecież nie sam ostatni okrzyk „Inki” świadczy o jej bohaterstwie ani nie to stanowi sedno jej życia i poświęcenia – dowodzą tego, jak wiele jeszcze jest do zrobienia w odkłamywaniu i upowszechnianiu wiedzy o historii najnowszej. Siedzikówna nie zmarnowała swojego życia (choć oprawcy je odebrali, zanim zdolała je w pełni wykorzystać), ale przez kilkanaście lat w trudnych czasach zdolała zrobić dużo więcej niż niejeden żurnalista po wojnie: narażając

życie, „umykając” po lesie przed obławami NKWD, opatrując rannych, a pojmana, mimo tortur nie zeznawała przeciwko swoim kolegom z oddziału. To jest postępowanie godne naśladowania, na tym powinni wzorować się dzisiejsi nastolatki. Ciekawe, jakie zdanie ma ów dziennikarz o sanitariuszce z Majdanu Oleski Żukowskiej, postrzelonej przez berkuckiego snajpera. Jest w podobnym co „Inka” wieku, podobnie też postrzega swój obowiązek, niosąc pomoc rannym z narażeniem własnego życia. Czy gdyby strzał był celniejszy, dziennikarz też uważałby jej życie za zmarnowane i niegodne naśladowania?

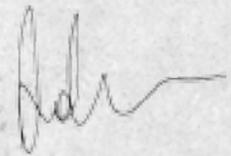
O Wyklętych, a szczególnie ich ostatnich chwilach, wiemy coraz więcej, m.in. za sprawą zespołu ekshumacyjnego kierowanego przez dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka. Działalność zespołu – poza oczywistym wymiarem poznawczym, historycznym, symbolicznym i moralnym – stanowi także niebagatelny wkład w upowszechnienie historii o Żołnierzach Wyklętych. O pracy nad wydobyciem i zidentyfikowaniem szczątków żołnierzy podziemia i emocjach jej towarzyszących opowiada antropolog Katarzyna Kuźniarska w rozmowie z Karoliną Wichowską. W przeddzień święta Żołnierzy Wyklętych poznaliśmy kolejne nazwiska pochowanych na „Łączce” (informacja w numerze), wśród nich znaleźli się oficerowie „Zapory”, którzy wspólnie ze swym dowódcą podjęli próbę przedostania się z komunistowanej Polski na Zachód. Historię mjr. Hieronima Dekutowskiego i jego towarzyszy broni, z których tylko jeden – Władysław Siła-Nowicki – nie trafił na „Łączkę”, opisuje Sławomir Poleszak.

Świadek tego, jak wygląda rzeczywistość w komunistycznym państwie, mogą dać m.in. Polacy wywiezieni na wschód. Paweł Niziołek przytacza historię jednego z nich, Ryszarda Pokropowicza, który na Syberii stracił rodzinę, narodowość i nazwisko. Na szczęście nie na zawsze.

W numerze przypominamy także o losach prześladowanej przez władze PRL grupy etnicznej, która nie pasowała do obrazu społeczeństwa socjalistycznego. Piotr Krzyżanowski opisuje, w jaki sposób komuniści próbowali przymusowo osiedlić Cyganów i jak walczyli oni o swoje tradycje i zwyczaje. Uzupełnieniem artykułu jest rozmowa z cygańskim artystą Edwardem Dębickim.

Redaktor naczelny

Andrzej Brzozowski



## pamięć.pl

Wydawca:

Institut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:

dr hab. Robert Klementowski,  
dr hab. Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski,  
dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski,  
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,  
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,  
dr Waldemar Wilczewski,  
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),  
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: dr Dawid Golik,  
Krzysztof Gottesman, Agnieszka Jaczyńska,  
dr Andrzej Krajewski, Jan Olszek,  
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,  
dr Magdalena Semczyszyn,  
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:

Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;  
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiowski,  
Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska  
tel. 22 431 83 47, faks 22 431 83 11

Korekta: Maria Aleksandrow

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,  
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,  
Warszawa

Adres do korespondencji:

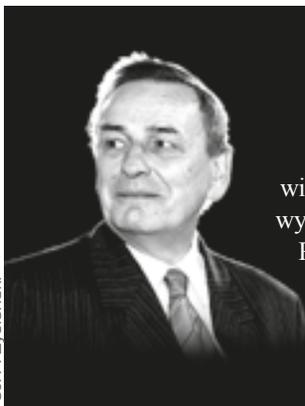
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa  
www.ipn.gov.pl

Druk: LEGRA sp. z o.o.

ul. Albatrosów 10c, 30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

Fot.: P. Zycieński



13 lutego 2014 roku zmarł

## Zbigniew Romaszewski

senator siedmiu kolejnych kadencji (1989–2011),  
wicemarszałek senatu (2007–2011), członek Trybunału Stanu,  
wybitny działacz opozycji demokratycznej – Komitetu Obrony  
Robotników i NSZZ „Solidarność”; wspólnie z żoną Zofią  
kierował Biurem Interwencyjnym KSS „KOR”,  
w stanie wojennym organizował podziemne  
Radio Solidarność; założyciel Komitetu Helsińskiego,  
uczestnik obrad Okrągłego Stołu.

■ Instytut Pamięci Narodowej uruchomił nowy **portal edukacyjny** <http://poszukiwania.ipn.gov.pl>, dotyczący poszukiwań ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956. Zawiera on informacje o ekshumacjach i identyfikacjach szczątków na podstawie badań DNA.

We wspomnianym okresie w Polsce wskutek terroru komunistycznego śmierć poniosło ok. 50 tys. osób. Znaczną część ofiar stanowili żołnierze podziemia niepodległościowego. Ich ciała grzebano anonimowo w miejscach do dziś w większości nieznanymi – na cmentarzach i w ich pobliżu, w okolicach siedzib aparatu bezpieczeństwa, w lasach i na poligonach wojskowych. Na portalu można znaleźć sylwetki osób, których szczątki udało się już odnaleźć i zidentyfikować, mapę Polski z oznaczonymi miejscami ekshumacji oraz zarys projektu „Poszukiwania nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”. Są tam także m.in. materiały fotograficzne i filmowe oraz przegląd informacji medialnych o projekcie.

Równocześnie wystartowała nowa odsłona **portalu** [www.slady.ipn.gov.pl](http://www.slady.ipn.gov.pl). Jest to część ogólnopolskiego programu „Śladami zbrodni”, którego celem jest gromadzenie i upublicznianie wiedzy o miejscach zbrodni komunistycznego aparatu represji z lat 1944–1956.



■ Do końca marca w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki przy ul. Marszałkowskiej 21/25 w **Warszawie** można oglądać **wystawę fotografii Piotra Życieńskiego „Cum tacent, clamant”** (łac. Milcząc, wołają).

Ekspozycja jest zapisem poszukiwań szczątków ofiar systemu komunistycznego, prowadzonych przez IPN w 2012 i 2013 roku w kwaterze „L” Cmentarza Wojskowego na stołecznych Powązkach. Prace te realizowano w ramach projektu „Poszukiwania nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”.



■ Oddział IPN w Katowicach ogłosił **konkursy na film i plakat poświęcone Henrykowi Sławikowi**. Ten pochodzący z Górnego Śląska dziennikarz, działacz społeczny i polityk w czasie II wojny światowej uratował na Węgrzech kilka tysięcy Żydów i pomógł dziesiątkom tysięcy polskich uchodźców. W konkursie „Henryk Sławik – bohater trzech narodów” mogą wziąć udział uczniowie szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych z województwa śląskiego. Termin składania prac upływa **30 kwietnia**. Zgodnie z regulaminem, każdy z uczestników może nadesłać dziewięćdziesięciosekundowy film, a w konkursie na plakat – maksymalnie trzy prace. Laureatów wyłoni komisja konkursowa, powołana przez naczelnika Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Katowicach. Do wygrania są nagrody rzeczowe.

Wszelkich informacji w sprawach związanych z konkursem udzielają Ewelina Małachowska (tel. 32 207 03 14, ewelina.janota@ipn.gov.pl) oraz Anna Skiendziel (tel. 32 207 03 13, anna.skiendziel@ipn.gov.pl). Regulamin konkursu na plakat wraz z kartą zgłoszeniową jest dostępny na stronie <http://ipn.gov.pl/obep-katowice/konkursy-historyczne/katowice-konkurs-na-plakat-henryk-slawik-bohater-trzech-narodow>, a regulamin konkursu filmowego – na stronie <http://ipn.gov.pl/obep-katowice/konkursy-historyczne/konkurs-filmowy-henryk-slawik-bohater-trzech-narodow>.

W tym roku przypada 120. rocznica urodzin i 70. rocznica śmierci Sławika. Z tej okazji Sejmik Województwa Śląskiego ogłosił rok 2014 Rokiem Henryka Sławika.

■ Delegatura IPN w Gorzowie Wielkopolskim zaprasza uczniów, studentów i pozostałych mieszkańców województwa lubuskiego do udziału w **konkursie „Jedno jedyne zdjęcie...”**. Zadaniem uczestników jest przejrzenie rodzinnych albumów i wybranie jednego zdjęcia lub sytuacyjnej serii maksymalnie pięciu fotografii pochodzących z XX wieku. Do zgłoszenia należy dołączyć esej historyczny przybliżający historię powstania fotografii oraz jej/ich treść. Esaj powinien konfrontować relacje rodzinne z innymi źródłami. Prace przyjmowane są **do 30 kwietnia**, a finał konkursu przewidziano na czerwiec. Nagrodzone prace posłużą do stworzenia unikalnej galerii fotograficznej opisującej losy mieszkańców regionu.

Regulamin konkursu i metryczkę pracy można pobrać na stronie <http://ipn.gov.pl/obep-szczecin/delegatura-ipn-w-gorzowie-wielkopolskim/konkursy-regionalne/gorzow-wlkp.-konkurs-historyczny-jedno-jedne-zdjecie>. Dodatkowych informacji udziela Jarosław Palicki (tel. 95 735 81 92, jaroslaw.palicki@ipn.gov.pl).

Organizatorami konkursu są Oddział IPN w Szczecinie i Lubuskie Kuratorium Oświaty w Gorzowie Wielkopolskim, wspierane przez wiele innych instytucji. Honorowy patronat nad konkursem objął wojewoda lubuski.

## POSTAĆ MIESIĄCA

**24 marca 1944:**

Za ukrywanie Żydów niemieccy żandarmi zamordowali polską rodzinę Ulmów.

Józef Ulma, rocznie 1900, był właścicielem kilkuhektarowego gospodarstwa w Markowej na Podkarpaciu. W czasie II wojny światowej zaangażował się w pomoc eksterminowanym przez Niemców Żydom. Prawdopodobnie w drugiej połowie 1942 roku przyjął pod swój dach ośmioro żydowskich uciekinierów z rodzin Szallów i Goldmanów. Pomógł też innej żydowskiej rodzinie wybudować

ziemią w pobliskim lesie, a następnie zaopatrywał jej mieszkańców w żywność i inne produkty. Po pewnym czasie ziemią odkryli Niemcy i zamordowali cztery ukrywające się w niej osoby. Ulmowie nie zostali jednak wydani – do czasu. Zadenuncjował ich prawdopodobnie Włodzimierz Leś – pochodzący z Galicji Wschodniej granatowy policjant, który zagarnął wcześniej majątek Szallów. 24 marca 1944 roku niemieccy żandarmi z posterunku w łańcucie rozstrzelali Józefa Ulmę, jego ciężarną żonę Wiktorię oraz szóstkę dzieci w wieku od półtora roku do ośmiu lat. Razem z Ulmami zginęli również wszyscy ukrywani przez nich Żydzi, w tym dwie kobiety i dziecko.

Jeszcze w trakcie wojny polskie podziemie wykonało na Włodzimierzu Lesiu wyrok śmierci. Joseph Kokott – jeden z niemieckich żandarmów, którzy brali udział w zbrodni w Markowej – stanął w 1958 roku przed Sądem Wojewódzkim w Rzeszowie. Został skazany na śmierć, ale wyrok zamieniono mu później na dożywocie. Pozostali żandarmi uniknęli sądu. W 1995 roku Józef i Wiktoria Ulmowie zostali pośmiertnie odznaczeni medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. To zaszczytne odznaczenie, przyznawane przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie za ratowanie Żydów w czasie II wojny światowej, otrzymało do tej pory już ponad 6,3 tys. Polaków. Od 2003 roku trwa proces beatyfikacyjny rodziny Ulmów.

**3 marca 1959:** Aleksander Szelepin, szef sowieckiego KGB, zalecił zniszczenie teczek personalnych ofiar zbrodni katyńskiej. Rekomendacja taka znalazła się w ściśle tajnej odręcznej notatce dla Nikity Chruszczowa, I sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Szelepin wspominał w niej o 21 857 polskich „oficerach, żandarmach, policjantach, osadnikach, obszarńnikach itp.”, rozstrzelanych przez NKWD w ZSRR w 1940 roku. Oceniał następnie, że akta tych osób „nie przedstawiają ani operacyjnego interesu, ani historycznej wartości”, a ujawnienie dokumentów mogłoby doprowadzić do niepożądanego dla Związku Radzieckiego następstwa. Szef KGB zaproponował więc, by materiały zniszczyć. Zachowane miały zostać jedynie protokoły posiedzeń tzw. trójki NKWD, która skazała Polaków na rozstrzelanie, i potwierdzenia wykonania jej decyzji. Do notatki dołączono projekt uchwały prezydium KC KPZR zezwalającej na zniszczenie teczek personalnych ofiar zbrodni katyńskiej. Nie ma jednak pewności, czy materiały te faktycznie zniszczono.

Jesienią 1992 roku Rudolf Pichoja, wysłannik prezydenta Rosji Borysa Jelcyna, przekazał prezydentowi RP Lechowi Wałęsie kopie notatki Szeleпина i innych dokumentów dotyczących zbrodni katyńskiej. Nie było wśród nich ani teczek osobowych ofiar, ani nawet protokołów posiedzeń trójki NKWD.



Fot. ze zbiorów M. Szpytmy

► Wiktoria i Józef Ulmowie

**7 marca 1984:** W Warszawie został aresztowany pisarz Marek Nowakowski, współpracownik podziemnego „Tygodnika Mazowsze”, autor głośnego *Raportu o stanie wojennym*.

Nowakowski studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. W roku 1952 był etatowym pracownikiem Związku Młodzieży Polskiej. Z czasem związał się z opozycją demokratyczną. W latach 1974–1989 był rozpracowywany przez Służbę Bezpieczeństwa w ramach sprawy o kryptonimie „Nowy”. W czasach rządów Edwarda Gierka podpisywał się pod krytycznymi listami do władz PRL, m.in. przeciwko planowanym zmianom konstytucji. W 1977 roku był współzałożycielem niezależnego pisma „Zapis”. Pod pseudonimem Seweryn Kwarce publikował opowiadania w paryskiej „Kulturze”. W roku 1980 wszedł do Zarządu Głównego Stowarzyszenia Literatów Polskich. Współpracował wówczas z NSZZ „Solidarność”. 13 grudnia 1981 roku został na kilka godzin zatrzymany i przesłuchany, ale uniknął internowania. Aresztowano go ponad dwa lata później. Zarzucono mu publikowanie oszczerczych tekstów na temat ustroju i organów władzy oraz utrzymywanie kontaktów z zagranicznymi ośrodkami „działającymi na szkodę PRL”. W obronie Nowakowskiego wystąpili znani twórcy, m.in. Leopold Tyrmand i Eugène Ionesco. W czerwcu 1984 roku pisarz został zwolniony, a jego sprawę umorzono wkrótce na mocy amnestii. Wielokrotnie był jednak zatrzymywany i przesłuchiwany.

W 2006 roku Marek Nowakowski został odznaczony przez prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

**10 marca 1944:** W Sahryniu na Zamojszczyźnie kilkuset ukraińskich mieszkańców zostało zamordowanych przez polskie podziemie. Był to odwet za wcześniejsze zbrodnie ukraińskich nacjonalistów.

We wsi Sahryń koło Hrubieszowa mieszkało wówczas ponad 250 rodzin, w ogromnej większości ukraińskich. W czasie niemieckiej okupacji znajdował się tu posterunek Ukraińskiej Policji Pomocniczej. Na początku 1944 roku we wsi powstał również oddział ukraińskiej samoobrony. W pierwszych dniach marca 1944 roku w hrubieszowskiej AK zapadła decyzja o partyzanckiej ofensywie przeciwko Ukraińcom. Uderzono początkowo na kilkanaście wsi. W Sahryniu, w obliczu polskiej przewagi, miejscowa samoobrona zbiegła z pola walki, a opór policjantów został szybko złamany. Wieś spalono, a kilkuset ukraińskich mieszkańców wymordowano. W wydarzeniach tych brali udział partyzanci Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. W następnych dniach polskie oddziały uderzyły na kolejne okoliczne miejscowości. „W sumie w ciągu kilku tygodni marca spalono kilkadziesiąt ukraińskich wsi, zabijając najpewniej około półtora tysiąca Ukraińców” – pisze dr hab. Grzegorz Motyka, autor książki *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”. Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947*. W latach 1943–1947 z rąk ukraińskich nacjonalistów zginęło ok. 100 tys. Polaków. Część polskich historyków odrzuca jednak tezę, że odwet na ukraińskich cywilach był usprawiedliwiony, i wydarzenia w Sahryniu uważa za zbrodnię wojenną. Innego zdania była Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Lublinie, która w 2010 i ponownie w 2013 roku umorzyła śledztwo w sprawie akcji sahrzyńskiej. Nie dopatrzonego się „znamion czynu zabronionego”.

**13 marca 1954:** W Warszawie zainaugurował działalność Studencki Teatr Satyryków.

Tego dnia odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne zespołu. Półtora miesiąca później – w Sali Domu Kultury „Energetyk” przy ul. Wybrzeże Kościuszkowskie 37 – miała zaś miejsce pierwsza premiera. Od 1956 roku STS występował w pałacyku Zuga przy al. Świerczewskiego 76b (dziś: Solidarności). „Amatorska grupa szybko stała się znaczącym głosem młodej inteligencji, wyprowadzając rodaków z dna beznadziei i stalinizmu” – ocenia krytyk teatralny i literacki Janusz R. Kowalczyk. Młodzi artyści – wśród nich Andrzej Jarecki i Agnieszka Osiecka

– „obnażali absurdy władzy i konformizm jednostek. Wyśmiewali bezsens pompacyjny styl oficjalnych akademii, ale i narodowe kompleksy. Odważnie komentowali aktualne problemy społeczne,



► Występ Studenckiego Teatru Satyryków, na zdjęciu m.in. Jacek Fedorowicz, Zofia Merle i Stanisław Tym

Fot. PAP/Reprodukcja

umiejętnie łącząc satyrę polityczną z liryką”.

Z czasem, zwłaszcza po likwidacji przez komunistyczne władze tygodnika „Po Prostu” (1957), STS zmagał się z coraz większymi ingerencjami cenzury. W 1972 roku został połączony z Teatrem Rozmaitości. Ostatnie przedstawienie na scenie przy al. Świerczewskiego odbyło się w marcu 1975 roku.

Studencki Teatr Satyryków należał – obok gdańskiego Bim-Bomu i krakowskiej Piwnicy pod Baranami – do najciekawszych w PRL inicjatyw tego typu. „Z STS-u wyszło wielu wybitnych artystów teatru, kabaretu i estrady” – pisze Kowalczyk.

Gościnnie występowali tu również twórcy już wcześniej dobrze znani: aktorzy Andrzej Łapicki, Kalina Jędrusik i Zbigniew Zapasiewicz czy piosenkarka Sława Przybylska.

**14 marca 1964:**

Pisarz Antoni Słonimski złożył w kancelarii premiera PRL tzw. List 34. „Ograniczenia przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrożenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej” – alarmowali sygnatariusze, powołując się na prawo do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji.

„Był to pierwszy publiczny protest środowisk inteligenckich przeciwko polityce partii w dziedzinie kultury” – zauważa w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr hab. Adam Dziurok. Pod listem podpisali się nie tylko twórcy dystansujący się od komunizmu (np. Stefan Kisielewski czy Melchior Wańkowicz), lecz także tacy, którzy w czasach stalinowskich wspierali władzę (jak Jerzy Andrzejewski czy Adam Ważyk).

List wywołał gniewną reakcję kierownictwa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Przeciwko sygnatariuszom rozpętano kampanię propagandową. Część z nich spotkała się z dodatkowymi szykanami: wstrzymano im wyjazdy zagraniczne, opóźniono druk książek, nie pozwolono publikować w prasie codziennej. Wańkowicz – któremu zarzucono współpracę z Radiem Wolna Europa – został nawet skazany na 3 lata więzienia (ostatecznie w areszcie spędził kilka tygodni). By zminimalizować wydźwięk Listu 34, władze zainspirowały wystosowanie tzw. kontrlistu, pod którym podpisało się ok. sześćuset literatów.

**31 marca 1939:**

Wincenty Witos powrócił do Polski z emigracji politycznej.

Od młodości był związany z ruchem ludowym. Zasiadał w galicyjskim Sejmie Krajowym (1908–1914) i austriackiej Radzie Państwa (1911–1918). Jesienią 1918 roku stanął na czele Polskiej Komisji Likwidacyjnej, przejmującej władzę w zachodniej części zaboru austriackiego. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości był posłem na Sejm Ustawodawczy, a następnie Sejm I, II i III kadencji. Przed długi czas szefował umiarkowanemu Polskiemu Stronnictwu Ludowemu „Piast”, a od 1931 roku reprezentował władze Stronnictwa Ludowego. W najtrudniejszym okresie wojny z bolszewikami i w pierwszych miesiącach pokoju (1920–1921) kierował Rządem Obrony Narodowej. W 1923 roku ponownie objął funkcję premiera. Centroprawicowy gabinet upadł jednak po kilku miesiącach, a jego bilans obciążają zwłaszcza krwawe starcia wojska i policji z robotnikami, do których doszło w Krakowie, Tarnowie i Boryslawiu. Trzeci rząd Witos, utworzony w 1926 roku, został obalony w wyniku zamachu majowego Józefa Piłsudskiego. W następnych latach Witos działał w opozycji, stając się jednym z liderów Centrolewu. W 1930 roku został aresztowany przez władze sanacyjne i na ponad dwa miesiące osadzony w twierdzy brzeskiej. Wkrótce z powodów politycznych został skazany na 1,5 roku więzienia. Uniknął kary, udając się na emigrację do Czechosłowacji. Krótko przed II wojną światową powrócił do kraju i 17 maja 1939 roku stanął na czele opozycyjnego Stronnictwa Ludowego. W czasie okupacji odmówił współpracy z Niemcami. Był więziony, a później przebywał w areszcie domowym. W 1945 roku został wybrany na prezesa niezależnego od komunistów PSL. Gdy zmarł po długiej chorobie, żegnały go tłumy.



Fot. Leon Jarumski/NAC

► Wincenty Witos (1874–1945), kawaler Orderu Orła Białego

Fot. Władysław Miernicki/NAC



► Antoni Słonimski

# GAZETA LWOWSKA

20 marca 1921 roku

Wielkie musiało być zaskoczenie publiczności zgromadzonej w Teatrze Wielkim w Warszawie, kiedy prezes Rady Ministrów Wincenty Witos zwrócił się do niej tymi słowami: „W niezwykłych cokolwiek okolicznościach chcę podać do wiadomości fakt pierwszorzędnej doniosłości. Doniesiono mi urzędowo, że delegacja nasza pokojowa w Rydze o godz. 9 wieczorem [18 marca 1921 roku] położyła podpis swój pod sprawiedliwym traktatem pokojowym po zwycięsko zakończoną wojnie. Próba sił narzucona naszemu Państwu dzięki męstwu żołnierza i wytrwałości narodu należy do przeszłości. Fakt ten historycznego dla Polski i dla całego świata znaczenia podaję do wiadomości z uczuciem głębokiego zadowolenia, które niewątpliwie podziela cały naród polski”. Te spontaniczne słowa szefa rządu, przywitane gromkimi owacjami i okrzykami na cześć m.in. Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, przytoczyła „Gazeta Lwowska” w numerze 65 z 20 marca 1921 roku. W dalszych słowach redakcja dziennika przybliżyła czytelnikom długą i skomplikowaną drogę do podpisania traktatu pokojowego między Polską o bolszewicką Rosją: „Na ziemiach polskich krwawiły się dwie wrogie armie, a równocześnie rząd bolszewicki trzymał się stale wypróbowanej taktyki przewleknięcia i utrudniania komunikacji naszych delegatów z Warszawą. W podobnych warunkach wyczerpać się musiała w końcu cierpliwość i polska delegacja pokojowa wróciła z niczym do kraju”. Zmieniająca się sytuacja na froncie, m.in. zwycięska Bitwa Warszawska i pogrom bolszewików w Małopolsce Wschodniej, doprowadziła jednak do zawarcia upragnionego pokoju. „Gazeta” podkreśliła na koniec: „Delegacja polska wraca z Rygi z pełnym poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Dzisiaj obowiązkiem całego narodu, który w chwili niebezpieczeństwa umiał stworzyć zwarty front obronny, staje się stworzenie wewnętrznego frontu pracy pokojowej dla dobra, świetności i znaczenia światowego Rzeczypospolitej. Że taki front stworzyć potrafimy – nikt nie wątpi”.

10–16 marca 1946 roku

„Szczęśliwy kraj. Sto trzydzieści lat bez wojny. – Oaza dobrobytu, ustabilizowane stosunki gospodarcze, polityczne i materialne mieszkańców – oto dzisiejsza Szwecja” – pisał Marian Woydyłło w „Przekroju” numer 48 z 10–16 marca 1946 roku. Tymi słowami otwierał artykuł *W darze od Szwecji*, w którym z aptekarską dokładnością wyliczał pomoc, jaką dla wyniszczonej wojną Polski zorganizowała Sekcja Polska Państwowego Szwedzkiego Komitetu Pomocy Międzynarodowej. Pieniądze na odbudowę zniszczonych szpitali i ich wyposażenie, szczepionki, lekarstwa, aktywne wsparcie szwedzkich lekarzy – to wszystko musiało robić olbrzymie wrażenie na czytelnikach. Tym bardziej że Szwedzi szczególną opieką otoczyli dzieci, wśród których znajdowały się tysiące sierot. „Dla najmłodszych z nich rząd szwedzki dostarczył już do dyspozycji rządu polskiego 200 ton pełnotłustego mleka sproszkowanego oraz 1500 »baby« kompletów ubrankowych. – Niezależnie od tego Szwecja zgromadziła 200 ton używanej odzieży, oddanej przez społeczeństwo szwedzkie dla Polski w drodze ogólnokrajowej zbiórki. Pierwsze transporty tej odzieży, obejmujące obuwie, bieliznę i ubrania wierzchnie, nadeszły już do Polski i zostały rozładowane w portach w Gdyni i Gdańsku” – pisał Woydyłło. Podkreślał przy tym, że Szwedzi udzielili niezbędnej pomocy przybyłym do ich kraju tysiącom Polaków, wśród których przeważały kobiety z niemieckich obozów koncentracyjnych, z Ravensbrück. Artykuł wzbogacały zdjęcia przedstawiające kolumnę samochodów rozwożących dary, które spełniwszy swoje zadanie, miały zostać ofiarowane polskiemu rządowi, a także polskich robotników, którzy pod kierownictwem szwedzkich inżynierów wznosili pod Warszawą tzw. szwedzkie domki. W następnych latach służyły one budowniczym Pałacu Kultury i Nauki. Do dziś można je oglądać na Osiedlu Przyjaźń na warszawskich Jelonkach.

## W DARZE OD SZWECJI



# GAZETA BIAŁOSTOCKA

Organ Bielski, Włoszowski, Policki, Koniński, Partii Robotniczej  
Wydawca: Bielski, Włoszowski, Policki, Koniński, Partii Robotniczej  
Miejscowość: Bielski, Włoszowski, Policki, Koniński, Partii Robotniczej

## DLA UCZCZENIA PAMIĘCI WIELKIEGO STALINA Szybciej przeprowadzą siewy wiosenne spółdzielcy i chłopi indywidualni

30 obywateli z gminy Żoplin rozpoczęli prace  
zobowiązani i chłopi indywidualni



## Braterskie słowa są sławi polscy robotnicy do swych towarzyszy i

14–15 marca 1953 roku

Śmierć Józefa Stalina spowodowała lawinę różnorodnych zobowiązań podejmowanych przez polskich rolników i robotników. „Gazeta Białostocka”, organ Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w numerze 63 z 14–15 marca 1953 roku postanowiła przybliżyć czytelnikom kilka z nich. I tak na przykład „dla uczczenia pamięci Wodza i Nauczyciela mas pracujących całego świata, spółdzielcy z Trzeciewca [w województwie bydgoskim] postanowili tegoroczną wiosenną kampanię siewną przeprowadzić w ciągu 10 dni, czyli o pięć dni wcześniej, niż przewidywał ich plan. Poza tym zobowiązali się oni znacznie zwiększyć stan pogłowia bydła, trzody i drobiu. Niezależnie od tego członkowie tej spółdzielni wybudują systemem gospodarczym nową chlewnię oraz powiększą o 5 ha sad owocowy”. Spółdzielnie produkcyjne z kilku pozostałych województw, w tym m.in. z gdańskiego i rzeszowskiego, w swoich zobowiązaniach nie pozostawały w tyle. Do grona składających zobowiązania dołączyli także rolnicy indywidualni: „Treścią ich zobowiązań jest przede wszystkim szybkie i staranne przeprowadzenie wiosennej kampanii siewnej, rozwój gospodarki hodowlanej oraz terminowe wypełnienie wszystkich obowiązków wobec państwa. Mieszkańcy Popówka Włoszciańskiego w pow. łowickim woj. łódzkiego postanowili dokonać zasiewów wiosennych o 5 dni wcześniej, niż początkowo planowali. Aby uzyskać jak najwyższe plony, siewy przeprowadzą oni wyłącznie siewnikami oraz kwalifikowanym, dobrze zaprawionym ziarnem”. Czytając te rewelacje, można odnieść wrażenie, że w roku 1953 rolnicy mieli w swoich gospodarstwach czynić niemal same cuda, niekiedy wbrew naturze. No, ale takie to wtedy były czasy.

# ni nowiny jeleniogórskie

Wydruk 2272  
25 marca 1987 r.  
Cena 30 zł

Nr 12 (1219), rok XXX  
PL 1987, rok 40.022  
Dr Jelenia 34022

25 marca 1987 roku

W numerze 12 z 25 marca 1987 roku redakcja „Nowin Jeleniogórskich” starała się poprawić nie najlepszy wizerunek funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej. Miał temu służyć wywiad z por. Władysławem Greberem, zastępcą szefa Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Jeleniej Górze. Greber scharakteryzował podstawowe zadania urzędu, a także zwrócił uwagę na jego kadry: „Kandydatom do pracy w MO stawiamy bardzo wysokie wymagania. Muszą mieć żelazne zdrowie i nienaganą opinię. Nikt z rodziny nie może być karany. Proces wychowania [a nie wykszolenia!] pełnowartościowego funkcjonariusza trwa prawie 3 lata (włącznie z roczną szkołą podoficerską). Samo włożenie munduru nie robi z człowieka w pełni wyspecjalizowanego stróża prawa”. Wspomniał także o problemach, z którymi musi się zmagać w codziennej pracy. „Faktem jest, że dysponuję samochodami nysa i uaz, które w górzystym terenie spełniają swoje funkcje, ale w działaniach pościgowych nie zdają egzaminu. Czy można bowiem takim samochodem ścigać uciekającego przestępcę jadącego mercedesem lub porsche?” – pytał retorycznie. Porucznik był jednak dobrej myśli, gdyż jeleniogórski tabor był stopniowo wymieniany na „samochody szybsze i operatywniejsze”, wśród których znalazły się... polonezy i fiaty 125p. Porucznik Greber, niczym filmowy por. Borewicz, pełnił służbę 24 godziny na dobę. Z braku telefonu zorganizował sobie nawet w mieszkaniu radiostację, dzięki której był w stałym kontakcie ze swoimi podwładnymi. „Z pracy do domu wracam w mundurze, dlatego dużo osób wie, iż jestem milicjantem i w razie jakiegoś nagłego wypadku przychodzą do mojego domu z prośbą o pomoc” – podkreślał z dumą. Szkoda tylko, że w rozmowie, zatytułowanej *Nie jestem radykałem*, nie wspomniał ani słowem o jeszcze innych działaniach podejmowanych przez urząd, zresztą nie tylko ten z Jeleniej Góry, a mianowicie o bezwzględnej walce prowadzonej z opozycją polityczną.

## Jeszcze 1 dla urzecz Przedwojny

## Nie jestem radykałem



dr Mariusz Żuławnik – historyk,  
naczelnik Wydziału Informacji i Sprawżeń BU/AD IPN

## Powitanie wiosny – s

# „Zośka”, „Rudy”, Justyna i Kamil oraz sondażowe procenty

Krzysztof Gottesman



Rys. A. Szafrański

Znowu było głośniejsze o naszym polskim patriotyzmie. Jeden powód to niedawny Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, inny – sukcesy Kowalczyk, Stocha i Bródki na igrzyskach olimpijskich w Soczi. A niektórzy być może pamiętają także badania demoskopijne dziennika „Rzeczpospolita” właśnie na temat patriotyzmu.

**C**o z tego wynika? Bardzo wielkie pomieszanie, przede wszystkim. Pojęć, postaw, interpretacji. Jedno jest pewne: patriotyzm jest ciągle obecny w naszej świadomości. Spieramy się, jaki powinien być, w czym i kiedy się przejawiać. Szukamy go w różnych miejscach. Pamięć o Żołnierzach Wyklętych, mocniej i wyraźniej z każdym rokiem eksponowana i publicznie czczona, pokazuje, że walka o wolność, powojenna walka z komunizmem, również ofiary stalinowskiego terroru znajdują miejsce w polskiej pamięci zbiorowej. Tworzą podstawy współczesnej świadomości zbiorowej. Liczne grupy młodzieży, nie tylko kibice piłkarscy, lecz także uczniowie i studenci, widzą w Żołnierzach Wyklętych, ich wyborach i postawach, wzory dla siebie. Kiedy rok temu obejrzałem film dokumentalny *Kwatera „L”* Arkadiusza Gotębiewskiego, największe wrażenie zrobiły na mnie młode dziewczyny, uczestniczki prac ekshumacyjnych na Powązkach. W bardzo

współczesny sposób, dzisiejszym językiem opowiadały o ludziach, których teraz przyszło im poszukiwać, odkopywać i identyfikować. W tym strasznym zajęciu potrafiły znaleźć coś optymistycznego. Zachowując proporcje, były jak „Zośka”, „Rudy” i „Alek”, którzy w najczarniejszych czasach pamiętali o przyjaźni, dziewczynach, wierszach. Czy też – jak młodziutki Marek Edelman, pragnący miłości w getcie.

Patriotyzmu szukaliśmy też w innym miejscu, w Soczi na igrzyskach olimpijskich. Chętnie braliśmy na siebie zwycięstwa Justyny Kowalczyk, Kamila Stocha i Zbigniewa Bródki. Wygrywali nie oni lub nie tylko oni. – Mamy złoty medal! – wołali sprawozdawcy, mówili komentatorzy, politycy od prawa do lewa, ludzie w autobusach. Wygrywała Polska, my wszyscy. My wszyscy stawaliśmy się lepsi, więksi. Odwoływaliśmy się nie tylko do talentów, ciężkich treningów, poświęcenia. Wielu z nas bliższe było poczucie wspólnoty, więzy krwi.

Spore poruszenie wywołało badanie opinii publicznej przeprowadzone niedawno przez dziennik „Rzeczpospolita” właśnie na temat patriotyzmu. Wyniki wielu oburzyły i zasmuciły. Myślę, że nie do końca słusznie. Co pokazał sondaż? Że 40 proc. dorosłych Polaków nie jest dziś gotowych czegokolwiek poświęcić dla Polski. Zdrowie lub życie gotów jest oddać tylko co piąty z nas, a poświęcić szczęście osobiste – mniej niż co dziesiąty. To bardzo mało – mówili niektó-

rzy. Brakuje nam idealów, państwo jest w kryzysie i nie budzi zaufania – dodawali. Jest w tym zapewne sporo prawdy, ale chyba nie cała. Dla mojego pokolenia magiczna pozostaje liczba dziesięciu milionów członków Solidarności. Tyłu nas było w ciągu szesnastu miesięcy legalnej działalności związku przed stanem wojennym. Mieliśmy być siłą, której nic nie ruszy. Łączył nas – mówiono – patriotyzm. Czy kiedy po trzynastym grudnia wielu – ba! ogromna większość – na długie lata zamknęło się w domach, znaczyło to, że zatracili swój patriotyzm? Nigdy bym takiej odpowiedzi nie udzielił. Chciałbym tylko, żebyśmy z większą ostrożnością odwoływali się do patriotyzmu. Z większą odpowiedzialnością i po głębszym przemyśleniu.

Pamiętam, gdy jako bardzo młody chłopiec, ale już coś rozumiejący, poszedłem do szewca oddać do podzeleniania buty. Wstrząsnął mną wiszący na ścianie dyplom mistrzowski z roku 1942. – Jak to – myślałem – jest wojna, okupacja, łapanki, getto – a ktoś zajmował się butami?! Po latach, na studiach, przegła-

dałem w bibliotece wychodzące w czasie okupacji po polsku gazety. Gadzinówki. Uwagę moją zwróciły dziesiątki, jeśli nie więcej ogłoszeń drobnych. Było w nich, to jasne, świadectwo okupacji, biedy, wyprzedawania wszystkiego za grosze, by przeżyć, może wysłać paczkę do obozu, może dać łapówkę Niemcowi. Ale było też coś więcej: świadectwo toczącego się mimo wszystko życia. Kilka lat później, w 2003 roku, gdy mój starszy bliski kolega obchodził sześćdziesiątą rocznicę ślubu rodziców w kościele Świętego Krzyża w Warszawie i opowiadał o jadącym do rożkami orszaku ślubnym, do głowy mi nie przyszło, by źle o nich pomyśleć. Patrząc z tej perspektywy, procenty przedstawione w badaniach „Rzeczpospolitej” wyglądają już inaczej.

Dla mnie pretekstem do myślenia w marcu o patriotyzmie na zawsze pozostanie marzec 1968 roku. Patriotyzm był wówczas odmienny

przez wszystkie przypadki, od rana do wieczora. Niestety, w najgorszym nacjonalistycznym i ksenofobicznym kontekście. I niestety – w tej antysemickiej formie – ciepło przyjęty przez znaczną część społeczeństwa. Było to jedno z nielicznych, jeśli nie jedyne porozumienie, jakie komuniści zawarli ze społeczeństwem. Jak dziś chcielibyśmy patrzeć na marcowy patriotyzm? Czy to w ogóle był patriotyzm?

Za dużo patriotyzmu, za dużo martyrologii – słyzy się czasem z różnych stron. Pomijając to, że patriotyzm i martyrologia to zgoła nie to samo, można odpowiedzieć, że nie da się polskiej historii opowiedzieć bez martyrologii. A bez patriotyzmu nie ma wspólnoty. Tyle że trzeba być z nim i odwoływaniem się do niego bardzo ostrożnym. Nie szafować ponad miarę i zbyt często. Nie wierzyć też ani w wielkie liczby, ani składane deklaracje. Jedne i drugie dają mylny obraz. ■

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



# „WYKŁĘTA” RODZINA

Robert Szcześniak

Po 19.00 w drzwiach celi zgrzytnął klucz. Strażnicy wyprowadzili wysokiego, chudego mężczyznę. Więziennymi korytarzami dotarli do piwnicy domku gospodarczego więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Prokurator, ppłk Jakub Lubowski, odczytał wyrok, jednocześnie informując, że prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Następnie, w imieniu Polski Ludowej, st. sierżant Aleksander Dreja, kat więzienia mokotowskiego, strzelił więźniowi w potylicę. O 19.55 lekarz więzienny, Kazimierz Jezierski, stwierdził jego zgon.

**O**fiarą egzekucji przy Rakowieckiej był por. Lucjan Minkiewicz „Wiktor”. Kilkanaście minut później w identyczny sposób zginęli: ppłk Antoni Olechnowicz „Pohorecki”, mjr Zygmunt Szendziarż „Łupaszka”, kpt. Henryk Borowski „Trzmiel” – skazani w tym samym procesie co „Wiktor”. Na oddziale kobiecym więzienia mokotowskiego przebywała wówczas jego żona – Wanda Minkiewicz „Danka”.

W kwietniu 1945 roku Wanda Czarnecka, wówczas dwudziestotrzyletnia dziewczyna, namówiona przez przyjaciółkę, przyłączyła się do operującej na Białostocczyźnie V Wileńskiej Brygady mjr. Zygmunta Szendziarza „Łupaszki”. Major przydzielił Wandę, jako sanitariuszkę, do oddziału por. Zygmunta Błazejewicza „Zygmunta”. Poznała tam o cztery lata starszego por. Lucjana Minkiewicza „Wiktora”, zastępcę „Zygmunta”. „Wiktor” był doświadczonym konspiratorem i partyzantem, który wal-

kę o niepodległość Polski prowadził od września 1939 roku (w partyzantce od 1943 roku). Między młodymi ludźmi związała się bliższa znajomość i 25 listopada 1945 roku wzięli ślub w kościele parafialnym we wsi Pobikry w powiecie bielskopodlaskim.

Wanda Minkiewicz, sanitariuszka, brała udział we wszystkich akcjach szwadronu „Zygmunta”, niosąc pomoc nie tylko rannym partyzantom, ale również rannym strony przeciwnej, co szczególnie podkreślał jej obrońca podczas procesu. W październiku 1945 roku „Zygmunt” wraz z kilkoma żołnierzami opuścił oddział i przedostał się na Zachód. Obowiązki „Zygmunta” przejął „Wiktor”. W grudniu 1945 roku Wanda odeszła z oddziału i zamieszkała u gospodarzy współpracujących z podziemiem antykomunistycznym na terenie powiatu bielskopodlaskiego. W tym czasie Lucjan Minkiewicz dalej działał w partyzantce, ale powoli w jego oczach kontynuacja zbrojnego oporu traciła sens. Pisał o tym w liście do żony: „Wiesz, że Cię jedynie Kocham i chciałbym zawsze z Tobą przebywać, ale mi warunki na to nie pozwalają. Naprawdę zostawiłbym już to wszystko, ale gdy pomyślę, że zrobiłbym tak samo jak ci, których zawsze potępiałem, wolę przeżywać męki rozstania, wolę zginąć z honorem, niż narazić się na podobne powiedzenie [...]. Widzę, jak Ty się męczysz, czuję to, ale nie mogę Ci pomóc i to mnie dobija do reszty [...]. Gdyby to się już nareszcie wszystko skończyło, naprawdę wtedy bylibyśmy szczęśliwi. Wiesz, że wtedy, gdy byłem chory, prosiłem Boga, aby coś się ze mną stało takiego, bym musiał pozostać dłużej na

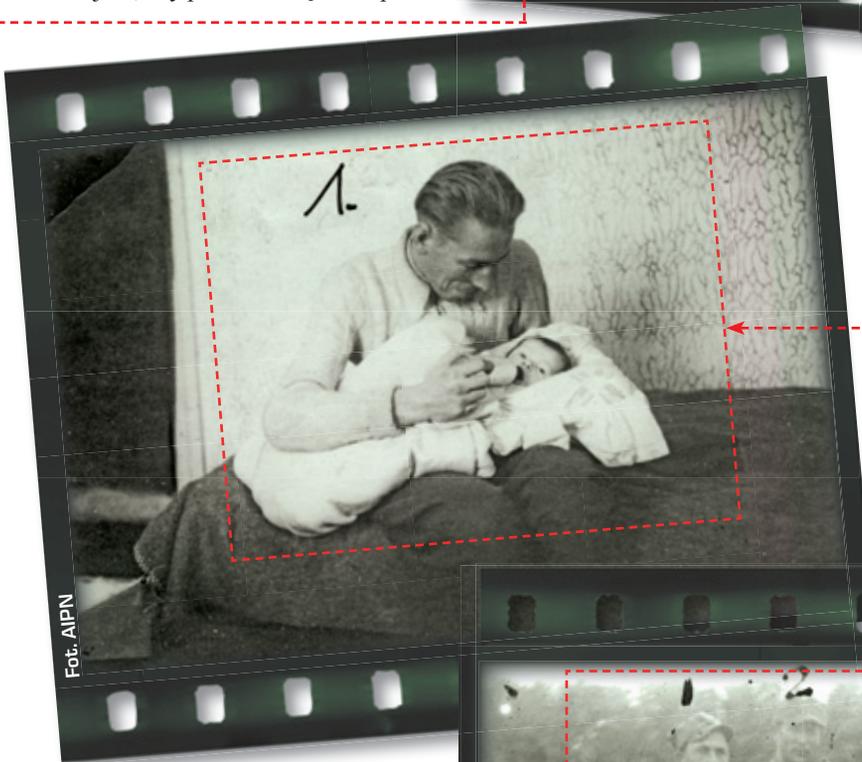


kuracji, gdyż moglibyśmy wtedy przebywać razem”.

Na wiosnę 1946 roku zreorganizowano V Wileńską Brygadę. Major Szendzielarz z częścią sił przeniósł się na północ, a oddział „Wiktora” – jako VI Wileńska Brygada – pozostał na Białostocczyźnie. Wanda, mimo że była w ciąży i pozostawała poza oddziałem, na prośbę męża jeździła jako łączniczka na Mazury i Pomorze, na spotkania z „Łupaszka”. W maju 1946 roku, w czasie jednego z takich spotkań, prosiła majora, aby pozwolił mężowi opuś-



Fot. AIPN



Fot. AIPN

kiewiczowie przebywali do lata 1947 roku. W tym czasie, mimo opuszczenia oddziału, Lucjan pozostawał w ścisłym kontakcie zarówno z „Łupaszka”, jak i z „Młotem”. W sierpniu 1947 roku rodzina Minkiewiczów przeniósł się do Wrocławia, gdzie zamierzali rozpocząć normalne życie. Wrocławski epizod Lucjana i Wandy trwał do czerwca 1948 roku. W tym czasie Wanda pracowała w administracji działu transportu Centrali Rybnej, a **Lucjan zajmował się synem**. Nie wiedzieli, że bezpieka prowadziła ▶

cić oddział. „Łupaszka” nie zgodził się. „Wiktor” – mimo wyrzutów żony oraz pogarszającego się stanu zdrowia – jako człowiek ideowy i odpowiedzialny za podległych ludzi pozostawał w oddziale do października 1946 roku. Miesiąc wcześniej Wanda urodziła syna – Andrzeja. Później jej zły stan zdrowia spowodował, że na przełomie października i listopada „Łupaszka” bezterminowo urlopował „Wiktora”. Jego funkcję objął kpt. Władysław Łukasiuk „Młot”. Lucjan wyjechał do Zakopanego, gdzie na początku grudnia przyjechała również Wanda z synem. W Zakopanem Min-



▶ Grupa żołnierzy V Wileńskiej Brygady; pierwszy z prawej Lucjan Minkiewicz „Wiktor”; kłęcząca pierwsza z lewej Wanda Minkiewicz „Danka”

intensywne prace, których efektem była wielka akcja o kryptonimie „X”, mająca na celu rozbicie wileńskiej konspiracji.

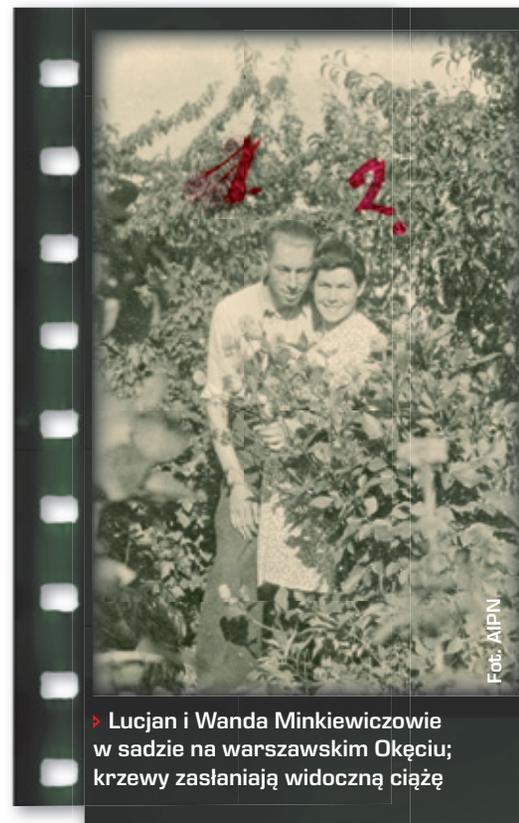
Pod koniec czerwca do mieszkania Minkiewiczów we Wrocławiu zapukali funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Nie zastali w domu Lucjana, a Wandy z nieznanymi powodów nie aresztowali. Minkiewiczowie opuścili pospiesznie Wrocław i przenieśli się do Krakowa, do siostry Lucjana. W jej mieszkaniu 1 lipca 1948 roku zostali aresztowani. Przewieziono ich do Warszawy i osadzono w więzieniu przy ul. Rakowieckiej. W tym czasie Wanda była w czwartym miesiącu ciąży. Synem Andrzejem zaopiekował się brat Lucjana, chłopiec nie wrócił już potem do rodziców.

Rozpoczęło się wielotygodniowe śledztwo – długie przesłuchania, bicie. „Wiktor” znalazł się w niezwykle trudnym położeniu. W zamian za pomoc w aresztowaniu „Młota” ubecy obiec-

wali mu łagodny wyrok i ochronę dla żony oraz dzieci. W przypadku odmowy straszono, że los ich będzie jeszcze gorszy niż do tej pory. Lucjan Minkiewicz odmówił współpracy. Równie trudną decyzję musiała podjąć Wanda.

7 listopada 1948 roku urodziła córkę. Po pół roku musiała oddać dziecko. Miała do wyboru: albo oddać je do domu dziecka, albo poprosić kogoś z rodziny o opiekę. Ostatecznie małą Ewą zaopiekowała się jej ciotka Weronika Bajer, zamieszkała na warszawskim Okęciu.

30 listopada 1948 roku prokurator przedstawił Minkiewiczom zarzuty. Śledztwo trwało jednak jeszcze do 12 stycznia 1950 roku. Tego dnia zapoznano ich z jego wynikami i, wobec braku z ich strony chęci uzupełnienia przedstawionego materiału, wydano decyzję o jego zakończeniu. 23 października 1950 roku rozpoczął się proces.



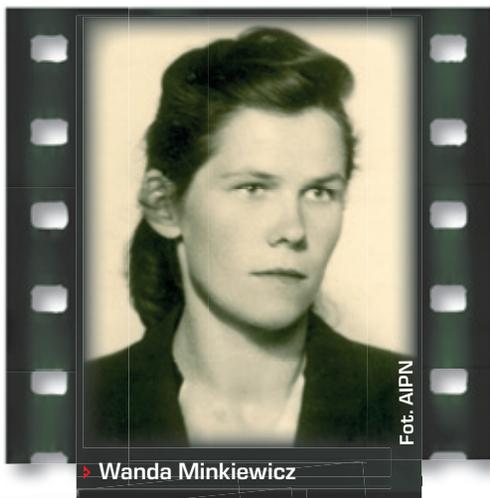
► Lucjan i Wanda Minkiewiczowie w sadybie na warszawskim Okęciu; krzewy zasłaniają widoczną ciążę

Obok Minkiewiczów na ławie oskarżonych zasiedli: ppłk Antoni Olechnowicz „Pohorecki”, mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupasza”, kpt. Henryk Borowski „Trzmiel” oraz Lidia Lwow „Lala”. Po siedmiu dniach Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie, pod przewodnictwem sędziego mjr. Mieczysława Widaja, wydał wyrok. Olechnowicza, Szendzielarza, Borowskiego i Minkiewiczza skazano na karę śmierci, Lidię Lwow – na karę dożywotniego więzienia, Wandę Minkiewicz zaś – na 12 lat pozbawienia wolności. Apelacja oraz prośba o łaskę do prezydenta Bolesława Bieruta nie przyniosły zmiany wyroku. Po tym, jak 5 lutego 1951 roku Bierut nie skorzystał z prawa łaski, los oskarżonych był przesądzony. Wyrok wykonano 8 lutego 1951 roku.

Nie wiadomo, czy Wanda dowiedziała się o śmierci męża od razu. Pewne jest, że 10 października 1951 roku otrzymała pisemną informację, iż w przypadku jej męża prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Swój wyrok Wanda Minkiewicz odbywała w więzieniach w Grudziądzu, Fordonie i Inowrocławiu. Tam odwiedzały ją ciotka z córką Ewą. W 1956 roku na fali „odwilży” wyrok Wandy najpierw został zmniejszony do ośmiu lat, a na-



► Na wycieczce na Gubałówkę; siedzą od lewej: Lucjan Minkiewicz „Wiktor” z synem Andrzejem, Wanda Minkiewicz „Danka”, Janusz Rybicki „Kukułka”, Mieczysław Jankowski „Miecio”



▶ Wanda Minkiewicz

Fot. AIPN



▶ Wanda Minkiewicz z synem Andrzejem

Fot. AIPN

STOP-KLATKA

13

„bandyckiej” przeszłości. Scenariusz taki powtarzał się w kolejnych latach jeszcze kilkakrotnie. W 1987 roku Wanda Minkiewicz doznała wylewu, który przykuł ją do łóżka. Pod troskliwą opieką córki dożyła 2001 roku.

W latach dziewięćdziesiątych Wanda i Lucjan Minkiewiczowie zostali zrehabilitowani, a w 2007 roku pośmiertnie odznaczeni przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego: Lucjan – Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Wanda – Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Ciało Lucjana Minkiewicza prawdopodobnie zostało wrzucone do wspól-

nej mogiły na „Łączce” na warszawskich Powązkach. W 2013 roku zespół dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka z IPN odnalazł tam szczątki mjr. Zygmunta Szendzielarza, pplk. Antoniego Olechnowicza i kpt. Henryka Borowskiego. Należy więc mieć nadzieję, że wkrótce zostaną zidentyfikowane – i spoczną w rodzinnym grobie – również szczątki Lucjana Minkiewicza „Wiktora”.

**Robert Szcześniak** – starszy kustosz archiwalny w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



▶ Lucjan Minkiewicz

Fot. AIPN

stępnie na mocy amnestii zwolniono ją z więzienia. Wraz z córką zamieszkała w Gdańsku. Udało jej się zdobyć pracę, ale po paru miesiącach została zwolniona, ponieważ bezpieka poinformowała kierownictwo zakładu o jej



▶ W domu w Zakopanem; od lewej: Antoni Czarnecki „Odyniec” – łącznik między „Wiktorem” a Władysławem Łukasiukiem „Młotem”, Wanda Minkiewicz „Danka”, Lucjan Minkiewicz „Wiktor”

Fot. AIPN



▶ Grupa żołnierzy VI Wileńskiej Brygady; pierwszy z prawej stoi Władysław Łukasiuk „Młot”, obok niego Wanda i Lucjan Minkiewiczowie

Fot. AIPN

**Jednym z głównych powodów powstawania oddziałów Żołnierzy Wyklętych był, oprócz niezgody na komunizację Polski, brak innej możliwości. Komunistów nie interesowały żadne kompromisy. „Wrogowie ludu” mieli zginąć w lesie lub szczytną w kazamatach więzień NKWD i UB.**

**P**rzesuwający się za frontem i oddziałami Armii Czerwonej polscy komuniści byli zbyt słabi, by samodzielnie sięgnąć po władzę. Było ich niewielu i pomimo chwytliwych haseł społecznych, jak walka z biedą i nierównościami, nie cieszyli się wśród Polaków dużym poparciem. Podobnie było z komunistyczną partyzantką – nieliczną, słabo wyszkoloną, a często... bandyczką. Niewiele było takich regionów, jak np. Kielecczyzna, gdzie stanowiła znaczącą siłę. Jak pokazują badania prowadzone przez Piotra Gontarczyka, w jej szeregach było wielu zwyczajnych przestępców, którym dawała ona swoisty parasol ochronny.

Brzmi to niewiarygodnie, ale komunistyczni partyzanci częściej zajmowali się grabieniem okolicznych dworów i polowaniem na ukrywających się przed Niemcami Żydów niż walką z okupantem. Jest to o tyle istotne, że zaraz po wojnie ci ludzie tworzyli trzon „ludowej” Polski. W aureoli bojowników o wolną Polskę zostawali starostami, komendantami i milicjantami oraz brutalnymi funkcjonariuszami urzędów bezpieczeństwa. Była to nowa elita, która w przeciwieństwie do tej skupiającej się w Armii Krajowej rzadko nadawała się do obejmowania powierzanych im stanowisk.

Bywały jednak regiony, gdzie zaraz po przejściu linii frontu aktywizowała się podziemna administracja oraz ujawniali żołnierze AK, którzy zgodnie z założeniami akcji „Burza” mie-

li witać Sowietów w roli gospodarzy. Niestety, kończyło się to dla akowców aresztowaniem. Jednak wielu z nich, nie ujawniając swojej przeszłości, tworzyło posterunki Milicji Obywatelskiej i dbało o spokój i porządek na podległym im terenie. Funkcjonariusze NKWD i miejscowi „bezpieczniacy” nie byli w stanie dokonać natychmiastowej weryfikacji. Ludzie z AK, by zorientować się w planach nowego okupanta, przenikali nawet w szeregi UB.

Polska powojenna była, jak to trafnie ujął Marcin Zaremba, krajem „wielkiej trwogi”. Jednak w okolicach, gdzie posterunki MO obsadzono byłymi partyzantami AK, było znacznie bezpieczniej niż tam, gdzie rządząli komuniści.

Akowska milicja to stan przejściowy i dość krótki. Z czasem „bezpieka” opanowywała także terenowe ogniwia władzy. Kontrola nad „siłowymi” resortami, czyli wojskiem, urzędami bezpieczeństwa i milicją, należała do bezwzględnych priorytetów w krajach zajmowanych przez Armię Czerwoną. Jeden z budowniczych aparatu represji na Mazowszu, wówczas porucznik, Aleksander Jałkowski, wspominał, jak w styczniu 1945 roku obejmował stanowisko szefa UB w Rembertowie, gdzie NKWD zorganizował obóz dla żołnierzy AK: „Byliśmy zmuszeni na wstępie rozwiązać powstałą *ad hoc* milicję akowską, trzeba było włączyć się w proces uruchamiania administracji miejskiej i życia gospodarczego miasteczka, zapewnić wspólnie z radzieckimi i polskimi organami wojskowymi ład i bezpieczeństwo”. To, co dla Jałkowskiego oznaczało „porządk”, było najzwyczajniejszym aresztowaniem i mordowaniem osób, które nie godziły się z nową, tym razem sowiecką, okupacją ziem polskich. Ci, którym udało się uniknąć aresztowania, mieli trzy wyjścia: uciekać na Zachód przez coraz szczelniejsze granice; ujawnić się w momencie amnestii i liczyć na szczęście, by nie zostać aresztowanym pod fikcyjnymi zarzutami, np. współpracy z Niemcami; iść „do lasu”, czyli dołączyć do licznych na przełomie

1944 i 1945 roku oddziałów partyzanckich wywodzących się z AK.

Prezentowany dokument pokazuje powojenny tragizm żołnierzy Armii Krajowej. Wstępowali oni do milicji lub sami tworzyli posterunki i dbali, wykonując rozkazy, o ład i bezpieczeństwo lokalnych społeczności. Mianowany przez Józefa Stalina szefem polskiej bezpieki Stanisław Radkiewicz stwierdzał natomiast jasno, że „wrogów ludu” trzeba się pozbyć. Co charakterystyczne, w prezentowanym rozkazie nie wspomina on, by akowcy łamali prawo lub nie wykonywali swoich zadań. Wystarczyło, że stanowili „element politycznie niepewny”. Pozbawiony emocji rozkaz nie oddaje tego, czym był w istocie dla wyrzucanych ze służby milicjantów. Tym z przeszłością w AK niejednokrotnie nie dawał innej możliwości niż powrót do partyzantki. W owym czasie często wierzono, że to stan przejściowy, że niebawem wybuchnie III wojna światowa. Schronienie w lesie okazało się dla wielu miejscem pobytu przez wiele lat. Osaczeni przez oddziały Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i UB, mieli małe szanse przeżycia.

Doskonałym przykładem braku wyboru jest los partyzantów działających pod dowództwem Józefa Kurasia „Ognia” na Podhalu. Kuraś podczas wojny współpracował z partyzantką sowiecką, a pod jej koniec zaakceptował nawet rządu zdominowanego przez komunistów Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Następnie został mianowany zastępcą szefa UB w Nowym Targu. Gesty czynione wobec nowej władzy na długo mu jednak nie pomogły. Zagrożony aresztowaniem, uciekł „do lasu”, a wraz z nim wielu jego wojennych towarzyszy broni, którzy *de facto* obsadzali do marca 1945 roku niemal wszystkie posterunki MO na Podhalu. Podjęli oni heroiczną, ale skazaną na porażkę walkę z nowym wrogiem, czyli Sowietami i rodzimymi komunistami. ❀

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego – istniejący od 21 lipca do 31 grudnia 1944 roku samowzaurczy rząd polski, utworzony przez komunistów na polecenie Józefa Stalina; działał na terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną, a jego siedziba mieściła się w Lublinie

Pierwotna paginacja nadana w momencie archiwizowania w Biurze „C” MSW

Fot. AIPN

Najwyższa klauzula tajności

Ścisła Tajna

Chodziło głównie o żołnierzy Armii Krajowej, którzy często tworzyli lokalne posterunki MO i po przejściu linii frontu dbali o porządek na danym terenie

ROZKAZ WEWNĘTRZNY Nr.2  
KIEROWNIKA RESORTU BEZPIECZENSTWA PUBLICZNEGO P.K.W.N.  
Komenda Główna Milicji Obywatelskiej gen. Witoldowi

33

Konspiracyjny pseudonim Franciszka Józwiaka (1895–1966), żołnierza Legionów Polskich, przedwojennego komunisty, od 1942 roku członka Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej i szefa sztabu Gwardii, a następnie Armii Ludowej, w latach 1944–1949 komendanta głównego MO

Dnia 19.10.1944r.

Data wytworzenia dokumentu

Wobec licznych przejawów braku dyscypliny w szeregach Milicji Obywatelskiej i wobec ujawnionych wypadków przedostania się w szeregi Milicji Obyw. elementów wrogich  
r o z k a z u j ę  
1. Przeprowadzić gruntowne oczyszczenie szeregów Milicji Obywat. na całym terenie.  
Usunięciu z szeregów Milicji Obyw. podlega element politycznie niepewny, niedyscyplinowany oraz osoby, które okazały się nies-  
dolne do pełnienia służby milicyjnej.

Wojsko Polskie – mowa o 1. i 2. Armii WP, które były kontrolowane przez komunistów

Tym mianem określano osoby, które nie podzielały komunistycznego światopoglądu

2. Celem uszdrowienia szeregów Milicji Obywatelskiej i odpowiedniego uzupełnienia ich, niezbędnym jest wycofanie ze służby w Mil. Ob. oszanjaniej 50% składu osobowego spośród byłych partyzantów i przekazanie ich oszczędowo do W.P., oszczędowo do W.W.

W szeregi MO wstępowali niekiedy kryminaliści, dla których była to sposobność do dalszego łamania prawa i zapewnienia sobie bezkarności

3. Dla uzupełnienia Milicji Ob. należy wejść w kontakt z Dowództwem W.P. i pewien kontyngent żołnierzy i podoficerów w wieku 30–40 lat, szczególnie z 1-szej i 2-giej P.D.P. przenieść do służby w Milicji Obyw.

Powszechną praktyką było tworzenie posterunków MO z miejscowych partyzantów, ale z uwagi na to, że większość z nich nie była związana z komunistami, starano się ich później pozbyć z milicji

4. Należy niezwłocznie przystąpić do formowania i szkolenia Milicji Obywatelskiej dla terenów jeszcze okupowanych.

5. Konkretny plan wykonania niniejszego rozkazu należy ni przedstawić do dnia 23 b.s.

Wojska Wewnętrzne – decyzją z marca 1945 roku przekształcone w Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego; były to jednostki wojskowe podległe Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, których głównym zadaniem było zwalczanie oddziałów partyzantki niepodległościowej

KIEROWNIK RESORTU BEZPIECZENSTWA PUBL.

1-1 St. Radkiewicza

1. i 2. Polska Dywizja Piechoty – jednostki wojskowe utworzone z Polaków przebywających w ZSRR w maju 1943 roku; tzw. berlingowcy byli od samego początku indoktrynowani i bacznie obserwowani przez komunistów; zdarzało się, że żołnierzy i oficerów podejrzewanych o sympatie wobec AK i rządu polskiego na emigracji rozstrzeliwano; tych, którzy przeżyli wojnę, uważano za „pewniejszych ideologicznie”

Komunistom udało się pozbyć „wrogiego elementu” w MO, jednak nie nastąpiło to tak szybko, jak zakładał Radkiewicz, proces ten trwał następnych kilkanaście miesięcy

Stanisław Radkiewicz (1903–1987) – przedwojenny działacz komunistyczny, do końca 1944 roku kierownik Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie (do 1954 roku) minister bezpieczeństwa publicznego

# Historia się domknęła

**Nawet jeśli świetnie zna się historię stalinizmu, to dopiero bezpośrednie zetknięcie z dowodami zbrodni tego okresu pozwala uświadomić sobie, czym ten system był – mówi **Katarzyna Kuźniarska**, antropolog, uczestniczka prac poszukiwawczych na powązkowskiej „Łączce”, w rozmowie z **Karoliną Wichowską****

**Na czym polega rola antropologa podczas poszukiwań szczątków?**

Do kart medycznych wpisujemy stan uzębienia, wiek, płeć, urazy – czyli wszystko, co może pomóc w identyfikacji. Pobieramy też próbki DNA. Wszystko to robiłam podczas pierwszych tego typu prac na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Na powązkowskiej „Łączce” rzecz wygląda inaczej. We Wrocławiu mieliśmy do czynienia z pojedynczymi grobami – każda osoba była pochowana w osobnej drewnianej skrzyni. W Warszawie w jednej jamie chowano po kilka osób – dwie, najczęściej trzy, a nierzadko nawet po osiem czy dziewięć,

w dodatku bez trumien. Dlatego musiałam od początku być na miejscu, żeby już w momencie eksploracji, czyli odnajdowania szczątków, jak najdokładniej oddzielić od siebie te osoby; żeby każde szczątki zachowały integralność.

**To się zawsze udaje?**

Niestety nie. Jest to szczególnie trudne w przypadku drobnych kości, np. nadgarstków czy paliczków dłoni. Jeżeli np. w sześcioposobowej jamie trzy osoby leżały w jedną stronę, a trzy w drugą, to ich dłonie zazwyczaj spotykały się w połowie. Drobne kości przeważnie się rozsypują. Jeśli dłonie były ułożone na klatce piersiowej, która z czasem staje się pustą przestrzenią, zsypywały się na jeden stos. Naszym – antropologów – zadaniem jest dostarczenie kości medykom sądowym. Jeśli ponad wszelką wątpliwość ustalimy, że określone kości należą do jednej osoby – oczywiście wciąż nie wiemy, do kogo z imienia i nazwiska – wkładamy je do jednej skrzyni-trumny i opisujemy, np. szczątki numer 1, jama 4. Kości, których nie jesteśmy w stanie przyporządkować do konkretnej osoby, zanosimy medykom w dodatkowym pojemniku lub woreczku strunowym i opisujemy tylko numerem jamy.



**Jeśli jednak widzi Pani szansę na przyporządkowanie kości do konkretnej osoby, ale nie ma pewności – jak wówczas Pani to weryfikuje?**

Bardzo często proszę o konsultację kolegów, np. medyków sądowych. Cały czas pracujemy zespołowo. Nikt z nas nie jest wyrocznią zdolną do odpowiedzi na każde pytanie – one bywają naprawdę trudne. Konsultacje są potrzebne zwłaszcza przy skomplikowanych jamach. Pamiętam np. taką, w której ogółem zakopanych było sześć osób, w ten sposób, że najpierw pogrzebano trzy osoby, potem je zasypano, a następnie, w formie wąskiego szybu, jeszcze raz rozkopano i dorzucono kolejne trzy osoby. Były one w układzie nieanatomicznym, zwinięte, skulone. Odslanianie zwłok, które zostały pochowane prawie pionowo, to niezwykle trudne zadanie. Trzeba stopniowo zdejmować kolejne warstwy ziemi. Konsultacje w takich sytuacjach są bardzo wskazane.

**Co jeszcze utrudnia właściwe przyporządkowanie szczątków?**

Zły stan ich zachowania, który z kolei zależy od warunków glebowych. Kości pięćdziesięcioletnie mogą być zachowane dużo gorzej niż tysiącletnie, jeśli były zakopane w glebie bardziej wilgotnej i mniej spoiściej. Na stan zachowania wpływa też obecność gliny, piasku i różnych rodzajów roślin. Może się zdarzyć, że dosłownie kilka metrów od kości bardzo dobrze zachowanych znajdziemy kości w fatalnym stanie. Lepiej też zachowują się zwłoki pochowane w okresie zimowym, bo wtedy przed egzekucją ludzie byli ubrani w tkaniny o grubszym splocie. Identyfikację na pewno utrudnia fakt, że groby są masowe. Zwłoki często były splątane ze sobą. Wypracowaliśmy więc metodę polegającą na stopniowym odslanianiu zwłok. Najpierw dokumentujemy samą górę tej mogiły (opisujemy ułożenie szczątków, robimy rysunek i zdjęcie), następnie podejmujemy pierwsze szczątki i dopiero potem dokumentujemy kolejne warstwy. Masowe groby nie zawsze też umożliwiają pracę przy szerokopłaszczyznowym wykopie. Oznacza to, że czasami musieliśmy schodzić po drabinie do wąskich szybów. Bez pomocy z zewnątrz nie było jak stamtąd wyjść.

**Aż strach wchodzić w takie miejsce.**

Szczerze mówiąc, byłam tak skupiona na zadaniu, które miałam do wykonania, że nawet niespecjalnie myślałam o niebezpieczeństwie czy dyskomforcie. Chociaż faktycznie, to, że tam na dole jest mało tlenu, daje się we znaki.

**Tym bardziej że na powierzchni skwar, bo prace były w lecie.**

Drugi etap był w maju ubiegłego roku, pierwszy w lipcu 2012 i wtedy, za pierwszym razem, rzeczywiście było bardzo upalnie. Do tego musiałam mieć strój ochronny i maskę i długo byłam pochylona nad szczątkami. W takich warunkach konieczne było w dodatku maksymalne skupienie.



Fot. Daniel Moroz

**Katarzyna Kuźniarska** (ur. 1983) – antropolog i archeolog, doktorantka w Zakładzie Antropologii Wrocławskiego Uniwersytetu Przyrodniczego. Uczestniczy w pracach zespołu pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka, zajmującego się poszukiwaniem i identyfikacją genetyczną szczątków ofiar komunizmu.

**I to przez kilkanaście godzin dziennie.**

Czasami tak. Od siódmej rano tak długo, jak trzeba. Nie mogliśmy przecież zostawić kości na słońcu, bo wysoka temperatura niszczy materiał DNA. W skrajnych przypadkach, w których jama wymagała więcej niż jednego dnia pracy, przykrywaliśmy szczątki folią i dodatkowo zabezpieczaliśmy płytą.

**Trzeci etap prac będzie jeszcze trudniejszy, bo będzie wymagał przedostania się pod istniejące już nagrobki. To dużo bardziej niebezpieczne niż praca w głębokim i wąskim szybie.**

Dotychczas zdarzały się już sytuacje podobne do tych, które będą nas czekać w trzecim etapie. Profil glebowy na Powązkach jest specyficzny: pod spodem, tam gdzie są wykopane jamy, jest piasek. Został on zasypany ciężką, spoiistą ziemią – trochę gruzu, trochę gliny. Taki materiał nasiąka deszczem i przygniata piasek. Jest więc duże prawdopodobieństwo, że wykop może się zarwać. Dlatego te wykopy są szalowane, co oznacza, że pracujemy pod metalowymi rurami. Z dwóch stron ustawia się płyty. Żeby dostać się do szczątków, trzeba się przeczołgać pod rurami. To trochę niewygodne, ale nie ma innego sposobu. Każdy z nas miał więc już do czynienia z ryzykiem, bo właściwie każdy widział, że gdzieś na „Łączce” się zarwał wykop, ale jak dotąd nic nikomu się nie stało, bo szalunki są pod szczególną kontrolą i ochroną przed wejściem osób postronnych. Zdarzało się natomiast, że za szalunkiem znajdowaliśmy kolejną jamę grobową, do której już nie mogliśmy dotrzeć. Jeśli więc chcieliśmy podjąć bodaj jedną drobną kość, żeby chociaż pobrać materiał DNA, musieliśmy sięgać ręką, tak daleko, jak tylko się dało, albo wręcz włożyć tam głowę.

### Wcześniej miała Pani w swoim życiu zawodowym podobnie wyczerpujące fizycznie doświadczenia?

Nie, na cmentarzu Osobowickim było zdecydowanie łatwiej, tam wykopy były szerokie i praca w nich była dość wygodna. Na Powązkach, nawet jeśli wykop jest szerszy, to wciąż jest niebezpieczeństwo, że może się zasypać. Mało tego, nikt tak naprawdę nie zna historii tego miejsca. Nie mamy żadnej mapy, na której np. byłby układ rury, która nagle nie wiadomo skąd tam się wzięła, chociaż wcale jej tam nie powinno być. Nie wiemy, gdzie się kończą, a gdzie zaczynają pochówki osób, których szukamy. Nie wiemy, dlaczego w jednym miejscu nie ma ich wcale, a w innym są w bardzo dużym zagęszczeniu. Nigdy nie możemy się spodziewać, na co natrafimy. Czasami wydaje się, że będą cztery osoby obok siebie, tak jak w poprzednich kilku rządach, a tu się okazuje, że jest jedna. Odtwarzamy więc też historię „Łączki”, zarówno w głąb, jak i w płaszczyźnie.

### Od początku Państwa ekipa wiedziała, że prace na Powązkach będą szczególnie trudne. Ale czy przyszedł taki moment, w którym rzeczywistość przerosła oczekiwania? Na przykład z powodu fizycznego zmęczenia.

Trudności fizyczne oczywiście są uciążliwe. Na początku człowiek ma dużo energii, wie, że uczestniczy w czymś ważnym, i to dodaje skrzydeł. Jest też oczywiście trudność polegająca na tym, żeby maksymalnie się skupić. Bo jeśli konkretnie na mnie, w tej jamie grobowej, spoczywa taka odpowiedzialność, żeby wykonać pracę najdokładniej, jak się da, to nie myślę o niczym innym. Nie zauważam nawet, że ktoś obok stoi, choćby to był pan minister, który przyszedł nas odwiedzić i zobaczyć, jak nam idzie. Kiedy ktoś zawołał, żebym się odwróciła, byłam w szoku, że w ogóle ktoś obok jest. Takie skupienie, praca na najwyższych obrotach, też przez dłuższy okres, są męczące. Czasami zresztą nawet nie było chwili, żeby cokolwiek zjeść, bo chcieliśmy jak najszybciej uporać się z pracą i jej nie przerywać. Choć prof. Szwagrzyk zawsze dbał o to, żebyśmy zdążyli coś przekąsić, wręcz przeganiał nas ze stanowisk i zobowiązywał się ich popilnować. Bywało jednak, że i jego apele nie skutkowały, bo byliśmy zaabsorbowani pracą i nawet nie myśleliśmy o tym, żeby zjeść, wypić czy nawet skorzystać z toalety. Efekt bywał w związku z tym taki, że po całym dniu pracy musieliśmy się na pół godziny położyć i dopiero potem wziąć prysznic, chociaż zdawałoby się, że kąpiel to w takiej sytuacji czynność pierwszej potrzeby. Jednak to, co najbardziej mnie zaskoczyło, to emocje, jakie mi towarzyszą. W tych masowych grobach pochowani są ludzie, których śmierć nie była spokojna, pochówek nie był należyty. Wiele informacji antropolog jest w stanie odczytać z kości, ale przecież są i takie zdarzenia – choroby, tortury, głód – które śladów na kościach nie zostawiły. Wcale nie jest łatwo zostawić w domu takie uczucia, jak empatia, współczucie, poczucie grozy, która towarzyszyła tym ludziom, gdy ich torturowano i skazywano na śmierć.

### Co można wyczytać z kości?

Niektóre obrażenia. Na przykład to, że ktoś przez dłuższy czas próbował chodzić na złamanej kości udowej. Albo to, że ktoś żył z kulą, która utkwiała w kości, z potworną przetoką ropną. Albo ze złamaną żuchwą czy otwartym ropniem w przewodzie słuchowym. Mimo tak ciężkich stanów ci ludzie nie umarli z wycieńczenia, tylko zginęli od kuli, o czym świadczy otwór z tyłu czaszki. Ta świadomość ich strasznych przeżyć jest przytłaczająca, bardzo oddziałuje na wyobraźnię. Do masowości, chociaż ona wciąż robi na nas wrażenie, mimo wszystko zdążyliśmy przywyknąć. Dużo trudniejsze jest oddzielenie emocji, wynikających z zetknięcia z ogromnym cierpieniem, od technicznego wykonania zadania. Wrażenie robi też sam fakt, że wszystkie te szczątki zastajemy *in situ*, czyli w takiej pozycji, w jakiej zostały zakopane kilkadziesiąt lat temu, i w tym samym



Fot. P. Żywieński

➤ Zespół archeologów pracujących w Kwaterze „Ł”, Warszawa 2013 rok

miejscu. Medycy sądowi dostają szczątki już oczyszczone, w pojemniku, nie oglądają ich zakopanych w ziemi. Wreszcie znaczenie ma też samo oglądanie, dzień w dzień przez miesiąc, tak dużej skali zagłady swojego gatunku. To musi zostać gdzieś w człowieku. Można na co dzień normalnie pracować i funkcjonować, ale ślad zawsze zostaje. Jakiś czas po pracach na „Łączce” wyjechałam na zupełnie inne wykopaliska, dotyczące średniowiecza. Szczątki, które znajdowaliśmy, należały do ludzi, którzy spokojnie sobie żyli i spokojnie pomarli. Wieczorem, po pracy, wspólnie oglądaliśmy telewizję. Akurat był wyświetlany *Katyn* Andrzeja Wajdy. Obejrzałam film prawie w całości. Ale podczas jednej z ostatnich scen, kiedy oficerowie są rozstrzeliwani w piwnicy, po prostu musiałam wyjść z pokoju. Zrobiło mi się niedobrze. Od czasu pracy na „Łączce” nie mogę patrzeć na takie sceny. Nigdy nie przypuszczałam, że rodzaj pracy, którą wykonuję, może odcisnąć na mnie aż takie piętno. Zawsze uważałam, że świetnie się do niej nadaję psychicznie. Bo na miejscu, podczas poszukiwań, pracuję maksymalnie profesjonalnie.

**Spodziewała się Pani kiedykolwiek, że przyjdzie jej brać udział w wyjaśnianiu historii najnowszej, wciąż żywej?**

Nie. Propozycja dołączenia do zespołu prof. Szwagrzyka była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. I było to zaskoczenie pozytywne, cieszę się, że mogę zdobyć tak cenne doświadczenie zawodowe. Dzięki pracom na Osobowicach doświadczenie zdobywaliśmy stopniowo. Tam np. nauczyliśmy się już po spojrzeniu na jedną kość, np. przedramienia, oceniać, w jakiej pozycji zostały położone zwłoki – twarzą do ziemi czy do góry. Muszę też przyznać, że chociaż wcześniej wiedziałam, jak wyglądała powojenna historia Polski, to dopiero bezpośrednie zetknięcie się z dowodami



Fot. P. Życieński

► Katarzyna Kuźniarska prezentuje medalik z wizerunkiem Matki Boskiej Kodeńskiej, znaleziony przy zwłokach; takie znalezisko może pomóc przy identyfikacji

daje pełny obraz tej grozy. Były dwa momenty, które mnie szczególnie poruszyły.

Pierwsza sytuacja miała miejsce jeszcze na Osobowicach. W jednej z jam grobowych znalazłam szkielet – nieduży, kobiecy. Wyglądało na to, że buty, które były na nogach, należały do starszej pani, pasowały do wiekowej ciotki czy babci. Wcześniej zawsze więzień polityczny kojarzył mi się z kimś silnym i roslym. Jego buty powinny być raczej ciężkie, masywne. A tu – krucha starsza kobieta w starożytnych trzewikach. Co ona mogła zrobić swoim oprawcom? Powiedzieć coś, co im się spodobało? To od razu przywołało mi na myśl dzieci, które niekiedy brano do więzienia wraz ze skazanymi rodzicami. Znalazłam kiedyś taką gromadkę pochowaną wraz ze zwłokami mężczyzny. One nie umarły tego samego dnia. Czekają, aż kolejno zostaną dorzucone do tej jamy grobowej. Dorzucone! To okropne. Mówi się: „metoda stalinowska”. Polega ona na zamykaniu w więzieniu wraz z całą rodziną. Ale co to oznacza w praktyce? Życie tych rodzin często było złamane, nawet przez kilka pokoleń...

Drugi tak wstrząsający dla mnie moment był już na Poważkach. Pracowałam kiedyś przez dłuższy czas w jednej jamie grobowej, ośmio- czy dziewięcioosobowej, i zaczęłam już odsłaniać szczątki. W pewnym momencie zauważyłam, że wokół czaszki są kawałki węgla. Od razu skojarzyłam to z książką Małgorzaty Szejnert *Śród żywych duchów*, w której autorka pisała o tym, że według relacji świadków zwłoki skazanych z Rakowieckiej były wywożone drewnianym wózkiem, takim, jakim wozi się węgiel. Połączyłam fakt znany mi z literatury przedmiotu z tym, co właśnie znalazłam. Wrażenie było piorunujące. Historia się domknęła. A ten kawałek węgla – czy jego pyłki, które znajdowaliśmy potem w innych jamach – najdobitniej pokazuje, jak stalinowscy oprawcy odczłowieczali swoje ofiary.

Fot. P. Życieński



► Ślad po pocisku, którym zamordowano jedną z ofiar pochowanych na „Łączce”

### Emocje na pewno wzrastają, kiedy na miejscu prac pojawiają się rodziny osób, których szczątki Pani podejmuje.

Początkowo miałam podejście obronne: nie chcę znać żadnych faktów, nazwisk – poza tymi najgłośniejszymi, i tak powszechnie znanymi z historii – żadnych szczegółów ani dat. Nie chciałam pytać, czy przyszła do nas córka tej osoby albo brat tamtej. Po prostu chciałam ograniczyć emocje, żeby móc profesjonalnie wypełnić swoje zadanie. Ale tak się nie dało. Rodziny przychodziły, a my byliśmy łącznikiem między nimi a tymi, których oni tyle lat nie mogli znaleźć, nie wiedzieli, gdzie są pochowani, wielokrotnie tracili nadzieję, że uda im się odszukać bliskich. Między nami tworzyła się jakaś niesamowita więź. Wielu przychodziło więcej niż tylko raz.

Szczególnie zapamiętałam państwa Borychowskich, rodzeństwo, i pana Witolda Mieszkowskiego, który już od wielu lat poszukuje ojca. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie pani Maria Romer, dziewięćdziesięcioletnia dama, która przyszła do nas w upalny dzień. Przypuszczam, że dla niej to wyjście musiało być równie męczące, jak dla mnie czy dla Pani byłaby wyprawa do Australii. Przyszła, żebyśmy mogli pobrać od niej DNA, żeby z materiału genetycznego jej syna wykluczyć część żeńską i poszukiwać tylko jego związku z ojcem. Była szczęśliwa, że pobranie próbki od niej też może pomóc w identyfikacji, bo myślała, że DNA żony nie przyda się w badaniach. Bardzo miło też wspominałam rodzeństwo Pileckich. Dla mnie poznanie wszystkich tych osób było wielką przyjemnością. Ale dla nich nasze prace to część rodzinnej tragedii. Nie wszyscy chcą publicznie pokazywać swoje emocje z tym związane, nie wszyscy chcą wracać do tych historii, bo jakoś przez lata się z nimi uporali, pozamy-

kali je. Wielu jednak chce się dowiedzieć prawdy za wszelką cenę, mają wielką odwagę.

1 sierpnia, kiedy bardzo wielu warszawiaków przychodzi na Powązki, było coś w rodzaju dnia otwartego. Mieliśmy za zadanie pomóc poruszać się po polu cmentarnym, jeśli ktoś chciał je w tym dniu odwiedzić. Z powodu naszych prac nie było dostępu do kilku symbolicznych grobów i mieliśmy postawić na nich znicze, w razie gdyby ktoś specjalnie po to przyjechał. I rzeczywiście, przyszedł pewien pan ze zniczem, a po nim starsza pani. Zapytałam ją, czy chce zapalić świeczkę pod pomnikiem ofiar, czy na jakimś konkretnym grobie. Ta pani się wtedy popłakała i dopiero potem dotarło do mnie, jak niestosownie mogło zabrzmieć moje pytanie: jak mogłam zapytać o konkretny grób, skoro może go jeszcze nie być? Chodziło mi oczywiście o któryś z tych symbolicznych grobów, ale przecież ci ludzie już tyle czasu szukają swoich bliskich, że samo pojęcie „konkretny grób” może u nich wywołać lzy.

Niektóre gesty rodzin były niesamowicie wspierające. Różni państwo przynosili nam bułeczki albo owoce. To dla nas bardzo ważne, bo niejednokrotnie byliśmy już bardzo zmęczeni i tak zwyczajnie po ludzku mieliśmy dość. W takiej sytuacji każdy gest wsparcia był nam potrzebny. Jesteśmy również wdzięczni wolontariuszom. Na miejscu dbali o to, żeby niczego nam nie brakowało przy pracy, a po godzinach opiekowali się nami – przecież duża część zespołu to osoby spoza Warszawy. Zaprzyjaźniliśmy się z tymi osobami – łączy nas wspólna sprawa, wiele razem przeżyliśmy. Oni nie dbali o to, żeby ustawić się w świetle kamer, tylko cały czas myśleli, jak pomóc w naszej pracy. Czasami taki – zdawałoby się – drobiazg, jak przyniesienie pojemnika na szczątki, jest ogromną pomocą. 🍌

➤ Żmudna, ciężka praca archeologów to dopiero początek badań – wydobyte szczątki trafią do laboratorium

# Rozstrzelany medalik

Tomasz Ceran

**Podczas ekshumacji ofiar egzekucji przeprowadzonych w Rudzkim Moście wydobyto szczątki 236 Polaków. Ich katami byli członkowie Selbstschutzu. Wśród dowodów niemieckiej zbrodni zachował się medalik – rozstrzelany razem z jego właścicielem.**

**M**asowe egzekucje Polaków w powiecie tucholskim na Pomorzu Gdańskim rozpoczęły się 24 października 1939 roku. Trzy dni wcześniej w pobliskim Piastoszynie spłonęła stodoła należąca do zamieszkałego tam Niemca, Hugona Fritza, który zginął w pożarze. Fritz rekwirował ludności polskiej mienie i żywy inwentarz, okradając ich gospodarstwa i majątki. Oskarżenie o podpalenie padło na miejscowych polskich sąsiadów.

Dowódca Selbstschutzu (Samoobrony) Westpreußen, Ludolf-Hermann von Alvensleben, nie miał wątpliwości co

do sprawców rzekomego podpalenia i zareagował błyskawicznie: „Co trzeci dzień rozstrzeliwać po 40 Polaków, dopóki nie znajdzie się sprawca pożaru. Na egzekucje należy każdorazowo zabierać dziesięciu dodatkowych Polaków, następnie zwalniać ich na trzy dni w celu odszukania sprawców pożaru. Jeśli go nie odnajdą, rozstrzelać ich jako pierwszych w następnej egzekucji”.

## Doły śmierci

Jak wykazało późniejsze śledztwo, w rzeczywistości budynek spłonął wskutek zaproszenia ognia przez pijanego właściciela gospodarstwa, ▶

▶ Egzekucja ks. Piotra Sosnowskiego; obok – jego medalik znaleziony podczas ekshumacji





Fot. AIPN

► Egzekucja w Rudzkim Moście; przed rozstrzelaniem ofiary kopią własne groby

który wyrzucił niedopałek cygara. Nawet niemiecki wojskowy sąd doraźny (Standgericht der Wehrmacht) uniewinnił Polaków aresztowanych bezpośrednio po tym zdarzeniu. Mimo to członkowie Selbstschutzu rozpoczęli aresztowania i egzekucje Polaków, wy-

korzystując rzekome podpalenie stodoły jako pretekst do przeprowadzenia akcji eksterminacyjnej.

Na miejsce egzekucji wybrano las nieopodal miejscowości Rudzki Most, oddalonej od Tucholi o 2,5 km. O śmierci Polaków decydowali Kurt

Gehrt, przywódca działającej przed wojną w mieście Partii Młodoniemieckiej, i Kurt Merten Feddeler, właściciel majątku w Nowej Tucholi. Na przygotowanych listach stawiali krzyżyk przy nazwiskach Polaków, którzy mieli zostać rozstrzelani. Później powołano Volkstribunal (Trybunał Ludowy) złożony z miejscowych Niemców, który w trybie zaocznym wydawał wyroki na Polaków. Zamordowano tych, którzy zostali uznani za *fanatische Polen* – fanatycznych Polaków.

Zatrzymanych Polaków transportowano na miejsce egzekucji samochodami ciężarowymi. Przed rozstrzelaniem zabierano skazanym rzeczy uznane za cenne, a już po zgłodzeniu ofiar oprawcy dzielili między sobą ich ubrania. Więźniów pytano zawsze, kto podpalił stodołę. Z grupy wybierano kilka osób, które miały zakopać ciała. Ich samych nie zabijano, lecz wypuszczano na 48 godzin, aby odnaleźli sprawców podpalenia. Po tym czasie znowu mieli się stawić do dyspozycji Selbstschutzu, a w kolejnej egzekucji – zgodnie z zaleceniem von Alvenslebena – byli rozstrzelani w pierwszej kolejności, trzeciego dnia po wypuszczeniu.

**Samoobrona Obywateli Polskich Niemieckiego Pochodzenia (Volksdeutscher Selbstschutz)** – paramilitarna organizacja utworzona w okupowanej Polsce we wrześniu 1939 roku z inicjatywy Reichsführera SS Heinricha Himmlera. Formalnie miała zajmować się ochroną życia i mienia Niemców mieszkających w Polsce przed „fanatycznymi Polakami”. Faktycznie stała się jedną z głównych formacji egzekucyjnych i narzędziem eksterminacji polskiej ludności cywilnej w pierwszych miesiącach okupacji. Zamieszkali w Polsce Niemcy mordowali swoich polskich sąsiadów z przyczyn ideologicznych, chcąc dowieść swej narodowosocjalistycznej „niemieckości”, z zemsty za rzekome krzywdy doznane w II Rzeczypospolitej, a także z powodu konfliktów sąsiedzkich czy zwykłej chęci grabieży mienia. Znali lokalne środowiska; ich wiedzę wykorzystano m.in. podczas Intelligenzaktion do schwytania i wymordowania lokalnych polskich patriotów: posłów, nauczycieli, działaczy społecznych, lekarzy, księży, dziennikarzy. Do Selbstschutzu należało w całej Polsce ok. 100 tys. osób. Szacuje się, że niemiecka Samoobrona odpowiada za śmierć ok. 50 tys. Polaków, choć liczba ta wymaga weryfikacji. Największych zbrodni organizacja dokonała na terenach bezpośrednio włączonych do Rzeczy, szczególnie na Pomorzu Gdańskim, gdzie na jej czele stał SS-Oberführer Rudolf-Hermann von Alvensleben (były adiutant Himmlera, zmarł w 1970 roku w Argentynie), oraz w Wielkopolsce, gdzie jej dowódcą został Josef (później znany jako Jürgen) Strop (antybohater *Rozmów z katem* Kazimierza Moczarskiego). W listopadzie 1939 roku Selbstschutz rozwiązano, a większość jego członków wcielono do SS lub niemieckiej policji porządkowej. Po wojnie tylko nieliczni odpowiedzieli przed sądem za zbrodnie dokonane w 1939 roku.



Fot. AIPN



Fot. AIPN

Podczas jednej z pierwszych egzekucji wybrano przypadkowego więźnia i na oczach pozostałych, ustawionych w dwuszeregu, strzelono mu w tył głowy. Dowódca oddziału egzekucyjnego kazał wystąpić z szeregu podpalaczowi stodoły Fritza. Nikt tego nie uczynił. Wówczas Polakom kazano wykopać groby. Jeden z oprawców zwrócił się do aresztowanego księdza z Raciąża, Franciszka Nogalskiego. Uznał, że skoro spowiada ludzi, to na pewno musi znać nazwisko podpala-

cza. Kazał mu natychmiast go wskazać, twierdząc, że wtedy uratuje życie pozostałych. Ksiądz oświadczył, że to on podpalił stodołę, na co członek niemieckiej Samoobrony stwierdził: „Ty przeklęty psie, ty tego nie zrobiłeś, tylko chcesz ludzi ochronić”. Następnie w rozmowie ze swoim kolegą zastanawiali się, co powinni zrobić z duchownym. Doszli do wniosku, że go powieszają, jednak w pobliżu nie znaleźli odpowiedniego drzewa. Ostatecznie księdza wraz z innymi Polakami roz-

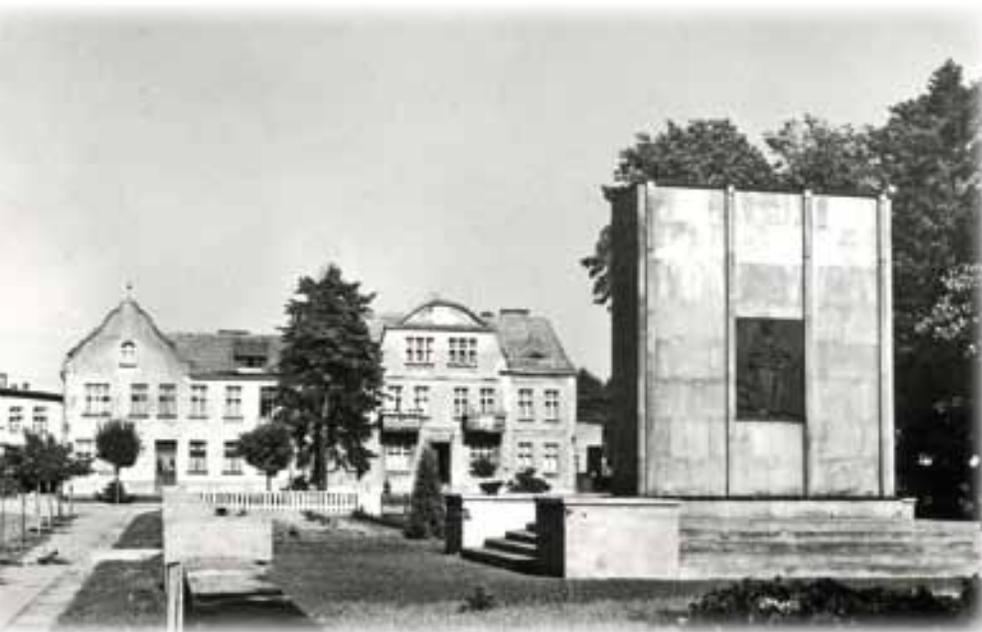
strzelał sześciuosobowy pluton egzekucyjny. Jeden ze skazańców próbował uciekać, ale został złapany i też rozstrzelany. Rannych dobijano strzałami z broni krótkiej.

Przebieg tej egzekucji znamy z relacji Alfonsa Urbanowskiego z 1965 roku. Był on na liście osób przeznaczonych do rozstrzelania, ale dzięki pomocy swojego szkolnego kolegi, Niemca Fryderyka Hinza (Urbanowski poprosił go, żeby „strzelał dobrze”), trafił do grupy zatrzymanych, którą ▶



Fot. AIPN

▶ Mogiła Polaków rozstrzelanych w Rudzkim Moście



Fot. AIPN

► Upamiętnienie ofiar Selbstschutzu w Tucholi

Niemcy przeznaczili do zasypania zwłok. Wraz z innymi został zwolniony na 48 godzin, aby szukać podpalcza. Po upływie tego czasu wszyscy mieli się ponownie stawić w więzieniu w Tucholi. Gdyby tego nie zrobili, cała ich rodzina miała zostać zamordowana. W egzekucji rozstrzelano brata Urbanowskiego, Romana. Alfons po upływie wyznaczonego terminu stanął się w więzieniu i ponownie został wywieziony do Rudzkiego Mostu. Egzekucja miała podobny przebieg, ale ponownie udało mu się trafić do grupy osób zwolnionych. Wstawił się za nim jeden z miejscowych Niemców.

Przed egzekucją inny z Polaków, Konstanty Szwaracki, zwrócił się z prośbą o darowanie mu życia. Tłumaczył, że stodoła Fritza spłonęła 21 października, kiedy on znajdował się jeszcze w niewoli w Poznaniu. Wypuszczono go. Z podobną prośbą wystąpił kupiec z Tucholi o nazwisku Maćkowski. Został jednak dotkliwie pobity, oprawcy zaś stwierdzili, że wszyscy aresztowani są winni i próbują uniknąć odpowiedzialności. Wszystkich, czyli około czterdziestu osób, rozstrzelano.

W Rudzkim Moście przeprowadzono co najmniej siedem egzekucji: 24 (60 osób), 27 (65 osób) i 30 paź-

dziernika (50 osób) oraz 2 (70 osób), 6 (90 osób) i 11 listopada (liczba ofiar nieznana). W 1946 roku podczas ekshumacji wydobyto zwłoki 236 osób. Znamy z nazwiska tylko co drugą ofiarę. W egzekucjach mordowano przede wszystkim miejscową inteligencję, dziennikarzy, drukarzy, nauczycieli, studentów, działaczy społecznych, kupców i rzemieślników. Rozstrzelano także więźniów przewiezionych z obozu przejściowego w Radzimi (powiat sępoleński).

### Gorliwi kaci

Selbstschutz jesienią 1939 roku mordował polską ludność cywilną w co najmniej 359 miejscowościach w całej Polsce. Egzekucje pochłonęły życie łącznie prawie 50 tys. osób, z czego 30 tys. w Okręgu Rzeszy Gdańsk–Prusy Zachodnie, 10 tys. w Kraju Warty, 1500 na Górnym Śląsku i 1000 w rejencji ciechanowskiej. W Generalnym Gubernatorstwie zamordowano

5 tys. osób. Choć liczby te wymagają weryfikacji, nie zmienia to skali i charakteru zbrodni.

W dokumentach archiwalnych zachowały się nie tylko liczne zdjęcia z egzekucji, co jest rzadkością, ale także materialne ślady zbrodni. Ksiądz Piotr Sosnowski, dziekan z Bysławia, został rozstrzelany 27 października 1939 roku. W aktach śledztwa znalazł się uszkodzony przez pociski oprawców medalik z Matką Boską. Z szyi kapłana zdjęła go Franciszka Nowakowska, jedna z parafianek, która po wojnie zidentyfikowała zwłoki.

Daniel Jonah Goldhagen w znakomitej, choć kontrowersyjnej książce uznał „zwykłych Niemców” za – jak to ujął w tytule – „gorliwych katów Hitlera” (*Gorliwi kaci Hitlera. Zwyczajni Niemcy i Holocaust*), jednocześnie podkreślając, że nazizm i jego zbrodnie były niemieckie. Brytyjczyk Christopher Hale, unikając relatywizacji zbrodni, w książce *Kaci Hitlera. Brudny sekret Europy* opisał miliony „nie-Niemców” z całej Europy, członków SS, którzy z równą (jeżeli nie większą) gorliwością dokonali masowych zbrodni. Nazizm był co prawda niemiecki, ale także europejski. Obywatele polscy niemieckiego pochodzenia – członkowie Volksdeutscher Selbstschutz, którzy w większości wstąpili do SS – nie mieszczą się w pełni w żadnej z tych dwóch kategorii, choć bliżej im do tej pierwszej. Warto także i o nich pamiętać, ponieważ byli jednymi z pierwszych „gorliwych katów Hitlera”, a mordowanie polskiej ludności cywilnej jesienią 1939 roku stało się poligonem doświadczalnym dla tego, co wydarzyło się na terenie Europy Środkowo-Wschodniej po niemieckiej napaści na ZSRR. 🇺🇸

dr Tomasz Ceran – historyk, pracownik OBEP IPN w Gdańsku, Delegatura w Bydgoszczy

Delegatura IPN w Bydgoszczy 26 listopada 2014 roku organizuje ogólnopolską konferencję naukową: „Samoobrona Niemiecka (der Volksdeutsche Selbstschutz) w okupowanej Polsce w 1939 r.”. Informacji na temat konferencji udziela dr Izabela Mazanowska (tel. 52 321 95 01, e-mail: izabela.mazanowska@ipn.gov.pl).



Fot. Marcin Markiewicz

# Pod obcym niebem i nazwiskiem

**Paweł Niziołek**

**Głód, choroby, nędza – wszystko to było udziałem każdego deportowanego na Syberię. Niektórzy z nich, oprócz domu i względnego spokoju, stracili dodatkowo własną tożsamość. Doskonałym tego przykładem jest historia Ryszarda Pokropowicza.**

**N**ocą 10 lutego 1940 roku zamieszkała w Elźbiecinie pod Łomżą rodzinę Pokropowiczów zbudziło łomotanie do drzwi. Pan domu, Bronisław, spodziewał się aresztowania – podejrzewał, że enkawudziści przyszli tylko po niego. Mógł tak przypuszczać, bo w 1920 roku walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Ubrał się więc pospiesznie i uciekł przez okno. Jednak funkcjonariusze przyszli po wszystkich domowników. Oznajmili Annie, żonie Bronisława, że cała rodzina zostaje wysiedlona. Dokąd – nie powiedzieli. Dali trochę czasu na spakowanie. Z Elźbiecina wysiedlono wiele rodzin osadników wojskowych. Uformowano z nich kolumnę, którą poprowadzono w stronę mostu na Narwi. Przy siarczystym mrozie droga była szczególnie uciążliwa dla wyrwanych z łóżek dzieci. Pokropowiczowie mieli ich pięcioro: Janinę, Longina, Ryszarda, Teresę i Ireneusza. Na dworzec kolejowy w Łomży spędzono i zwieziono wiele rodzin z miasta i okolicznych wsi. Czekal tu na nie skład kolejowy – wagony z zabitymi oknami, piętrowymi pryczami i prymitywnymi piecykami, ciemne i zimne. Rozpoczęła się długa, mordercza podróż na wschód i północ. Podczas transportu wysiedleń-

com tylko raz podano pożywienie – kaszę gryczaną i chleb. Przez wiele dni, gdy pociąg jechał lub stał, musieli żywić się tym, co wzięli ze sobą, a przecież nie wiedzieli, dokąd i jak długo będą jeszcze wезieni.

## Matka do wyrębu, dzieci do koni

Na jednym z postojów enkawudziści z eskorty nakazali opuszczenie wagonów. Z bocznic wśród pokrytego śniegiem lasu deportowane rodziny przewieziono do prowizorycznych baraków, gdzie słoczono je na dwie doby po pięć rodzin w jednej izbie (bez możliwości położenia się), a następnie rozwieziono po rozrzuconych w tajdze *posiolkach* (osadach) i *liesopunktach* (miejscach przymusowego osiedlenia i pracy). Pokropowiczowie zostali przydzieleni do *liesopunktu* Soluga w rejonie niandomskim, obwodzie archangielskim. Siedmioosobowej rodzinie (oprócz pięcioro dzieci i matki wysiedlono również mieszkającą z nimi matkę Bronisława, Wiktorię) za mieszkanie służyło tam niewielkie pomieszczenie w drewnianym baraku, które dzielili z rodziną Kalickich, także wywiezionych z Elźbiecina. Dorosłych i starsze dzieci skierowano do pracy. Dwunastoletni Longin woził paszę

▶ Ryszard Pokropowicz (1929–2010) przez 24 lata figurował w dokumentach jako Paweł Patyszew, obywatel Związku Sowieckiego; prawdziwą tożsamość udało mu się odzyskać w 1966 roku, ale jego powrót do Polski możliwy był dopiero 23 lata później

dla koni, wyprawa po nią mogła trwać nawet tydzień. Osiemnastoletnia Janina koniem wyciągała wycinane w lesie drzewa, a matka została zatrudniona przy ich cięciu. W każdej pracy obowiązywały normy wydajności, których wykonanie zapewniało otrzymanie wynagrodzenia pozwalającego – teoretycznie – na utrzymanie się przy życiu. Dostarczanego pożywienia, zresztą bardzo niskiej jakości, było jednak zbyt mało. Dietę w miarę możliwości uzupełniano więc na własną rękę, zbierając owoce leśne. Ciężkich warunków nie wytrzymała babcia Wiktorija – zmarła w lipcu 1940 roku.

Jesienią Polacy osiedleni w Soludze wybudowali szkołę, jednak ich dzieciom nie pozwolono uczyć się w niej ojczystego języka. Wszystkich przedmiotów nauczano po rosyjsku. Edukacja najmłodszych trwała tylko do lata 1941 roku, kiedy to dzieci wróciły do wycinania gałęzi – praca miała bezwzględne pierwszeństwo przed nauką. ▶

▶ Świadectwo urodzenia Ryszarda Pokropowicza: nazwisko pisane cyrylicą, ale już polskie

Fot. Krzysztof Jodczyk



Fot. ze zbiorów Katarzyny Tęplowej

► Szeregowy Paweł Patyszew (Ryszard Pokropowicz); Mozyrz, 26 kwietnia 1953 roku

W drugiej połowie 1941 roku administracja *liesopunktu* poinformowała Polaków o postanowieniach podpisanego 30 lipca układu Sikorski–Majski. Zesłańcom pozwolono na opuszczenie miejsca przymusowego osiedlenia i udanie się na południe, gdzie formowano polskie wojsko. Anna podjęła decyzję o wyjeździe. Aby uzyskać środki na podróż, trzeba jednak było wyprzedzić pozostałą jeszcze część rzeczy zabranych z Elżbiecina.

Wkrótce Pokropowiczowie opuścili Solugę i zaczynając od bocznycej kolejowej, na której wysiadali półtora roku wcześniej, wzdłuż torów doszli do stacji w miejscowości Buraczycha. Tu kupili bilety kolejowe i wraz z innymi polskimi rodzinami wyruszyli w liczącą 1400 km drogę na południowy wschód, do Buzułuku. Skład jechał powoli, zatrzymując się na noc, nierzadko pośród tajgi lub stepu. Pokropowiczom niebawem zabrakło prowiantu. Na stacji w Kungurze matka wysłała Ryszarda i Longina, aby korzystając z postoju, kupili trochę żywności. Bracia rozdzielili się, żeby szybciej znaleźć jakichś handlarzy. Gdy jednak Ryszard wrócił z chlebem na peron, okazało się, że skład wraz z jego bliskimi odjechał. Został sam, mając zaledwie dwanaście lat.

### Bezprizorny

Początkowo ogarnęła go rozpacz, wiedział tylko, w jakim kierunku jechał pociąg, nie znał jednak jego numeru. Gdy szok nieco ustąpił, zaczął szukać pomocy u dorosłych. Naczelnik stacji poradził mu, aby dosiadł się do transportu uciekinierów z zachodnich rejonów ZSRS zmierzających do Swierdłowska i stamtąd próbował dostać się do Czkałowa (obecnie Orenburg), skąd już niedaleko do Buzułuku lub Tockoje. Ryszard bez przeszkód dotarł do Swierdłowska, dalsza podróż okazała się jednak niemożliwa – nie miał ze sobą pieniędzy, skończył mu się także kupiony w Kungurze chleb. Serce zabiło mu szybciej, gdy na stacji dostrzegł grupę wojskowych w polskich mundurach. Postanowił zwrócić się do nich o pomoc. Żołnierze ze zrozumieniem wysłuchali opowieści o nieszczęs-



Fot. Krzysztof Jodczyk

► Tatuaż na rękę (słońce, data urodzenia – 1929 i słowo „Sybir”) – smutna pamiątka po sowieckim domu dziecka; dzieci tatuowano, aby łatwiej można było rozpoznać ewentualnych uciekinierów

ci, które spotkało chłopca, ale nie mogli go zabrać wojskowym transportem. Nakarmili go jednak w dworcowym bufecie, dali pieniądze na bilet do Buzułuku i zostawili w kolejce do właściwego okienka. Nadzieję na połączenie się z rodziną szybko jednak zdławiła sowiecka rzeczywistość. Enkawudzi sta wywłócił chłopca za kołnierz z kolejki do kasy. Dziecko pozostające bez opieki dorosłych i bez dokumentów to, w oczach państwa sowieckiego, dziecko *bezprizorne* (bezdomna sierota lub dziecko porzucone), na państwie spoczywa więc obowiązek „opieki” nad nim.

Funkcjonariusz odprowadził Ryszarda do pomieszczenia, gdzie znajdowało się już kilkanaścioro dzieci w różnym wieku. Drzwi blokowała siedząca na krześle za stołem funkcjonariuszka. Dopiero po dwóch dobach po dzieci przyszli uzbrojeni enkawudziści. Zanim zaprowadzili podopiecznych na dworzec kolejowy, ostrzegli, że w razie próby ucieczki nie zawahają się użyć broni. Dzieci odwieziono do *dietprijomnika* – przytulku dla niepełnoletnich pod Swierdłowskiem. Było to kilka drewnianych budynków otoczonych wysokim parkanem zwieńczonym drutem kolczastym. Po okresie kwarantanny Ryszarda zakwaterowano w jednej z izb baraku i skierowano do pracy w kuchni: rąbał drewno, palił w piecach i szorował kotły. Było to najlepsze z możliwych zajęć, stwarzało bowiem okazję do najedzenia się przypaloną kaszą zeszkrobaną z dna kotłów, podczas gdy inne dzieci niedojadały, choć pracowały fizycznie w zakładach przemysłowych. W przytulku Ryszard przebywał do czerwca 1942 roku, kiedy oznajmiono mu, że jego rodziny nie udało się odnaleźć i że w związku z tym zostanie przeniesiony do domu dziecka w Kamyszłowie, gdzie będzie się uczył. Na miejscu okazało się, że ośrodek jest przeludniony – wiele dzieci musiało spać w ścisiku na podłodze bez żadnego okrycia, brakowało żywności. Po dwóch tygodniach Ryszarda przeniesiono do *dietprijomnika* w Omsku, a po kolejnym tygodniu – przewieziono statkiem „W.I. Lenin” do Tobolska.

### Nowa tożsamość za wyżywienie

Podczas podróży miało miejsce zdarzenie, które zaważyło na dalszym losie chłopca. Z powodu niedopatrzania opiekun grupy transportowanych dzieci nie miał na liście obecności Ryszarda Pokropowicza i z tego powodu nie mógł mu wydawać posiłków. Z kuriozalnej sytuacji opiekun znalazł nie mniej kuriozalne wyjście – zaproponował, aby Ryszard podał się za Pawła Antonowicza Patyszewa, dziecko, którego na statku nie było, ale figurowało na liście. Wygodniały Ryszard zgodził się. Parę dni

później z pokładu „W.I. Lenina” schodził już jako Patyszew i tak też został zarejestrowany w ewidencji domu dziecka w Iwanowsku, gdzie dzieci dotarły po przejściu dziesięciu kilometrów z Tobolska. Ośrodek mieścił się w dawnym prawosławnym klasztorze żeńskim. Choć był duży, tu też we znaki dawało się przepelnienie. Starszych, dwunasto-, trzynastoletnich chłopców skierowano do pracy przy wycincie lasu, uprawie ziemniaków i brukwi na kolchozowych polach oraz połowie ryb w Irtyżu i jego dopływach. Utrzymywali w ten sposób nie tylko siebie, lecz także młodsze dzieci. To, co złowili i zebrali z pól, jedynie w części trafiało do kuchni sierocińca – rybami karmiono zwierzęta futerkowe w pobliskim *zwierokolchozie*, również warzywa trafiały w większości do kolchozowych magazynów. Dla dzieci, szczególnie tych pracujących fizycznie, żywności zawsze brakowało. Aby nie stracić sił, chłopcy wykradali się więc nocą przez okna, po rynnach, z zamkniętych na klucz izb i znów łowili ryby lub kradli ziemniaki z pól. Zdobycz piekli na ogniskach, a najadłszy się, niepostrzeżenie wracali do sierocińca tą samą drogą. Za dnia Paweł Patyszew najczęściej łowił ryby. Było to zajęcie niepozbawione niebezpieczeństw. Podczas jednej z wypraw zarządzonych przez dyrektora ośrodka omal nie utonął w nadrzecznym trzęsawisku. Życie uratowali mu koledzy. Opiekun grupy, choćby nawet chciał, nie mógł mu przyjść z pomocą – był bezrękim kaleką wojennym.

W Iwanowsku Patyszew przebywał rok. Jesienią 1943 roku starsze dzieci opuszczały „opiekuńcze” mury sierocińca, by podjąć pracę w zakładach przemysłowych i się usamodzielnic. Dołączył do nich na ochotnika wraz z kilkoma kolegami, choć miał dopiero czternaście lat. Miał nadzieję, że umożliwi mu to ucieczkę, ale, jak się okazało, nie było ku temu sposobności. Choć w kolejnych miesiącach i latach wracał do niej myślami, sowiecki system kontroli ruchu obywateli z jego paszportami wewnętrznymi i koniecznością uzyskania zgody władz na każdą podróż zdawał się przeszkodą nie

do pokonania; bez zezwolenia nie można było nawet kupić biletu kolejowego.

Drogę z Tobolska do Omska pokonał tym samym żeglującym po Irtyżu „W.I. Leninem”. W Omsku chłopcy otrzymali przydział do jednej z fabryk zbrojeniowych. Zakwaterowano ich w zbitej z desek szopie, przez którą bez przeszkód przewiewał lodowaty jesienny



Fot. ze zbiorów Katarzyny Tieplowej

▶ Paweł Patyszew z żoną Anną Galiną Spiridonowną; Nowowarszawka, lata sześćdziesiąte

wiatr. Aby nie zamrznąć, spali we czterech w poprzek na dwóch złączonych łóżkach, mając dwa materace pod spodem i przykrywając się kolejnymi dwoma oraz kocami. Za piec służyła im me-

talowa beczka z rurą wyprowadzającą dym na zewnątrz, w której rozpalali do czerwoności drewnem z kradzionych beczek. „Piec” szybko jednak wygaszał i nie trzeba było długo czekać, aby pewnej nocy posłanie z koców i materacy pokryła gruba warstwa nawianego śniegu. Widząc przemarzniętych chłopców gonionych rankiem do pracy, jedna z życzliwych robotnic doradziła, aby opowiedzieli o swoim położeniu we właściwym urzędzie. Aby to uczynić, Patyszew wraz z jednym z kolegów musiał zbiec z pracy, ryzykując oskarżenie o dywersję gospodarczą z pojemnego artykułu 58 kodeksu karnego ZSRS z perspektywą łagru. Niebawem urzędnicy przeprowadzili wizytację „lokalu” i podjęli decyzję o przeniesieniu grupy młodych robotników do innego zakładu z innym zakwaterowaniem. Chłopcy otrzymali do dyspozycji izbę z piętrowymi łóżkami w drewnianym domu. W fabryce wytwarzającej pociski moździerzowe przyuczono ich na tokarzy, frezerów, ślusarzy. Ponieważ warunki mieszkaniowe zdecydowanie się poprawiły, wśród problemów na pierwsze miejsce wysunęło się niedożywienie. Jak wszędzie, w zakładowej stołówce za kartki wydawano posiłki niewielkie, o znikomej wartości odżywczej, a dwunastogodzinna praca przy tokarce wymagała niemało energii. Zarobione w ciągu miesiąca 500–600 rubli mogło wystarczyć na zakup półtora wiaderka ziemniaków lub 3–4 kg mąki, a były też ▶

▶ Paweł Patyszew (Ryszard Pokropowicz) przed służbowym autobusem; Nowowarszawka, 1970 rok



Fot. ze zbiorów Katarzyny Tieplowej

przecież i inne wydatki. Chłopcy szybko nauczyli się, że aby przetrwać, trzeba kombinować, podkraść i handlować. Były to zjawiska powszechne. Robotnicy wynosili z fabryki wszystko, co się dało: narzędzia, surowce i półprodukty, które od razu odsprzedawali na rynku lub coś z nich wyrabiali. Patyszew z kolegami wytwarzał z elementów przeznaczonych na pociski moździerzowe... moździerz do tłuczenia przypraw oraz kłódki. Z pozyskanej gdzieś blachy domowymi sposobami wyrabiali wiadra i miski, a niekiedy wyrozumiały majster pozwalał na „lewiznę” na zakładowej tokarce, oczywiście po odpracowaniu dwunastu godzin na rzecz państwa. Braki w przydziałach opału uzupełniali, systematycznie „wizytując” odchodzące ze stacji omskiej załadowane węglem składy kolejowe. Praca w zakładzie i poza nim pochłaniała bardzo dużo czasu, którego nie starczało już na handlowanie na lokalnych rynechkach, niełatwo zresztą było opuścić teren przyfabryczny. Chłopcy wykradali się więc przez dziurę w ogrodzeniu i sprzedawali swoje wyroby przekupniom (profesję tę niemal zmonopolizowali okaleczeni weterani wojenni). Przedsiębiorczość robotników obciążona była jednak poważnym ryzykiem, w razie wypadki wyrok co najmniej 10 lat łagru z artykułu 58 był pewny, a ponieważ Patyszew działał z kolegami w zorganizowanej grupie, bardzo prawdopodobny był wyrok 25 lat w obozie.

### Ze zbrojeniówki do kołchozu

Wiosną 1945 roku dobiegała końca wojna w Europie. Obciążenie fabryk zbrojeniowych zdecydowanie zmalało i znaczną część robotników w ZSRS zaczęto kierować do pracy w kołchozach. Stopniowo poprawiały się też warunki życia. Patyszew pracował w tym okresie na przemian w fabryce i w kilku różnych państwowych gospodarstwach w obwodzie omskim. Jego byt znacząco poprawiło zdobycie prawa jazdy. W 1947 roku został skierowany do Stacji Maszynowo-Traktorowej, gdzie pracował jako traktorzysta, dzień i noc, na zmiany, orząc olbrzymie kołchozowe i sowchozowe

poła. Dwa lata później, jako dziewiętnastolatek, był już brygadziwą – szefem liczącej około trzydziestu osób brygady traktorzystów. O Pawła Antonowicza Patyszewa upomniała się wówczas jego sowiecka „ojczyzna”.

Został powołany do służby wojskowej w 117. Brygadzie Artylerii Wielkiej Mocy w Mozyrzu w Białoruskiej SRS. Jako kierowca otrzymał przydział do 270. batalionu samochodowego. Kierował pochodzącą z lend-leasu ciężarówką Studebaker. Zbieg okoliczności sprawił, że szybko został przeniesiony na stanowisko osobistego kierowcy zastępcy dowódcy dywizji, płk. Michaiła Piotrowicza Sztiecowa. Szofer i oficer darzyli się wzajemnie wielkim zaufaniem i przez pięć lat służby żyli ze sobą. Pułkownik Sztiecow był pierwszą od pięciu lat osobą, której Patyszew zdradził swoje prawdziwe pochodzenie. Obaj brali też udział w osławionych manewrach na poligonie w Tockoje we wrześniu 1954 roku. Szczęśliwie nie musieli uczestniczyć bezpośrednio w ćwiczeniach. Zadanie Patyszewa polegało najpierw na wywiezieniu ludności kilku wysiedlonych wsi. Następnie towarzyszył płk. Sztiecowowi podczas obserwacji efektów eksplozji atomowej.

Pod koniec 1954 roku Patyszew zakończył służbę wojskową – postanowił wrócić do cywila, choć płk Sztiecow namawiał go, aby pozostał w armii jeszcze na dwadzieścia lat. Ożenił się z Rosjanką Anną Galiną Spiridonową i osiadł w Nowowarszawce pod Omskiem, wsi założonej przez polskich osadników na początku XX wieku. Wrócił do pracy w Stacji Maszynowo-Traktorowej. Doczekał się czwórki dzieci, dwóch synów i dwóch córek.

### Powrót do korzeni

Prowadził stateczne i ciche życie szarego obywatela sowieckiego aż do 1965 roku, kiedy to w Omsku przypadkiem natknął się na „Trybunę Ludu”, organ Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Czytanie słów spisanych w częściowo zapomnianym już języku szło mu opornie, był to jednak impuls

do wznowienia poszukiwań zaginionych bliskich. Patyszew zaniechał ich w połowie lat pięćdziesiątych – urzędy sowieckie, do których wielokrotnie zwracał się o pomoc, nieustannie odpowiadały mu, że takie osoby w ZSRS nie przebywają. Wysłał do redakcji list, w którym opisał swoje losy. Odpowiedź przyszła po pół roku. Wiadomość o Patyszewie dotarła za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża i Polskiego Radia do wciąż mieszkającej pod Łomżą rodziny wuja. Wówczas to Patyszew postanowił odzyskać swoje prawdziwe nazwisko. Udał się do obwodowego urzędu paszportowego w Omsku, gdzie przedstawił swoją sprawę i na życzenie funkcjonariuszy spisał szczegółowy życiorys. Weryfikacja trwała dwa lata. Pracownicy sowieckich ambasad odszukali w tym czasie jego żyjących krewnych i złożyli im wizyty. Zaginięcie brata i towarzyszące mu okoliczności potwierdził mieszkający we Francji Longin. Dramatyczne wydarzenia miały miejsce w Nowym Jorku, gdzie zamieszkała Jadwiga z matką. Gdy Sowieci zjawili się u drzwi ich mieszkania, zastali tylko Annę Pokropowicz. Leciwa i schorowana kobieta na dźwięk języka rosyjskiego wpadła w panikę, ovladnął ją irracjonalny strach przed ponownym zesłaniem i, w krótkiej wymianie zdań, zaprzeczyła wszystkiemu. Sprawę wyjaśniła dopiero Jadwiga, która dowiedziała się o zdarzeniu po powrocie z pracy i natychmiast skontaktowała się z ambasadą ZSRS.

W 1966 roku Paweł Antonowicz Patyszew znów stał się Ryszardem Pokropowiczem. Odzyskanie jednych bliskich oznaczało jednak utratę innych. Żona Ryszarda, pracownica Rejonowego Komitetu Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, dotychczas nie wiedziała nic o jego prawdziwym pochodzeniu. Oświadczyła mężowi, że w jej oczach jest „wrogiem ludu”, za co zresztą został deportowany w 1940 roku. Wydarzenia te wstrząsnęły małżeństwem, które oboje utrzymywali przez kolejne lata jedynie ze względu na dzieci.

Wkrótce Ryszard podjął starania o wyjazd do Polski. Dostał zgodę władz oraz

dwumiesięczną wizę. Odwiedził rodzinę matki pod Łomżą, po czym udał się do Warszawy, gdzie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych prosił o umożliwienie powrotu na stałe. Urzędnicy nie mogli mu jednak pomóc – był obywatelem sowieckim i nie do polskich władz należało podejmowanie jakichkolwiek decyzji. Po powrocie do ZSRS, za radą pracowników polskiej ambasady w Moskwie, zwrócił się ze stosownym wnioskiem do obwodowego urzędu paszportowego w Omsku. Zgody na wyjazd do Polski stanowczo mu jednak odmówiono. Ryszard wystąpił więc z kolejnym wnioskiem, prosząc o zgodę na czasowy wyjazd do matki w USA. Urzędnicy obiecali, że zostanie on rozpatrzone w terminie trzymiesięcznym. Po dwóch miesiącach Ryszard został aresztowany i skazany na 10 lat łagru „za kontakty z zachodnimi imperialistami”. W obozie w Krasnojarsku nad Jenisejem pracował jako kierowca, wywożąc wycięte w tańdze pnie. Prawo jazdy uchroniło go przed najcięższą pracą w lesie. Został zwolniony po czterech latach. Wrócił do Nowowarszawki i zatrudnił się jako kierowca autobusów dalekobieżnych. W 1982 roku rozstał się z żoną i wyjechał do Permu, gdzie w poprawie fatalnego początku położenia (nie miał meldunku, dachu nad głową ani pracy) pomogli mu tamtejsi Polacy. Rychło znalazł zatrudnienie w komunikacji miejskiej. Później dowoził robotników do fabryki i wykonywał kursy turystyczne w bliższe i dalsze zakątki ZSRS.

### Długa droga do Polski

W 1984 roku Ryszard zgłosił się do rejonowego urzędu paszportowego z prośbą o zgodę na wyjazd do Polski na stałe. Pomimo silnego oporu sowieckiej machiny biurokratycznej, stwarzającej coraz to bardziej absurdalne trudności – a to do Polski jechać zwyczajnie nie można, a to w Polsce telefony nie działają – odsyłania do kolejnych urzędów, coraz to wyżej po szczeblach administracji, aż do Moskwy, Ryszard nie skapitulował. Rozpatrywanie wniosków i podań trwało pięć lat. W 1989 roku otrzymał

ostateczną zgodę na wyjazd. 23 sierpnia 1989 roku w Brześciu nad Bugiem przekroczył granicę polsko-sowiecką. Osiedł w rodzinnym Elźbiecinie pod Łomżą. W 1991 roku odwiedził siostrę w USA – niestety matka nie doczekała tej chwili. Dowiedział się wówczas ze szczegółami, jak potoczyły się losy jego bliskich po nagłej rozłące na stacji w Kungurze.

Z Buzułuku rodzina wyruszyła w dalszą drogę do Uzbekistanu. Młodsza

czka w Egipcie urodziła syna. Po wojnie z rodziną i matką wyjechała najpierw do Wielkiej Brytanii, a następnie do USA.

O losach ojca Ryszard dowiadywał się od rodziny zamieszkałej pod Nowogrodem, a następnie, po wielu latach, także z dokumentów udostępnionych mu przez IPN. Starszy sierżant Bronisław Pokropowicz brał udział w konspiracji niepodległościowej pod pseudonimami „Słoma”, „Wąsół” – od listopada 1939



Fot. ze zbiorów Katarzyny Tiepłowej

► Ryszard Pokropowicz (siedzi drugi z prawej) z rodziną, od góry z lewej: córka Katarzyna, syn Mikołaj, córka Tatiana, niżej od lewej: synowa Elza z wnukiem Anatolem, żona Anna

siostra, Teresa, zmarła jeszcze w transporcie, miała sześć lat. Matka złożyła ją w śniegu przy nasypie kolejowym niedaleko Tockoje. Dotarłszy do Azji Środkowej, Pokropowiczowie podjęli dorywczą pracę w kołchozie. Wkrótce na tyfus zmarł dziewięcioletni Ireneusz. Longin zgłosił się na ochotnika do Armii Andersa. Miał zaledwie czternaście lat, musiał więc sfałszować metrykę urodzenia. W ślad za nim do Iranu, jako rodzina wojskowa, zostały ewakuowane matka i siostra Jadwiga. Longin walczył w 1944 roku w kampanii włoskiej, został jednak ranny w bitwie pod Monte Cassino i do końca wojny przebywał w szpitalu w Wielkiej Brytanii. Do Polski nie chciał wracać, obawiając się represji – zamieszkał we Francji. Jadwiga w 1944 roku wyszła za mąż za polskiego oficera i jes-

roku w POW, od 1942 roku w AK. Od maja 1944 roku do marca roku następnego pełnił funkcję dowódcy 4. kompanii Narodowych Sił Zbrojnych na terenie Komendy Powiatu Łomża NSZ. Od kwietnia 1945 roku walczył w oddziale partyzanckim Zbigniewa Nowaka „Halicza” (w czerwcu powierzono mu funkcję szefa gospodarczego oddziału). Został aresztowany w nocy z 4 na 5 lipca i 6 grudnia skazany przez Wojskowy Sąd Garnizonowy w Białymstoku na karę śmierci. Wyrok wykonano 5 stycznia 1946 roku w miejscowym więzieniu.

W 1992 roku Ryszard ożenił się z Teresą Mazgłą. Zmarł w Elźbiecinie 15 czerwca 2010 roku, w wieku 81 lat. ■

Paweł Niziołek – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej w Białymstoku

# Siedmiu z „Łączki”

Sławomir Poleszak

We wtorek 16 września 1947 roku funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego ujęli na Dolnym Śląsku mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”, cichociemnego, legendarnego dowódcę zgrupowania partyzanckiego AK, DSZ i WiN na Lubelszczyźnie oraz siedmiu towarzyszących mu oficerów. Wszyscy chcieli wyostać się z komunistycznej Polski. Padli ofiarą jednej z najbardziej tajemniczych prowokacji komunistycznego aparatu represji.

**S**falszowanie przez komunistów wyborów do Sejmu Ustawodawczego z 19 stycznia 1947 roku zgasiło w społeczeństwie polskim nadzieję na szybkie odsunięcie ich od władzy. Równie ponure nastroje panowały w podziemnych szeregach największej powojennej organizacji niepodległościowej – Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, które aktywnie wspierało kandydatów do sejmu z ramienia Polskiego Stronnictwa Ludowego, kierowanego przez Stanisława Mikołajczyka. Dodatkowe zamieszanie wprowadziło uchwalenie 22 lutego 1947 roku ustawy o amnestii, która miała umożliwić powrót do normalnego życia obywatelom żyjącym dotychczas na „stopie nielegalnej”. Miała ona obowiązywać tylko przez dwa miesiące – do 25 kwietnia. W szeregach podziemia rozpoczęły się ożywione dyskusje, w jaki sposób odnieść się do tej propozycji. Dowódcy zdawali sobie sprawę z tego, że dalsza walka zbrojna jest skazana na klęskę i niepotrzebne przelewanie żołnierskiej krwi. Amnestia była dla „leśnych” szansą na zakończenie trudów partyzanckiego życia. Mieli oczywiście świadomość, że komunistyczna oferta

ma podwójne dno i niesie ze sobą zagrożenia. Jednak do dowódców docierały również opinie szeregowych żołnierzy, którzy w rozmowach między sobą mówili, że mają dość walki i chcą powrotu do normalnego życia.

## Ujawniać się czy nie?

Na początku 1947 roku mjr Hieronim Dekutowski „Zapora” dowodził zgrupowaniem partyzanckim złożonym z kilku oddziałów operujących na środkowej i południowej Lubelszczyźnie, liczącym w sumie ponad stu zdyscyplinowanych, umundurowanych i dobrze uzbrojonych żołnierzy. Jednak wydarzenia polityczne z początku roku, jak również ciągle operacje wojskowe Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i funkcjonariuszy UB powodowały spadek morale partyzantów

► Major Hieronim Dekutowski „Zapora”

oraz strach i zniechęcenie wśród miejscowej ludności. Wywoływały również coraz częstsze myśli o ujawnieniu się. „Zapora” rozumiał, jakie zagrożenia niesie ze sobą ujawnienie, i dzielił się obawami ze swoimi oficerami. Wyjaśniał, że jest to sposób na ich zewidencjonowanie, wyciągnięcie z lasu, rozbrojenie, a później aresztowanie bezbronnym. Podporządkował się jednak władzom Okręgu Lublin WiN i swojemu bezpośredniemu przełożonemu, inspektorowi Inspektoratu Lublin WiN, kpt. Władysławowi Siła-Nowickiemu „Stefanowi”. Uczestniczył w negocjacjach z przedstawicielami KBW, MBP i Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie, które sprawiły, że z amnestii skorzystała zdecydowana większość jego podkomendnych. Porucznik Roman Groński

„Żbik” tak zapamiętał tłumaczenie „Zapory” o nieujawnieniu się: „Wszyscy nie możemy się ujawnić, ponieważ nie możemy okazać ludziom, że działalność nasza była niepotrzebna i walka niesłuszna, że ludzie, którzy zginęli, zginęli niepotrzebnie. Stwierdził, że broń maszynowa, za którą tyle krwi naszej wylało się, nie może być zdana, gdyż będzie potrzebna jeszcze do ostatecznej rozgrywki, która w przyszłości nastąpi”.

Akcja ujawnienia z wiosny 1947 roku złamała kręgosłup polskiego podziemia niepodległościowego, podobnie jak do niedawna bardzo groźnego dla komunistów zgrupowania mjr. „Zapora”.

Mimo że termin amnestii wygasł 25 kwietnia, w ciągu kolejnych dwóch miesięcy oficerowie UB prowadzili negocjacje z mjr. „Zaporą”, chcąc skłonić go do ujawnienia się. Do przekonania go wykorzystywali ujawnionych oficerów Komendy Okręgu Lublin WiN na czele z jej prezesem, płk. Wilhelmem Szczepankiewiczem „Drugakiem”. Ostatecznie w czerwcu Dekutowski podpisał deklarację o ujawnieniu, ale po kilku dniach przekazano mu informację, że nie została ona zatwierdzona przez władze komunistyczne. Prawdopodobnie jako powód podano wygaśnięcie okresu amnestyjnego. Załamanie się negocjacji postawiło go w trudnej sytuacji. Otwarte pozostawało pytanie, co dalej: trwać w konspiracji, czy próbować przedzierać się do wolnego świata?

### Zasadzka

„Zapora” już raz próbował przedostać się do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec po rozwiązaniu zgrupowania i ujawnieniu się znacznej części partyzantów na podstawie pierwszej amnestii z lata 1945 roku. Wraz z grupą kilkunastu najbliższych współpracowników na początku października 1945 roku znalazł się na terenie Czechosłowacji. Plan zakładał minięcie Pragi od północy i marsz w kierunku Rokycan do granicy z amerykańską strefą okupacyjną Niemiec. Niestety, na trop uciekinierów szybko trafiła czechosłowacka służba bezpieczeństwa (SNB). W wyniku kolejnych zasadzek ośmiu z nich zostało pojmany, jednego

zabito, a tylko jednemu udało się dotrzeć do II Korpusu Polskiego na Zachodzie. „Zapora” wraz z Marianem Klockiem „George’em”, nie znając dalszej drogi, zawrócili do Pragi, a następnie wraz z transportem repatriacyjnym dotarli do Polski.

Latem 1947 roku pojawił się pomysł ponownego zorganizowania przejścia do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Wydarzenia z sierpnia i września 1947 roku, które były związane z przygotowaniem do „skoku przez granicę”, owiane są mgłą tajemnicy. Szczątkowy materiał archiwalny uniemożliwia udzielenie odpowiedzi na najważniejsze pytania. Sam zamiysł wyjazdu za granicę zrodził się prawdopodobnie w sierpniu 1947 roku w rozmowach między „Zaporą” a kpt. Władysławem Siłą-Nowickim „Stefanem” (który kilka miesięcy wcześniej się ujawnił) i jego poprzednikiem na tym stanowisku, kpt. Franciszkiem Abraszewskim „Borutą”. Ten ostatni w listopadzie 1946 roku został w Warszawie aresztowany przez UB. Zwolniono go z więzienia na Zamku w Lublinie w czerwcu 1947 roku. Początkowo „Stefan” i „Boruta” musieli przekonywać „Zaporę” do pomysłu wyjazdu. Kiedy to się udało, ustalono szczegóły planu wyprawy. Dekutowski tak opisał to

w jednym ze swoich zeznań: „W nocy z 2 na 3 września 1947 roku, we wsi Oblizniak-Zagaje, powiat puławski, odbyłem spotkanie z »Borutą« i »Stefanem«. Do spotkania doprowadził »Stefan«. Na spotkaniu tym, między innymi, »Boruta« stwierdził, iż istnieje nowa organizacja, nazwy jej nie może podać, on zaś jako dawny Inspektor, i w imieniu tej organizacji, stwierdza, iż ludzie zagrożeni muszą usunąć się z terenu. W związku z tym, iż ja jestem zdekonspirowany i zagrożony, organizacja ta zaleca mi usunąć się z terenu, najlepiej wyjechać za granicę, zaś broń zamelinować i podległych mi ludzi i oddziały przekazać do dyspozycji organizacji. Stwierdził również, iż są możliwości przejścia za granicę, oraz, żeby przygotować się, a 10 bieżącego miesiąca da mi dokładne informacje”.

W tym miejscu nasuwa się kluczowe pytanie, czy Abraszewski sam wymyślił historię z rzekomą organizacją, aby przekonać „Zaporę” do wyjazdu. Czy przez kogoś został poinstruowany? Pomysł z nowo powstałą organizacją i sposób argumentacji przywołują skojarzenia z wieloma innymi prowokacjami UB. „Zapora” zeznał również: „Na tym spotkaniu »Stefan« dał mi oraz ludziom, którzy byli do mojej dyspozycji, polecenie ▶



Fot. AIPN

▶ Lato 1944 roku, „Zapora” (pierwszy rząd od dołu, siedzi drugi od prawej) wśród partyzantów patrolu Januarego Rusha „Kordiana”



Fot. AIPN

► Grupa partyzantów „Zapory”; stoją od lewej: por. Mieczysław Pruszkiewicz „Kędziorek”, por. Jan Szaliłow „Renek”, por. Michał Szeremiecki „Miś”, Eugeniusz Siekaczyński „Ślipek”, ppor. Zbigniew Sochacki „Zbyszek” i por. Jerzy Stefański „Cedur”; najprawdopodobniej wiosna 1946 roku

wyjazdu za granicę do strefy amerykańskiej, względnie angielskiej”. „Zapora” przekazał „Borucie” 50 tys. zł na koszty związane z wyrobieniem dokumentów. O tym, że nie był zwolennikiem opuszczenia Polski, świadczą zapiski kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka”. Napisał on, że 15 sierpnia 1947 roku dotarł do niego list od „Zapory”, „[...] który trochę mnie zdziwił treścią – »Zapora« objawiał zamiar wyjazdu. Niezgodne to było z tym, co tak niedawno przedsiębraliśmy”. Z kart jego pamiętnika wiemy, że na początku lipca 1947 roku „Zapora” przez dwa tygodnie bawił w gościnie u „Uskoka”. Mieli dużo czasu, aby przedyskutować zaistniałą po amnestii sytuację i zaplanować kolejne działania. Ustaliли, że pozostaną w terenie i zachowają oddziały partyzanckie w postaci szkieletovej, aby w razie potrzeby szybko je odbudować. We wspomnianym liście „Zapora” informował „Uskoka”, że wybiera się do niego „Stefan”. Zapewne „Uskok” też miał otrzymać propozycję wyjazdu. Do spotkania nie doszło, bo uniemożliwiły je obławy KBW po partyzanckiej pacyfikacji Puchaczowa.

Najważniejsze ustalenia techniczne dotyczące wyprawy zostały poczynione w trakcie spotkania w nocy z 10 na 11 września 1947 roku we wsi Wólka

Lubkowska (8 km od Nałęczowa). Dwa dni wcześniej, 8 września, w wiosce Osiny, odległej o 6–7 km od miejsca spotkania, w potyczce z KBW poległ jeden z najdzielniejszych oficerów zgrupowania „Zapory”, por. Jan Szaliłow „Renek”. Niewykluczone, że śmierć „Renka” – z punktu widzenia UB – miała być dodatkowym argumentem skłaniającym „Zaporę” do jak najszybszego opuszczenia Lubelszczyzny. Na miejsce spotkania Dekutowski dotarł wraz z por. Romanem Grońskim „Żbikiem”, por. Arkadiuszem Wasilewskim „Białym”, por. Tadeuszem Pelakiem „Junakiem”, por. Mieczysławem Pruszkiewiczem „Kędziorkiem”, ppor. Januszem Godziszewskim „Januszkim” i ppor. Bogdanem Dzierzanowskim „Lotnikiem”. Około 23.00 przybyli tam Abraszewski i Siła-Nowicki, którzy wraz z Dekutowskim udali się do domu zaufanego gospodarza na rozmowę. Reszta partyzantów czekała na zewnątrz. „Zapora” otrzymał cztery lub pięć fałszywych kenkart i adresy punktów kontaktowych. Następnie po kolei zapraszano do środka partyzantów przebywających na zewnątrz i prowadzono z nimi rozmowy, które mieli zachować w tajemnicy. Na wyjazd zdecydowali się „Biały”, „Junak” i „Żbik”. Pozostali mieli wyruszyć w następnych turach, gdyby ta pierwsza zakończyła się

powodzeniem. „Biały” i „Żbik” zgodnie zeznali potem, że wyruszyli wcześniej. Ze stacji Nałęczów dojechali do Warszawy, a w Nysie byli 14 września. Reszta miała zebrać się w Warszawie. „Zapora”, żegnając się ze swoimi podkomendnymi, zakazał im podejmowania jakichkolwiek rozmów w sprawie wyjazdu. Znakiem, że przerzut zakończył się powodzeniem, miał być napisany przez niego odręcznie list o treści: „Wkrótce wracam do kraju. »Kazimierz«”. Dopiero wtedy mogli wyruszyć w podróż.

12 września „Zapora” przekazał dowództwo kpt. „Uskokowi”. Nazajutrz razem z „Junakiem” wsiedli na stacji w Nałęczowie do pociągu do Warszawy. 14 września spotkali się ze „Stefanem” i dotarli do mieszkania Jerzego Miatkowskiego „Zawady”, który usłyszawszy propozycję wyjazdu, zgodził się bez wahania. Na punkt kontaktowy dotarł również Stanisław Łukasik „Rys” i Edmund Tudruj „Mundek”.

W niektórych zeznaniach pojawia się informacja, że ostateczny punkt zborny miał znajdować się w Kłodzku. Do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec miał ich przeprowadzić czeski przewodnik. Kontakt z nim miał ich zaufany człowiek, płk Ottokar Brzoza-Brzezina, który prowadził schronisko w okolicach Kłodzka.

Wieczorem 15 września sześciu podróżnych dotarło na dworzec kolejowy w Warszawie. Poczynili ostatnie uzgodnienia, podzielili się na dwie trzyosobowe grupy (jedna w składzie: „Zapora”, „Zawada” i „Junak”; druga: „Stefan”, „Rys” i „Mundek”) i wsiedli do pociągu jadącego do Katowic. W Katowicach przesiedli się do pociągu w kierunku Nysy. We wtorek 16 września dotarli na punkt lub punkty kontaktowe i tam zostali zatrzymani przez funkcjonariuszy UB. Dokładnie cztery lata wcześniej „Zapora” wylądował na spadochronie, aby rozpocząć walkę partyzancką.

W literaturze przedmiotu funkcjonuje przekaz, że aresztowanie miało miejsce w Nysie. Czy tak było w rzeczywistości? Wobec braku dokumentacji UB jesteśmy zdani jedynie na zeznania zatrzymanych, a te pogłębiają wątpliwości.

Tylko Arkadiusz Wasilewski w zeznaniu z 22 września 1947 roku wymienił adres punktu kontaktowego w Nysie, na który mieli się zgłosić z Romanem Grońskim. Miał to być budynek przy ul. Dąbrowskiego 6. Dotarli tam i zatrzymali się na noc z 14 na 15 września, a następnego dnia takśówką pojechali do miejscowości, której nazwy nie pamiętał. Tam zostali pojmani przez ubowców. Jego zeznanie potwierdził w trakcie procesu Władysław Siła-Nowicki. Mówił wtedy, że dojechali do Nysy, po czym udali się do Godowa i tam zostali aresztowani. Siła-Nowicki raczej się tu myli, gdyż w tym wypadku chodzi zapewne o Grodków, miasteczko położone ok. 30 km na północ od Nysy. Zważywszy, że mieli dotrzeć do Kłodzka, kierunek na Grodków oddalał ich od celu podróży.

Brak dokumentacji operacyjnej nie pozwala udzielić odpowiedzi na kolejne podstawowe pytania. Nie wiemy, od kiedy UB wiedział, że „Zapora” i grupa jego oficerów przygotowują się do opuszczenia Polski. Zachowane materiały wskazują, że operacją kierowali oficerowie MBP. Nie wiemy, kto ją realizował – czy jedynie oficerowie MBP, czy również funkcjonariusze WUBP w Katowicach. Trudno przypuszczać, aby brali w tym udział pracownicy Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Nysie. Nie mamy też pewności, kto najbardziej dopomógł UB w prowokacji. Brak jest przesłanek wskazujących na współpracę Abraszewskiego. Wiele przemawia za tym, że jego rola polegała na pośrednictwie w przekazywaniu informacji i uwiarygodnianiu operacji. Zachowany materiał dokumentacyjny pozwala stwierdzić, że kluczową rolę odegrali Helena Moor „Lena”, „Maria” (w konspiracji „Juka”, pracownica kancelarii w Komendzie Okręgu Lublin AK) i Stanisław Wnuk „Iskra”, „Dziadek”, „Żmudzki” (w konspiracji kpt. „Opal”, były zastępca „Zapory”).

Ujętą w komplecie ósemkę przewieziono do odległego o 140 km Będzina i umieszczono w miejscowym PUBP. Dlaczego wybrano akurat to miasto Zagłębia Dąbrowskiego? Nie wiadomo. Jeśli wierzyć zapiskom z protokołów rewizji osobistych, to zostały one przeprowadzo-

ne dopiero 18 września, właśnie w Będzinie. Dlaczego zatrzymanych osób nie przewieziono do aresztu śledczego MBP przy ul. Koszykowej w Warszawie? Prawdopodobnie dlatego, aby jak najdłużej utrzymać w tajemnicy ich pojmanie.

Pewne poszlaki wskazują na to, że operację kontynuowano, próbując namówić do wyjazdu kolejnych partyzantów. Bezskutecznie. Z pamiętnika kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka” wynika, że wieść o aresztowaniu dotarła na Lubelszczyznę wiosną 1948 roku. Pod datą 14 kwietnia zapisał on: „Przykre wiadomości otrzymałem o »Zaporze«. Wiele przemawia za tym, że podstępnie wpadł w ręce UB. Brak jednak danych faktycznych”. Stanisław Wnuk w relacji złożonej w latach dziewięćdziesiątych również wspominał o wiosnie 1948 roku. Miał się tego dowiedzieć z grypsu dostarczonego przez zwolnionego z aresztu UB więźnia, który przebywał w jednej celi z „Junakiem”. Z kolei kpt. Aleksander Głowacki „Wisła”, zastępca „Zapory” z okresu partyzantki powojennej, wspominał, że już we wrześniu 1947 roku przyjechała do niego na Wybrzeże matka Jerzego Miatkowskiego „Zawady”, która otrzymała gryps od syna z więzienia mokotowskie-

go. Miał w nim prosić o pomoc. Wydaje się, że Głowacki się myli i o „wpadce” dowiedział się później, niż podaje. Z dalszej części relacji wynika, że Głowacki przyjechał do Lublina i udał się do siedziby WUBP z pytaniem, dlaczego łamane są postanowienia amnestii. Zapewniono go, że w Lublinie ani w Warszawie nikt o nazwisku Miatkowski nie jest więziony.

Przesłuchaniami przewiezionych do Będzina zajęli się dwaj oficerowie Departamentu Śledczego MBP: por. Jerzy Kędziora i por. Eugeniusz Chimczak. Za stosowanie niedozwolonych metod śledczych obaj zostali skazani: Kędziora dwukrotnie na trzy lata więzienia – pierwszy raz w 1956, a drugi w 2012 roku; Chimczak zaś na 7,5 roku więzienia w 1996 roku, w procesie z Adamem Humerem. Pierwsze zachowane w aktach sprawy sądowej protokoły przesłuchań, które odbywały się w Będzinie, pochodzą z 19 września 1947 roku, a ostatni z 18 października. „Bezpośrednio po aresztowaniu siedzieliśmy w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Będzinie, skąd przewieziono nas do Warszawy, do aresztu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Areszt ten mieścił się w podziemiach obecnego ▶



Fot. AIPN

▶ Lato 1947 roku, mjr „Zapora” (po lewej) i kpt. Zdzisław Broński „Uskok”

gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości. Warunki były, można powiedzieć, znośne, choć siedzieliśmy w piwnicach i przez ponad rok nie wychodziliśmy na spacer. Śledztwo wobec oczywistości naszej sprawy nie było specjalnie ciężkie” – wspominał Władysław Siła-Nowicki. Do aresztu śledczego MBP przy ul. Koszykowej przewieziono ich 23 października 1947 roku.

### Proces

Termin pierwszej rozprawy przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie wyznaczono na środek 3 listopada 1948 roku. Składowi orzekającemu przewodniczył mjr Józef Badecki, „zasłużony” sędzia wojskowy – m.in. pół roku wcześniej zasiadał w składzie sędziowskim, który skazał na karę śmierci rtm. Witolda Pileckiego. W roli ławników występowało dwóch żołnierzy Wojska Polskiego – plutonowy i kapral. Oskarżycielem był prokurator kpt. Tadeusz Malik. Władysław Siła-Nowicki tak wspominał te wydarzenia: „Od kilku miesięcy siedziałem w pojedynce. Do mojej celi wrzucono mundur żołnierza Wehrmachtu bez oznak i oświadczono, że w tym stroju *feldgrau*, pamiętnym z września 1939 roku i z okresu okupacji, będę odpowiadał przed sądem. Wzruszyłem ramionami, ale nie kwestionowałem tego, uważając, że niemiecki mundur to zniewaga nie dla mnie, ale dla sądu. Dwoma chyba samochodami, na otwartych platformach, przewieziono nas po czterech, siedzących jeden za drugim i otoczonych bardzo liczną zbrojną eskortą w mundurach wojskowych, do gmachu sądu. [...] Wejście po schodach na pierwsze piętro, gromada ubeków, parę osób z najbliższej rodziny – na korytarzu – i tylko z daleka wymienione gesty powitania”. Rozprawy odbywały się za zamkniętymi drzwiami w dniach 3–15 listopada 1948 roku. Wszyscy zostali skazani na karę śmierci. Wobec Hieronima Dekutowskiego orzeczono siedmiokrotną karę śmierci. Bolesław Bierut skorzystał z prawa łaski jedynie wobec Władysława Siła-Nowickiego. Prośbę o jego ułaskawienie pisała m.in. jego krewna, a rodzona



**Hieronim Dekutowski „Zapora”**, major WiN, ur. 24 września 1918 roku w Dzikowie koło Tarnobrzegu. Pochodził z wielodzietnej rodziny rzemieślnika. Ukończył szkołę średnią, bez uzyskania matury. Harcerz. W wojnie 1939 roku walczył jako ochotnik. Po 17 września 1939 roku internowany na Węgrzech. Uciekł i dotarł do Francji. Walczył na wzgórzach Clos du Doubs. Po kapitulacji Francji dotarł do Wielkiej Brytanii. Od 24 kwietnia 1942 roku na przeszkoleniu dywersyjnym do pracy w kraju. 4 marca 1943 roku zaprzysiężony jako cichociemny. Zrzucony do

Polski w nocy z 16 na 17 września 1943 roku, cztery lata po opuszczeniu Polski. Został oficerem w oddziale partyzanckim ppor. Tadeusza Kuncewicza „Podkowy” na Zamojszczyźnie. Od stycznia 1944 roku szef Kedywu Inspektoratu Lublin–Puławy AK. Do lipca 1944 roku dowodzony przez niego oddział samodzielnie lub wspólnie z innymi grupami przeprowadził ponad osiemdziesiąt akcji bojowych i dywersji pozafrontowej. Był to najlepszy wynik wśród wszystkich oddziałów Okręgu Lublin AK. W czasie akcji „Burza” jego oddział otwierał 1. kompanię 8. pp Legionów AK. 28 lipca 1944 roku zdemobilizował oddział. Ukrywał się przed NKWD, już od października 1944 roku otwierał oddział. W połowie 1945 roku zgrupowanie liczyło od dwustu do trzystu partyzantów. Środkowa i południowa część Lubelszczyzny znajdowała się pod kontrolą jego oddziałów. Latem 1945 roku ponownie zdemobilizował zgrupowanie i ujawnił swoich podkomendnych. Po nieudanej próbie przejścia do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec, od grudnia 1945 roku zaczął otwierać zgrupowanie w ramach WiN. Z ustaleń funkcjonariuszy UB wynika, że w okresie od wiosny 1945 do wiosny 1947 roku oddziały zgrupowania przeprowadziły ponad sześćset różnego rodzaju akcji zbrojnych, z czego ponad sześćdziesiąt to bardzo poważne starcia z jednostkami komunistycznego aparatu represji. Wiosną 1947 roku ujawnił większość swoich podkomendnych.



**Roman Groński „Żbik”**, por. WiN, ur. 28 lutego 1926 roku w Kraśniku. Ukończył jedną klasę Szkoły Mechanicznej w Chelmie, z zawodu ślusarz. W czasie okupacji niemieckiej pracował w zakładach lotniczych Heinkla. Od listopada 1943 roku ukrywał się, aby uniknąć wywiezienia na roboty przymusowe do Niemiec. Od marca 1944 roku w szeregach oddziału dywersyjnego Kedyw por. „Zapory”. Brał udział we wszystkich akcjach zbrojnych oddziału do lipca 1944 roku. Walczył w czasie akcji „Burza”. Rozbrojony przez Sowietów. Od października 1944 roku ponownie w szeregach oddziału, przeszedł cały szlak bojowy do lata 1945 roku. Ujawniony w sierpniu 1945 roku. Nie zaniechał działalności. Po powrocie „Zapory” z Czechosłowacji ponownie w szeregach oddziału. Od czerwca 1946 roku dowódca patrolu żandarmerii, zwalczał pospolity bandytyzm. Po śmierci por. Michała Szeremickiego „Misia” objął dowództwo nad jego plutonem. Nie ujawnił się.



**Stanisław Łukasik „Ryś”**, kpt. WiN, ur. 2 sierpnia 1918 roku w Lublinie. Syn robotnika kolejowego. Jako piętnastolatek podjął naukę w Szkole Podoficerskiej dla Młodoletnich w Koninie, a przed 1939 rokiem służył jako podoficer zawodowy (plutonowy) w 23. pp we Włodzimierzu Wołyńskim. W wojnie 1939 roku walczył ze swoją jednostką w ramach Armii „Pomorze”. Za męstwo i odwagę odznaczony Krzyżem Walecznych na placu boju osobiście przez dowódcę 16. DP, gen. Zygmunta Bohusza-Szyszkę. Od listopada 1939 roku w szeregach Związku

Czynu Zbrojnego, a później Polskiej Organizacji Zbrojnej i Armii Krajowej. Był kolejno podoficerem łącznikowym komendy Okręgu, komendantem rejonu i komendantem Konspiracyjnej Szkoły Podchorążych, na bazie której w styczniu 1944 roku utworzył lotny oddział partyzancki Obwodu Lublin AK. Przeprowadził wiele akcji zbrojnych (m.in. w lutym 1944 roku pod Wojcieszynem uwolnił 23 więźniów transportowanych do obozu koncentracyjnego na Majdanku). Po raz drugi odznaczony Krzyżem Walecznych. W lipcu 1944 roku jego 5. pluton OP 8. pp Legionów liczył 120 ludzi. Rozbrojony przez Sowietów. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Ujęty przez NKWD 25 sierpnia 1944 roku. Uciekł, skacząc z drugiego piętra aresztu przy ul. Chopina w Lublinie. Od marca 1945 roku rozpoczął odtwarzanie oddziału partyzanckiego, z którym od czerwca 1945 roku znalazł się w zgrupowaniu „Zapory”. Ujawniony latem 1945 roku. Wyjechał na Ziemię Zachodnią. Od marca 1946 roku ponownie dowódca 30–35-osobowego oddziału zbrojnego podporządkowanego „Zaporze”. Wiosną 1947 roku ujawnił oddział, sam wyjechał na Mazury.



**Jerzy Miatkowski „Zawada”**, por. WiN, ur. 8 czerwca 1923 roku w Jablonie k. Warszawy. Ukończył cztery klasy gimnazjum, od 1943 roku żołnierz AK. W Powstaniu Warszawskim walczył w batalionie AK „Kiliński” w Śródmieściu. Po kapitulacji przetrzymywany w obozach jenieckich, skąd uwolnili go wojska amerykańskie. W trakcie powrotu do Polski, w Pradze czeskiej poznał Zbigniewa Sochackiego „Zbyszka” ze zgrupowania „Zapory”, z którym przyjechał do Polski w grudniu 1945 roku, a w styczniu 1946 roku dotarł do Urzędowa i przyłączył się do oddziału „Zapory”.

Służył w patrolu por. Jana Szaliłowa „Renka”. W lipcu 1946 roku mianowany na stanowisko adiutanta mjr. „Zapory”. Odznaczony Krzyżem Walecznych. Wiosną 1947 roku ujawnił się i powrócił do Warszawy.



**Władysław Siła-Nowicki „Stefan”**, kpt. WiN, ur. 22 czerwca 1913 roku w Warszawie. Przed wojną ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie wojny 1939 roku walczył w szeregach 6. psk, w stopniu ppor. kawalerii, ciężko ranny w okolicach Warszawy. Jesienią 1939 roku znalazł się w sowieckiej strefie okupacyjnej, a następnie na Litwie, skąd chciał się przedrzeć do polskiego wojska we Francji. Od jesieni 1941 roku w szeregach konspiracji, działacz podziemnej „Unii” i Delegatury Rządu. Od marca 1943 roku żołnierz Kedywu Warszawa-Śródmieście.

Uczestnik Powstania Warszawskiego, ciężko ranny pod koniec września. Odnznaczony Krzyżem Walecznych. Opuścił stolicę z ludnością cywilną. Od lata 1945 roku w szeregach WiN, początkowo jako szef propagandy Obwodu Lublin-Miasto, od lutego 1946 roku prezes tegoż Obwodu. Równolegle zaangażowany w działalność Stronnictwa Pracy (wiceprezes wojewódzki). Od września 1946 roku do ujawnienia w marcu 1947 roku inspektor Inspektoratu Lublin WiN. Po zwolnieniu z więzienia (1956) został zrehabilitowany w 1957 roku. Działacz KIK, obrońca w procesach politycznych działaczy KOR, KPN i Solidarności w stanie wojennym. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. Prezes reaktywowanego Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy. Zmarł 25 lutego 1994 roku w Warszawie.



**Tadeusz Pelak „Junak”**, por. WiN, ur. 1 października 1922 roku w Wilkołazie k. Kraśnika. Pochodził z wielodzietnej rodziny chłopskiej. Ukończył szkołę powszechną. W Związku Walki Zbrojnej od 1941 roku. Od jesieni 1943 roku żołnierz oddziału dywersyjnego Kedyw w Inspektoracie Lublin-Puławy AK, dowodzonego kolejno przez trzech cichociemnych: ppor. cc Jana Poznańskiego „Ewę”, ppor. cc Stanisława Jagielskiego „Siapka” i „Zaporę”. Pełnił funkcję drużynowego. Walczył w czasie akcji „Burza”. Od maja 1945 roku ponownie w zgrupowaniu „Zapory” w plutonie por. Aleksandra

Sochalskiego „Ducha”. Ujawniony latem 1945 roku. W prowadzonej przez niego restauracji w Łubkach-Halinówce k. Nałęczowa znajdowała się skrzynka kontaktowa zgrupowania. W sierpniu 1946 roku ujęty przez milicjantów, uciekł, zabijając dwóch z nich. Ujawniony po raz drugi w marcu 1947 roku.



**Edmund Tudruj „Mundek”**, por. WiN, ur. 22 października 1923 roku w Stasinie k. Lublina. W czasie okupacji na tajnych kompletach dokończył rozpoczętą przed wojną edukację w gimnazjum. Od 1943 roku w szeregach AK. Ukończył konspiracyjną Szkołę Podchorążych prowadzoną przez sierż. Stanisława Łukasika „Rysia”. Od stycznia 1944 roku w lotnym oddziale partyzanckim „Rysia”. Brał udział we wszystkich akcjach zbrojnych oddziału. Walczył w czasie akcji „Burza”. Odnznaczony Krzyżem Walecznych. Rozbrojony przez Sowietów pod Polanówką w powiecie lubelskim.

W październiku 1944 roku aresztowany przez NKWD i wywieziony do łagru w Borowiczach, skąd powrócił w marcu 1946 roku. Podjął pracę i naukę. Od maja 1946 roku ponownie w oddziale kpt. „Rysia”. Początkowo był prowiantowym oddziału, a następnie zastępcą dowódcy jednego z patroli. Nie ujawnił się. W maju 1947 roku wyjechał na zachód Polski.



**Arkadiusz Wasilewski „Biały”**, por. WiN, ur. 4 stycznia 1925 roku w Sterdyniu k. Sokołowa Podlaskiego. Ukończył jedną klasę gimnazjum, z zawodu elektryk. W czasie okupacji przebywał na przymusowych robotach w Niemczech, skąd zbiegł. Od 1943 roku żołnierz oddziału partyzanckiego w Obwodzie AK Sokołów Podlaski. W 1944 roku znalazł się u rodziny w Urzędowie na Lubelszczyźnie, gdzie został żołnierzem oddziału AK kpt. Stanisława Łokuciewskiego „Małego”. W sierpniu 1944 roku zgłosił się do Wojska Polskiego, skierowany do Wojsk Wewnętrznych.

W maju 1945 roku zdezerterował i wstąpił w szeregi zgrupowania „Zapory”. Ujawniony w sierpniu 1945 roku, lecz kilka miesięcy później – w grudniu – został aresztowany przez UB. Przeszedł ciężkie śledztwo w WUBP w Lublinie. Po zwolnieniu z więzienia w październiku 1946 roku powrócił w szeregi zgrupowania. Służył w patrolu por. Jana Szalitowa „Renka” do sierpnia 1947 roku.

siostra Feliksa Dzierżyńskiego, Aldona Kojałłowiczowa.

Ostatnią nadzieją miała być ucieczka. Na przełomie stycznia i lutego 1949 roku grupa wtajemniczonych więźniów przebywająca w celi śmierci rozpoczęła przygotowania. Łyżką zaostrzoną o beton wydłubali otwór w suficie klozetu. To stwarzało możliwość przedostania się na strych, a następnie na dach jednopiętro-

wego budynku gospodarczego. Stamtąd planowali opuszczenie się na powiązanych prześcieradłach na chodnik biegnący wzdłuż ulicy Rakowieckiej. Kiedy otwór w suficie był gotowy, zrobiono rozpoznanie drogi ucieczki. Zaczęło się nerwowe wyczekiwanie na bezkسیężycowe noce, które zwiększyłyby szanse na powodzenie planu. Niestety, jeden z więźniów kryminalnych – prawdopodobnie agent celny

(więzienny) – zadencjonował spiskowców. Zostali wywleczeni z celi, ciężko pobici, a następnie umieszczeni w pojedynczych celach w piwnicach.

W poniedziałkowe popołudnie 7 marca 1949 roku z jednej z takich cel zabrano Siła-Nowickiego. Naczelnik więzienia kpt. Alojzy Grabicki przekazał mu decyzję Bieruta o zamianie kary śmierci na dożywotnie więzienie. Następnie przeniesiono go do celi, gdzie ostatnie godziny spędził z Miatkowskim i Pelakiem.

Wieczorem tego dnia z kolejnych cel wywołano siódmkę skazanych, wobec których Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wszyscy musieli się przebrać w mundury Wehrmachtu. Z protokołów wykonania kary śmierci wynika, że przy egzekucji byli obecni: wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej mjr Stanisław Cypryszewski, naczelnik więzienia kpt. Grabicki, lekarz ppłk dr Marek Charbicz, ksiądz płk Michał Zawadzki i dowódca plutonu egzekucyjnego st. sierż. Piotr Śmietaniński. O 19.00 sierż. Śmietaniński strzałem w potylicę pozbawił życia Hieronima Dekutowskiego, następnie w pięciominutowych odstępach ginęli kolejno: Łukasik, Groński, Tudruj, Pelak, Wasilewski i Miatkowski.

Zwłoki przewieziono na Cmentarz Wojskowy na Powązkach i zakopano w jednej mogile na „Łączce”. Dokładne miejsce było nieznane do lata 2012 roku. W wyniku prac ekshumacyjnych zespołu dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka odkryto jamę grobową, z której wydobyto osiem szkieletów. Dzięki badaniom genetycznym zidentyfikowano Stanisława Łukasika „Rysia”, o czym poinformowano w grudniu 2012 roku. Z kolei 20 lutego 2013 roku dowiedzieliśmy się o ustaleniu tożsamości Tadeusza Pelaka „Junaka”, 22 sierpnia – Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, a 28 lutego 2014 roku – Romana Grońskiego „Żbika”, Jerzego Miatkowskiego „Zawady”, Edmunda Tudruja „Mundka” i Arkadiusza Wasilewskiego „Białego”.

23 maja 1994 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie unieważnił wyrok z 1948 roku. ❀

dr Sławomir Poleszak – historyk, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Lublinie

## Zidentyfikowane osoby to:



**Jan Czeredys** (1912–1948) – major Wojska Polskiego; walczył we wrześniu 1939 roku w obronie twierdzy Modlin, następnie zaangażowany w struktury konspiracyjne Armii Krajowej. W drugiej połowie 1944 roku wstąpił do ludowego Wojska Polskiego. W 1948 roku został niesłusznie oskarżony o udział w „monopolu firm prywatnych na dostawy dla wojska”. Aresztowany 13 lutego 1948 roku, skazany na śmierć 3 listopada tego samego roku, stracony 28 grudnia.



**Adam Gajdek** „Agata”, „Antek”, „Dlek” (1915–1949) – podoficer Wojska Polskiego, żołnierz Związku Walki Zbrojnej, AK i WiN. W październiku 1944 roku został powołany do IWP, ale kontynuował działalność niepodległościową, m.in. w strukturach organizacji „Nie”. Aresztowany 17 października 1947 roku, skazany na śmierć 23 października 1948 roku, stracony 14 stycznia 1949 roku.

**Roman Groński „Żbik”** (1926–1949) – patrz biogram na s. 34.



**Aleksander Adam Kita** (1912–1952) – podpułkownik Wojska Polskiego; podczas wojny obronnej w 1939 roku dowodził kompanią ckm 1. batalionu 45. pp 13. DP Armii „Prusy”. Okupację niemiecką spędził w niewoli. W 1945 roku rozpoczął pracę w toruńskim Kuratorium Oświaty, ale wkrótce został powołany do IWP. We wrześniu 1947 roku został przeniesiony do Sztabu Generalnego. Pracował w podkomisji ds. wytyczenia granicy polsko-radzieckiej. 23 maja 1952 roku został aresztowany pod fałszywym zarzutem udziału w spisku w wojsku. 8 sierpnia 1952 roku skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 3 grudnia tego samego roku. W 1956 roku Naczelna Prokuratura Wojskowa uchyliła wyrok sprzed czterech lat.

**Jerzy Miatkowski** „Zawada” (1923–1949) – patrz biogram na s. 34.



**Stanisław Mieszkowski** (1903–1952) – komandor Marynarki Wojennej; był ochotnikiem w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. We wrześniu 1939 roku brał udział w obronie wybrzeża polskiego przed lotnictwem niemieckim, następnie bronił Helu. Do stycznia 1945 roku przebywał w niemieckich obozach jenieckich. Po wojnie rozpoczął służbę w Głównym Urzędzie Morskim, od 1947 roku był szefem Sztabu Głównego Marynarki Wojennej, a od 1949 – dowódcą Floty. Aresztowany 20 października 1950 roku pod fałszywym zarzutem szpiegostwa. Najwyższy Sąd Wojskowy skazał go na śmierć 21 lipca 1952 roku. Wyrok wykonano 16 grudnia tego samego roku.



**Antoni Olechnowicz** „Krzysztof”, „Kurkowski”, „Lawicz”, „Meteor”, „Pohorecki” (1905–1951) – kapitan dyplomowany Wojska Polskiego, podpułkownik AK, ostatni komendant Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej; w wojnie obronnej 1939 roku kwatermistrz 33. DP, następnie walczył w strukturach ZWZ/AK, m.in. dowodził I Zgrupowaniem AK w operacji „Ostra Brama” (1944). Aresztowany 26 czerwca 1948 roku w ramach operacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego „Akcja X”. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 2 listopada 1949 roku skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 8 lutego 1951 roku w Warszawie.

# Znamy kolejne nazwiska z „Łączki”

Karolina Wichowska

– Dla nas to pierwszy dzień, w którym nie czujemy się obywatelami drugiej kategorii – powiedział Witold Mieszkowski, syn kmr. Stanisława Mieszkowskiego, po ogłoszeniu kolejnej części wyników badań identyfikacyjnych po ekshumacjach na powązkowskiej „Łączce” w Warszawie. Dwanaście nazwisk bohaterów zamordowanych w okresie stalinizmu ujawniono podczas konferencji w Belwederze.

**S**zczątki żołnierzy, których nazwiska ogłoszono 28 lutego, zostały odnalezione latem 2012 i wiosną 2013 roku podczas prac ekshumacyjnych prowadzonych przez zespół archeologów, antropologów, medyków sądowych i genetyków pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka. Przedsięwzięcie realizowane jest przez Instytut Pamięi Narodowej, Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości. Identyfikacje genetyczne prowadzi zespół Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów powołanej na mocy porozumienia IPN i Pomorskie-

go Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. Trzeci etap prac ekshumacyjnych jest zaplanowany na wiosnę, a państwo-wy pogrzeb zidentyfikowanych bohaterów – na 27 września.

– Przychyłałbym się do tego, abyśmy tych bohaterów, chowanych po kryjomu i ukrywanych przed naszą pamięcią, uczcili tak, aby oni w dalszym ciągu spoczywali w tym miejscu – powiedział podczas konferencji prezydent Bronisław Komorowski. Podkreślił jednak, że tę sprawę będą musiały przemyśleć rodziny ofiar. Zwolennikiem stworzenia mauzoleum na „Łączce” jest również dr hab. Krzysztof Szwagrzyk. 🇵🇵



**Marian Orlik** (1916–1952) – podpułkownik Wojska Polskiego; w czasie wojny obronnej 1939 roku walczył w 1. Dywizji Piechoty Legionów. Od października 1939 roku do końca niemieckiej okupacji przebywał w niewoli. Po wojnie został powołany do ludowego Wojska Polskiego, w 1947 roku przeniesiony do Sztabu Generalnego. W 1951 roku skierowany do Centrum Wyszolenia Medycznego w Łodzi. Rok później zrezygnował ze służby. W maju 1952 roku został aresztowany pod fałszywym zarzutem udziału w spisku w wojsku, a w sierpniu – skazany przez Najwyższy Sąd Wojskowy na śmierć. Stracony 3 grudnia 1952 roku.



**Zbigniew Przybyszewski** (1907–1952) – komandor Marynarki Wojennej; we wrześniu 1939 roku dowodził baterią im. Kmdr. ppor. Helidora Laskowskiego na Helu; do stycznia 1945 roku przebywał w niewoli niemieckiej. Po wojnie powołany do służby w ludowym Wojsku Polskim – został wykładowcą w Szkole Specjalistów Morskich. Wyznaczono go na dowódcę Dywizjonu Ścigaczy, następnie awansowano na pomocnika Szefa Oddziału Sztabu Głównego MW. Aresztowany 17 września 1950 roku pod fałszywym zarzutem szpiegostwa. 21 lipca 1952 roku Najwyższy Sąd Wojskowy skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 16 grudnia tego samego roku.



**Karol Rakoczy** (1928–1950) – żołnierz Ruchu Oporu AK, następnie Narodowych Sił Zbrojnych; walczył w powojennej partyzantce antykomunistycznej od 1946 roku. Aresztowany po walce z grupą operacyjną UB–KBW w okolicach Sinogóry w powiecie mławskim. 29 września 1949 roku Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 29 marca następnego roku.

**Edmund Tudrui „Mundek”** (1923–1949) – patrz biogram na s. 35.

**Arkadiusz Wasilewski „Biały”** (1925–1949) – patrz biogram na s. 35.

# Zatrzymane tabory

Piotr Jacek Krzyżanowski

**W 1964 roku władze PRL zakazały Cyganom wędrować taborami. Rozwiązały w ten sposób tzw. zagadnienie cygańskie w powojennej Polsce.**

**K**omuniści nie chcieli tolerować w Polsce ludzi, którzy ze względu na swoją kulturę i tryb życia nie zamierzali poważnie traktować ideologii nakazującej im rezygnację ze swojej tożsamości i dołączenie we wszystkich przejawach życia do „ludu pracującego miast i wsi”. Według władz przeszłości w osiągnięciu tego celu był prowadzony przez Cyganów wędrowny tryb życia, a sposobem usunięcia tej przeszkody miało się stać przeprowadzenie akcji osiedleńczej.

W związku z tym podjęto wiele działań, które doprowadziły ostatecznie do porzucenia przez Cyganów koczowniczego trybu życia. Ich kulminacją miała miejsce pół wieku temu – wiosną 1964 roku. Realizacja wizji jednorodnego społeczeństwa socjalistycznego sprawiła, że w ciągu kilku lat zniknęły z polskich dróg cygańskie tabory. Cy-

ganie, którzy pamiętają wprowadzony w 1964 roku zakaz wędrowki, mówią wprost o swojej tragedii: „podcięto nam skrzydła i zamknięto nas w klatce”. Do dziś nie jest znana liczba Cyganów, którzy z tego powodu odebrali sobie życie.

## „Element niepożądany”

W okresie II wojny światowej ziemie polskie okupowane przez III Rzeszę stały się jednym z głównych miejsc eksterminacji Cyganów w Europie. Zwożeni przez Niemców z państw podbitych oraz z samych Niemiec, ginęli w getcie łódzkim i getcie warszawskim, w obozach pracy i obozach koncentracyjnych utworzonych na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Cyganów polskich najczęściej zabijano na miejscu schwywania podczas organizowanych obław. Symbolem pozaobozowej ekster-

minacji stała się likwidacja przez Niemców w lipcu 1943 roku blisko stuosobowej osady cygańskiej w miejscowości Szczurowa w Małopolsce. W sumie na terenie okupowanego kraju Niemcy wymordowali ok. 35 tys. Cyganów.

Po zakończeniu wojny na leśnych traktach ponownie pojawiły się tabory. Cyganie dołączyli do rzeszy osób przemieszczających się i przemierzających kraj w wyniku następstw wojny i zmiany granic. Wielu z nich przywędrowało do powojennej Polski ze wschodnich terenów II Rzeczypospolitej. Starali się żyć jak dawniej, jeżdżąc taborami z miejsca na miejsce i trudniąc się swymi tradycyjnymi zajęciami: muzykowaniem, kowalstwem, handlem końmi oraz wróżbiarstwem. Fakt, że Cyganie w pierwszych latach powojennych mogli w Polsce swobodnie wędrować, nie oznacza, że nie byli przedmiotem zainteresowania władz państwowych. Wojewoda poznański Feliks Widy-Wirski ▶



▶ Tańczące Cyganki, lata sześćdziesiąte lub siedemdziesiąte

już w październiku 1945 roku zaniepokoił się dużym napływem Cyganów na Ziemię Zachodnie. Przypuszczał, że zjawisko to było związane z ogólną akcją repatriacyjną, a także z nielegalnym przekraczaniem granicy przez Cyganów. W związku z tym 24 października wydał Okólnik nr 98 w sprawie zwalczania wędrownych obozów cygańskich. Dokument ten został skierowany do starostów powiatowych i prezydentów miast wydzielonych oraz pełnomocników obwodowych Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Ziemiach Odzyskanych.

Okólnik już w tytule jasno określił cel działań, jakie miał podjąć aparat państwowy na terenie województwa poznańskiego. W wydanym dokumencie Cyganie zostali określani jako element niepożądany z uwagi na uprawiane żebractwo i włóczęgostwo, połączone z różnego rodzaju przestępczością. Ponadto, zdaniem wojewody poznańskiego, w obozach cygańskich schronienia mogli szukać międzynarodowi agenci. Dlatego też polecił podległym sobie urzędnikom zmusić Cyganów do podjęcia produktywnej pracy, a jednostki odporne skoszarować. Natomiast konie, których pochodzenia Cyganie nie mogli wykazać, miały im zostać odebrane i przekazane gospodarstwom chłopskim. Tak restrykcyjna polityka względem Cyganów miała zmusić ich do opuszczenia województwa poznańskiego oraz zniechęcić do powrotu w przyszłości. Ministerstwo Administracji Publicznej uznało jednak, że okólnik wojewody

poznańskiego ma żadnych podstaw prawnych, i zaleciło jego anulowanie.

Cyganie mogli się dalej swobodnie poruszać i jednocześnie nadal wtapiali się w setki tysięcy ludzi przemierzających wówczas kraj. Nie oznaczało to jednak, że władze zapomniały o tej społeczności. Okólnik wojewody poznańskiego stanowił zapowiedź przyszłej polityki państwa względem koczujących Cyganów.

### Cyganie do pegeerów

W 1949 roku aparat państwowy ponownie skupił uwagę na Cyganach. Władze nie wzięły jednak pod uwagę tego, że społeczność ta nie jest jednolita, lecz dzieli się na różne grupy i rody. Zignorowano również fakt, że oprócz Cyganów wędrownych byli także tacy, którzy już dawno temu zaprzestali koczowniczego trybu życia.

Działania władz polegały w pierwszej kolejności na rozładowaniu największego skupiska osiadłych Cyganów, które wówczas w Polsce znajdowało się w województwie krakowskim. Mieli oni zostać przesiedleni na tzw. Ziemię Odzyskane i zatrudnieni w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Za akcję werbunkową oraz wykonanie całej operacji odpowiadał Wojewódzki Oddział Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Krakowie. Przesiedlonym rodzinom cygańskim oferowano lokale mieszkalne oraz doraźną pomoc rzeczową. Cyganie byli przesiedlani przede wszystkim do utworzonych obszarów osiedlenia, wytyczonych na terenie województwa szczyńskiego i wielkopolskiego. Było to działanie dowodzące nieznajomości

psychiki Cyganów, którzy nigdy nie zajmowali się uprawą ziemi i nie posiadali takich umiejętności. Wielu z nich było nieprzyzwyczajonych do dłuższego wysiłku fizycznego. W dodatku źródłem utrzymania dla Cyganów były zajęcia, które wymagały mobilności, np. kowalstwo i kotlarstwo.

W związku z tym akcja przesiedleńcza nie miała szans na powodzenie, czego nie kryły nawet osoby zaangażowane bezpośrednio w jej realizację. Dyrektor Wojewódzkiego Oddziału PUR w Krakowie w sprawozdaniu z 29 kwietnia 1950 roku, skierowanym do Wydziału Przesiedleńczego Zarządu Centralnego PUR w Łodzi, raportował, że „element cygański jest bardzo ruchliwy, sprytny, wybuchowy, solidarny, ale i pracowity”. Dlatego też uważał, że Cyganie odpowiednio pokierowani mogą stać się grupą obywateli pożytecznych dla państwa. Dyrektor Oddziału PUR w Krakowie skarżył się jednak centrali w Łodzi, że przeszkodą w realizacji tych zamierzeń były drwiny ze strony osób z terenu, które miały się zaopiekować Cyganami i traktowały całą akcję niepoważnie.

Faktycznie, Cyganie zazwyczaj po krótkim czasie zniechęcali się do pracy w pegeerach i powracali w rodzinne strony na południu kraju. Jako przyczynę swojej decyzji podawali tęsknotę za najbliższymi, złe samopoczucie w nowym miejscu zamieszkania, zły stan zdrowia, a także niemożność podolenia ciężkiej pracy fizycznej. Dlatego władze w końcu zarzuciły swój pomysł i skupiły uwagę na osiedleniu koczujących Cyganów i ich stałym zatrudnieniu, czyli tzw. produktywizacji.

► Tabor cygański, 1963 rok



## Akcja „C”

Wejście w życie ustawy z 21 lipca 1950 roku o sześćdziesięcioletnim planie rozwoju gospodarczego i budowie podstaw socjalizmu zbiegło się z wprowadzeniem ustawy o socjalistycznej dyscyplinie pracy. Dlatego Cyganie, którzy prowadzili koczowniczy tryb życia i nie podejmowali stałego zatrudnienia, nie mogli zostać zaliczeni do ludu pracującego. Zdaniem władz należało więc przeprowadzić „produktywizację” ludności cygańskiej na wzór radziecki. Dla komunistów największe znaczenie miały pierwsze lata realizacji planu sześćdziesięcioletniego i w tym też okresie władze centralne oraz terenowe wykazały się największą aktywnością w osiedlaniu i „produktywizacji” Cyganów. Wędrowny tryb życia prowadzony przez Cyganów został uznany za anachronizm. 24 maja 1952 roku prezydium rządu podjęło uchwałę w sprawie pomocy ludności cygańskiej przy przechodzeniu na osiadły tryb życia. Uchwała zobowiązywała prezydium rad narodowych wszystkich szczebli do „wychowawczego oddziaływania na ludność cygańską w kierunku porzucenia przez nią koczowniczego trybu życia i przejścia na tory produktywnego życia osiadłego”. W tym celu Zespół II Prezydium Rady Ministrów wydał podległym jednostkom instrukcję, która określała zasady propagandowego oddziaływania na koczujących Cyganów oraz zewidencjonowania potrzeb Cyganów osiadłych. Prezydium rad narodowych wszystkich szczebli miały zwrócić szczególną uwagę na warunki lokalowe Cyganów oraz posyłanie przez nich dzieci do szkół. Władze po raz pierwszy jasno dały do zrozumienia, że w Polsce Ludowej będą tolerowały tylko tych Cyganów, którzy porzucili koczowniczy tryb życia i podjęli stałe zatrudnienie.

Warunkiem powodzenia akcji osiedleńczej oraz tzw. produktywizacji Cyganów było ustalenie ich liczby. Postanowiono więc policzyć Cyganów na terenie kraju. 2 września 1952 roku Komendant Główny Milicji Obywatelskiej wydał zarządzenie w sprawie zewidencjonowania i kontroli ruchu ludności cygańskiej. Operacji nadano kryptonim: akcja „C”.



► Tablica na domu przy ul. Kosynierów Gdyńskich w Gorzowie Wielkopolskim

Jej plany zostały opracowane przez wojewódzkie i powiatowe komendy MO przy współpracy z prezydiami wojewódzkich i powiatowych rad narodowych. Sposób działania uzgodniono też z komitetami wojewódzkimi i powiatowymi Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Akcja „C” została przeprowadzona na terenie całego kraju od 22 do 24 września 1952 roku. Łącznie wzięło w niej udział 296 ekip ewidencyjnych, które spisały 8878 Cyganów (4802 osiadłych i 4076 koczujących). W wyniku przeprowadzonej akcji ewidencyjnej okazało się, że największe grupy koczujących Cyganów występują na terenie województw poznańskiego, warszawskiego, olsztyńskiego, wrocławskiego i zielonogórskiego.

## Tabor Papuszy

W 1947 roku po raz pierwszy w Gorzowie Wielkopolskim zatrzymał się tabor Cyganów przybyłych z Wołynia. Szlak jego wędrówek na ziemiach zachodniej Polski przebiegał pomiędzy Szczecinem, Stargardem Szczecińskim, Pyrzycami, Gorzowem Wielkopolskim, Świebodzinem, Zieloną Górą i Żaganiem. Ostatecznie w 1952 roku tabor osiadł na stałe w Gorzowie Wielkopolskim.

Składał się z rodzin o silnych tradycjach muzycznych: Wajsów, Krzyżanowskich, Dębickich, Korzeniowskich, Jaworskich, Siwaków i Zielińskich. Miał orkiestrę z tak znanymi muzykami, jak Dionizy Wajs, który grał na harfie, czy skrzypek Karol Siwak. Z taborem byli również związani Bronisława Wajs, pseudonim Papusza (żona Dionizego Wajsa), i jej krewny Edward Dębicki, założyciel cygańskiego zespołu muzycznego Terno.

Twórczość poetką Papuszy odkrył literat Jerzy Ficowski. W Gorzowie Wielkopolskim Papusza zamieszkała na stałe w 1953 roku i jako poetka cygańska została uznana przez władze terenowe za „duchowego przewodnika” miejscowych Cyganów. W związku z tym Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Gorzowie Wielkopolskim postanowiło przyznać jej mieszkanie o dobrym standardzie. Chodziło o to, aby przykład poetki i warunków, w jakich żyła, zachęcił wędrujących Cyganów do osiadłego trybu życia. Jednak dogodne warunki lokalowe, jakie miała mieć zapewnione Papusza, nie pokrywały się do końca z rzeczywistością. Pierwsze jej mieszkanie, znajdujące się w ponemieckim domu przy ul. Młyńskiej 6, było w bardzo złym stanie. Kolejne przydzielone poetce, przy ul. Kosynierów Gdyńskich 20, poprawiło jej warunki mieszkaniowe, było jednak nadal bardzo skromne. Dom Papuszy stoi do dziś w pobliżu parku zwanego przez gorzowian Parkiem Róż.

► Pomnik Papuszy w gorzowskim Parku Róż



Fot. P. J. Krzyżanowski

Było to miejsce często odwiedzane przez poetkę. Obecnie znajduje się tam jej pomnik.

### Kontrola i paszportyzacja

Z uwagi na to, że w 1952 roku tylko część Cyganów została objęta ewidencją, ponownie do tego zadania władze powróciły trzy lata później w ramach tzw. paszportyzacji ludności cygańskiej. Zaplanowaną ogólnie akcją poprzedziło rozeznanie przez posterunki i komisariaty MO rozmieszczenia wędrownych taborów cygańskich oraz liczby znajdujących się w nich osób. Akcja paszportyzacji przeprowadzona została na terenie całego kraju od 7 do 10 marca 1955 roku.

W rezultacie objęto nią ogółem 6174 osób z 271 taborów i wydano 2415 tymczasowych zaświadczeń tożsamości oraz sporządzono 1304 akty stanu cywilnego. Cyganom, którym wydawano następnie dowody osobiste, wystawiano dodatkowe metryczki. Zawierały one dane personalne oraz odciski linii papilarnych. Metryczki były załączane do specjalnej kartoteki utworzonej w Oddziale Ewidencji Ludności i Dowodów Osobistych Komendy Głównej MO.

Z kartoteki miały korzystać pionierzy operacyjne MO, a zawarte w niej dane miały uniemożliwić wydanie drugiego dowodu osobistego. Przeprowadzona akcja paszportyzacji miała ułatwić władzom kontrolę wędrujących Cyganów oraz zapatrzenie ich w dokumenty tożsamości.

Działania aparatu administracyjnego, prowadzone na podstawie Uchwały Prezydium Rządu z 24 maja 1952 roku o pomocy ludności cygańskiej przy przechodzeniu na osiadły tryb życia, napotykały opór Cyganów. Zdecydowana większość grup cygańskich nadal wędrowała, czyniąc niekiedy pozorne gesty lojalności wobec władz. Na przykład chcąc zorientować się, jak będą odnosić się do nich władze lokalne, Cyganie składali deklaracje osiedlenia się w określonej miejscowości i następnie – po krótkim postoju – ponownie wyjeżdżali w nieznanym kierunku. Doprowadziło to do napięć i nasilenia ze strony władz państwowych uprzedzeń wobec Cyganów.

Ci zaś nie potrafili zrozumieć postępowania urzędników. Przypuszczali zresztą, że są to działania przejściowe.

### Kres wędrowki

Władze doszły do wniosku, że błędem było skupianie się na pomocy materialnej dla Cyganów i liczenie, że przykład osiadłych członków tej społeczności zachęci koczujących do porzucenia wędrowki. Uznały także, że dotychczasowa polityka państwa względem koczujących Cyganów była zbyt liberalna wskutek braku konsekwencji w egzekwowaniu przestrzegania przez nich porządku prawnego. Wskrzyszono w prasie i radiu negatywne stereotypy Cyganów. Koczujący zostali naznaczeni jako włóczędzy i złodzieje, uciążliwi dla otoczenia. Zabieg ten miał ułatwić wprowadzenie planowanego od dłuższego czasu zakazu wędrowki. Zmiana nastawienia władz państwowych automatycznie spowodowała przeorientowanie wizerunku koczujących Cyganów w świadomości społecznej, wywołując powszechną niechęć do wędrujących taborów.

Na początku 1964 roku władze PRL postanowiły ostatecznie rozprawić się z koczującymi Cyganami. 5 lutego na posiedzeniu kolegium MSW zapadła decyzja o zwalczaniu wędrownych taborów cygańskich. Wiosną 1964 roku Cyganie zostali poinformowani przez pracowników prezydiów rad narodowych, że mają pozostać już na stałe w miejscu zimowego postoju, a wszelkie próby wędrowki będą surowo karane. Wobec podejmujących wędrowkę miały być rygorystycznie stosowane przepisy karno-administracyjne. Karano Cyganów na przykład za wzniecanie ognisk, za brak sprzętu przeciwpożarowego, wyrąb drzew w lesie, niszczenie dróg, nieprzestrzeganie przepisów o ruchu pojazdów zaprzęgowych (okielzanie zwierząt, prowadzenie zwierząt luzem, przeciążenie, spanie podczas jazdy), a także za nieprzestrzeganie przepisów sanitarnych. Naruszenie obowiązujących przepisów karno-administracyjnych pociągało za sobą niezwłoczną sankcję, ponieważ władze przewidziały orzekanie

w trybie przyspieszonym kar grzywny z zamianą na karę aresztu.

W ciągu kilku miesięcy wszelka wędrowka została niemal całkowicie uniemożliwiona. 23 marca 1965 roku, na posiedzeniu kolegium MSW pod przewodnictwem ministra spraw wewnętrznych Mieczysława Moczara, stwierdzono, że problem koczujących Cyganów zamiera, a władza dysponuje dostatecznymi środkami, by sukcesywnie rozwiązywać trudności związane z tym zagadnieniem. W 1967 roku wędrowny tryb życia prowadziło już tylko około 120 rodzin. W lipcu tegoż roku MSW zobligowało kierowników urzędów spraw wewnętrznych prezydiów wojewódzkich rad narodowych oraz komendantów wojewódzkich MO do niezwłocznego powiadamiania o pojawieniu się na ich terenie wędrownych taborów cygańskich oraz zastosowanych wobec wędrujących Cyganów sankcjach. Zadanie miało ułatwić system śledzenia ruchu wędrownych taborów oparty na sołtysach, służbach leśnych oraz MO. Tropienie i zwalczanie wędrownych taborów cygańskich trwało w Polsce jeszcze do połowy lat siedemdziesiątych XX wieku.

Dla osiedlonych Cyganów nie było już powrotu do wędrownego trybu życia. Nie chcieli osiedlać się na wsiach, woleli miasta i miasteczka, bo i tak przenosili się z miejsca na miejsce. Nie mogąc jeździć taborami, przemieszczali się pociągami oraz coraz częściej samochodami. Obecnie Cyganie tworzą skupiska nie większe niż 200–300 osób.

Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że z czasem Cyganie, dostosowując się do warunków zewnętrznych, sami ograniczyliby prowadzenie koczowniczego trybu życia. Byłby to jednak z pewnością proces dłuższy od tego, który został zakreślony ramami przymusowej akcji osiedleńczej. 📌

**dr Piotr Jacek Krzyżanowski** – adiunkt na Wydziale Administracji i Bezpieczeństwa Narodowego Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim, członek założyciel gorzowskiego Stowarzyszenia Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Papuszy, współautor książki *Cyganie. Mity i fakty* (2002)

# Dom to klatka

Porzucenie wozów odbieraliśmy jako niewolę. To przecież tradycja wędrowania kształtowała nasze dusze – mówi **Edward Dębicki**, cygański muzyk i poeta, w rozmowie z Magdaleną Semczyszyn

**Pana dzieciństwo upłynęło w cygańskim taborze. Jaki obraz ówczesnego świata zachował Pan w pamięci?**

To był piękny i romantyczny świat. Mój ród wywodzi się ze szczytu Polska Roma, od wielu pokoleń dominowała w nim muzyka. Według rodzinnych podań moi przodkowie grali nawet na królewskich dworach. Rodzice ojca mieli przed I wojną światową majątek w Aleksandrii na Wołyniu. Dziadek zginął na wojnie, majątek zabrali bolszewicy, a babcia ruszyła z taborom na wieczną wędrówkę. Z kolei rodzina mojej mamy utrzymywała się głównie z handlu mąką i gry na skrzypcach. Według oficjalnych, powojennych dokumentów urodziłem się w 1935 roku. Jednak w rodzinie nie było co do tego zgody. Mój tato podawał datę 1933. Muzyka towarzyszyła mi od dziecka. W naszych taborach była orkiestra, którą spośród innych wyróżniały harfy. Choć starszyzna taboru zajmowała się także wróżbiarstwem i handlem końmi, to właśnie muzykowanie przynosiło nam największy zarobek. Byliśmy ciągle w drodze. Jeździliśmy od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka. Rozbijaliśmy obozowiska blisko lasów, jezior i pastwisk. Pamiętam, że razem z innymi dziećmi siedzieliśmy wieczorami przy ognisku i słuchaliśmy opowieści krewnych.

**Jak reagowali na Państwa mieszkańcy terenów, które odwiedzaliście?**

Cyganie byli wówczas jeszcze zamkniętą grupą. Nie dopuszczaliśmy obcych do sekretów naszej wspólnoty, ale chętnie przyjmowaliśmy gości. Naszym postojom towarzyszyła wielka ciekawość miejscowych. Choć widok cygańskiego taboru na Kresach nie był wówczas niczym nadzwyczajnym, to jednak otaczała nas aura tajemniczości i egzotyki. Wieczorami obozowisko odwiedzali mieszkańcy okolicznych miejscowości. Podziwiali nasze stroje, próbowali potraw i słuchali muzyki. To właśnie ona zjednywała nam sympatię. Około 1936 roku podczas zimowego postoju w Szumsku mój tato dostał powołanie do wojska. Rada taboru uradziła, aby stanął się w jednostce. Został przydzielony do konnej brygady. Cyganie byli znani z umiejętności zajmowania się końmi, jednak prawdziwy podziw ojciec zdobył wtedy, gdy zagrał ze swoją orkiestrą na weselu córki majora.

**Razem z Wami podróżowała słynna poetka cygańska Bronisława Wajs, zwana Papuszą.**

Tak, to była moja ciotka, osoba wrażliwa i skromna. Miała artystyczną duszę i niezwykłą wyobraźnię. Podczas naszych podróży pisała pamiętnik i lubiła snuć różne, często wymyślone opowieści. ➤

**Edward Dębicki (ur. 1935)** – cygański poeta, muzyk, kompozytor i animator kultury. Dzieciństwo spędził w taborze cygańskim na terenach Galicji Wschodniej i Wołynia. Po wojnie osiedlił się w Gorzowie Wielkopolskim, gdzie w 1955 roku założył Cygański Teatr Muzyczny „Terno”, a w 1995 roku Stowarzyszenie Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Papuszy. Od 1989 roku organizuje w Gorzowie Wielkopolskim Międzynarodowe Spotkania Zespołów Cygańskich „Romanae Dyvesa”. Honorowy obywatel Gorzowa Wielkopolskiego. W 2012 roku został odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

### Gdzie znajdował się tabor Pana rodziny, gdy wybuchła wojna?

Na postoju koło wioski Tomaszowce w powiecie kałuskim. Cyganki z wróżenia we wsi wróciły zapłakane. Postanowiliśmy ruszyć w głąb Wołynia z nadzieją, że połączymy się z przebywającym tam taborom mojego wuja.

### I odtąd cygańska wędrówka zamieniła się w wojenną tułaczkę?

Tak, kolejne lata to był czas ucieczek, ciągłego strachu i głodu. Niemcy krwawo rozprawiali się z taborami. Byliśmy świadkami mordu na Cyganach koło Horochowa. Widzieliśmy także krzywdę innych mieszkańców Wołynia. Na przełomie lat 1941 i 1942 przebywaliśmy we Włodzimierzu Wołyńskim, gdzie dorosli przymusowo pracowali w żydowskim getcie. Stamtąd uciekliśmy dalej, szlakiem spalonych wsi. Zagrażała nam Ukraińska Powstańcza Armia. Cudem ocaliliśmy z mordu mieszkańców jednej z wiosek. W kolejnych miesiącach pomocy udzielali nam chłopcy – zarówno Polacy, jak i Ukraińcy – a także polska i radziecka partyzantka. Często pomagała nam muzyka. We włodzimierskim getcie wujowie grali w niemieckiej restauracji, w ukraińskich wsiach koncertowaliśmy w szkołach, w lasach przygrywaliśmy partyzantom. Nasz tabor był także miejscem schronienia. Uratowaliśmy Żydówkę, którą przebraliśmy w cygańską sukienkę. Przygarnęliśmy też Miskę – rozbitka z radzieckiej partyzantki.

### Po wojnie przybyli Państwo z falą tzw. repatriantów do Polski.

Przez kolejne miesiące szukaliśmy krewnych. Część odnaleźliśmy na Wołyniu, część – jak się później okazało – zginęła w Auschwitz. W końcu trafiliśmy do Lwowa, gdzie obozowali też inni Cyganie. Wiosną 1946 roku w taborze składającym się z około pięćdziesięciu wozów i z zakupionymi dokumentami na nazwisko Dębicki przedostaliśmy się przez nową granicę do Polski. Tu kontynuowaliśmy taborowe życie, jeżdżąc po kraju i koncertując. Zaprzyjaźniliśmy się z Jerzym Ficowskim, poetą i wielkim znawcą cygańszczyzny. W 1952 roku ojciec postanowił spełnić moje marzenie i posłał mnie do szkoły muzycznej. Sprzedał konia, żeby kupić mi akordeon. Zamieszkaliśmy w Gorzowie Wielkopolskim. Moja nauka sprawiła, że część rodziny zrezygnowała z wędrownego życia.

### Niebawem tabory cygańskie zaczęły zanikać. W 1964 roku władze PRL postanowiły przerwać wędrowny tryb życia Cyganów. Zakaz wędrówek, spisy rodzin,

### dowody osobiste, egzekwowanie przepisów meldunkowych, sanitarnych i o obowiązku szkolnym oznaczały zmierzch cygańskiej tradycji.

Wielu z nas nie mogło się z tym pogodzić. Papusza mawiała, że dom to klatka. Porzucenie wozów jako niewolę. To przecież tradycja wędrowania kształtowała nasze dusze. Wiele rodzin cygańskich było przymuszanych do osadnictwa. Z rozgoryczenia zdarzały się samobójstwa. Mężczyźni okaleczali się, obcinali palce, żeby nie iść do wojska. Cyganie byli represjonowani i szykanowani przez milicję i Służbę Bezpieczeństwa. Pamiętam, jak jeszcze w okresie wędrówek milicja rozbiła nasz leśny obóz. Jako dwunastolatek byłem przetrzymywany i katowany w budynku Urzędu Bezpieczeństwa w Wałczu, bo w okolicy okradziono sklep i podejrzanie od razu padło na nasze obozowisko. Gdy się osiedliliśmy, normą były rewizje, zatrzymania i uciążliwości w urzędach i szkole. Poza tym na każdym kroku spotykaliśmy się z podejrzliwością i niechęcią, niekiedy też ze strony sąsiadów. Stereotypy na temat Cyganów pokutują zresztą do dziś.



Fot. Leszek Bończuk

► Edward Dębicki odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”; 2012 rok

### Działania władz – choć dominowała w nich niechęć wobec „innego” – propagandowo podszywano dobrą intencją. Oto Cyganie koczownicy mieli zostać wreszcie „ucywilizowani”.

Cygańska kultura wolności nie mieściła się w ramach peerelowskiego „ład” opierającego się na totalnej kontroli społeczeństwa.

Cyganie ze swoimi zwyczajami i trybem życia byli postrzegani jak buntownicy, odstawali od reszty społeczeństwa. Ówczesny „walec” polityczny musiał wyróżniać wszystkich bez wyjątku.

### Pozostała jednak muzyka, dzięki której odniósł Pan wielki sukces estradowy.

W 1955 roku założyłem zespół „Kham” (słońce), przemianowany następnie na „Terno” (młody). Publiczność nas pokochała. Sprzyjały temu ówczesna moda na folklor, ale przede wszystkim romantyzm i nostalgia, które kryją się w cygańskiej muzyce. Wkrótce koncertowaliśmy i zdobywaliśmy nagrody w kraju, m.in. na festiwalu w Opolu, i za granicą.

### Często wraca Pan myślą do lat wędrówek?

Zostałem ostatni z naszego taboru harfiarzy. Staram się pielęgnować naszą tradycję. O przeszłości opowiadam muzyką. To, co przeżyłem podczas wojny, odcisnęło piętno na mojej twórczości. Czasami ktoś mnie pyta, czy pojechałbym teraz w taborze. Odpowiadam – z przyjemnością, oddałbym wszystko, żeby wróciły czasy młodości, bo byłem wówczas naprawdę wolnym człowiekiem. ❀

# Dzień bez kobiet

Natalia Jarska

8 marca to jedno z niewielu peerelowskich świąt, które zyskało względną społeczną akceptację. Z biegiem lat jego wymowa coraz bardziej zbliżała się do dominujących w polskim społeczeństwie tradycyjnych wyobrażeń o kobietach. Co tak naprawdę świętowano goździkiem i parą rajstop?

**P**o wojnie obchody Dnia Kobiet uległy „upaństwowieniu”, by przez całe czterdziestopięciolecie służyć przede wszystkim właśnie celom państwa. Co roku 8 marca władze partyjne i administracyjne PRL mówiły kobietom, czego od nich aktualnie oczekują. Ubrane były te oczekiwania w pochwały i życzenia,

ale pozostawały wyrazem poglądu na to, jakie jest miejsce kobiet w „socjalistycznym” społeczeństwie i komunistycznej wizji emancypacji kobiet.

## Od przodownicy do matki Polki

W stalinizmie święto stało się narzędziem mobilizacji kobiet i jeszcze jednym przejawem totalitarnego państwa. Udział w akademii – która mogła wówczas trwać aż pięć godzin – miał oznaczać zamanifestowanie „wspólnoty w wielkim dziele oswobodzenia kobiety z pęt ciemnoty i zacofania”. „Budując socjalizm, kobiety zdobywają pełne wy-

zwolenie” – przekonywała partia komunistyczna. Podstawową sferą, gdzie miało się ono urzeczywistnić, była praca. Dominująca w tych latach propaganda „produktywizacji” kobiet wyrażała się najsilniej właśnie przy okazji obchodów Dnia Kobiet. Stąd w czasie tego święta eksploatowano przede wszystkim obraz robotnicy pracującej w tzw. nowych zawodach, dotychczas wykonywanych przez mężczyzn. Kobiety mobilizowano także wokół hasła pokoju.

Wykształcone w stalinizmie rytuały i treści święta uległy modyfikacji w kolejnych latach – na przykład coraz bardziej akcentowano rolę kobiet jako matek i wychowawczyń – ale niemal do końca PRL oficjalne enuncjacje i obchody nie wyzbyły się „emancypacyjnych” haseł. Jednak Dzień Kobiet miał też inną twarz – twarz bardziej „swojską”, która dała się do pewnego stopnia zaakceptować.

Wraz z polityczną odwilżą lat 1955–1957 komunistyczna wizja emancypacji kobiet została poważnie nadszarpnięta. Odezwały się głosy iście „reakcyjnej” krytyki wobec polityki aktywizacji zawodowej kobiet i przyjmowania ich do pracy w zawodach uważanych dotychczas za męskie. Owa polityka została uznana za jeszcze jeden przejaw „błędów i wypaczeń” stalinizmu. Zdjęto więc plakaty przedstawiające traktorzystki, odesłano górniczki pracujące pod ziemią do innych zajęć. Większość kobiet nie przestała wprawdzie pracować, ale przez jakiś czas nie wypadało świętować haseł wzywających do „stanięcia w jednym szeregu” z mężczyznami ▶



Fot. PAP/Wojciech Frelek

► „Kwiatek dla Ewy” w wydaniu luksusowym: zamiast goździków – róże

„do walki o plan sześćioletni”. Plan sześćoletni się zresztą skończył, a wraz z nim zwiększone zapotrzebowanie gospodarki na ręce do pracy.

W tej sytuacji Dzień Kobiet pozbawiony został wyrazistej treści. W miejsce przodownic pracy na pierwszych stronach gazet pojawiły się wizerunki matki z dzieckiem. Zmianie zaczął ulegać rytuał: obok oficjalnych akademii pojawiły się „wieczorki taneczne” i „wieczorki z pogodnym programem”.

### Kwiatek dla Ewy

Pod koniec lat pięćdziesiątych gazety zaczęły ogłaszać ten dzień „imieninami” pań. Kobiety nosiły oczywiście różne imiona, ale chodziło tu o imię archetypicznej (i biblijnej!) kobiety – Ewy. Był to znak, że 8 marca będzie się odtąd świętować jakąś bliżej nieokreśloną kobiecość, zamiast komunistycznych hasel emancypacji płci. Dzień ten miał być dniem wszystkich kobiet – matek, babć, pracujących zawodowo i gospodyń domowych. Uniwersalizował się.

W 1960 roku „Express Wieczorny” wylansował – na całe dwadzieścia lat – hasło „kwiatek dla Ewy”. „Chcemy tym razem inaczej” – deklarowano; miało się to wyrażać w zabawie, radości i kwiatku symbolizującym wiosnę (choć jeszcze trwała zima). Do zainicjowanej przez dziennik akcji przyłączyły się warszaw-

skie domy towarowe i sklepy, obiecując upominki dla klientek i pokazy z dziedziny gospodarstwa domowego. Do Dnia Kobiet szykowały się także restauracje. Redakcja otrzymywała listy od czytelników z propozycjami uczczenia święta.



Fot. PAP

► Plakaty z traktorzystkami po odwiły odesłano do lamusa

Akcja odniosła sukces, a hasło „kwiatek dla Ewy” na trwałe przylgnęło do święta.

Jedynie w 1971 roku beztróskkie w wymowie hasło zastąpiono dezyderatem: „Nie tylko kwiaty za dwa etaty”, zwracającym uwagę na konieczność godzenia przez większość kobiet pracy zawodowej i prowadzenia domu. Wydaje się jednak, że rok 1971 był pod tym względem wyjątkowy, także ze względu

na lutowe strajki w Łodzi, w których dużą rolę odegrały robotnice.

Święto ulegało przy tym pewnej „komercjalizacji”. Do najważniejszego elementu celebrowania Dnia Kobiet urosło obdarowanie kwiatami bądź upominkiem. Problemy mężczyzn z wyborem i zdobyciem odpowiedniego prezentu komentowała Polska Kronika Filmowa w odcinku *Zbiorowe imieniny*. Film rozpoczynał się od słów: „8 marca otworzyły się szeroko męskie serca i portfele. Wiosenny nastrój, wspomnienia z czasów, kiedy skromny kwiatek starczył za wszystko...”. Następnie pokazywano mężczyzn kupujących pończochy, bieliznę, prodiż i pralkę. Przy okazji można było udawać, że państwo zaspokajają potrzeby konsumpcyjne obywateli, a w szczególności kobiet – bo komu innemu miałyby się przydać sprzęt gospodarstwa domowego? W ten sposób świętowanie Dnia Kobiet przypominało raczej o rolach społecznych kobiet jako gospodyń domowych niż o emancypacyjnych hasłach.

Na tak luksusowe prezenty mogło sobie jednak pozwolić niewielu. Najpopularniejszym podarunkiem były kwiaty, a wśród nich goździk, powoli stający się symbolem Dnia Kobiet. W 1964 roku 8 marca w Warszawie sprzedano około 200 tys. kwiatów. Mimo że kwiaciarze pracowali ponoć przez dwie noce, nie zdołali zaspokoić potrzeb wszystkich chętnych. Kolejki ustawiły się także w domach towarowych, sklepach odzieżowych i kosmetycznych. Oprócz mężczyzn w dniach poprzedzających święto w kolejkach stały również... kobiety, kupujące upominki w imieniu swoich zakładów pracy.

Obdarowywanie stało się nowym i niezwykle istotnym rytuałem święta. Wiązało się to z jeszcze jedną zmianą: Dzień Kobiet zaczął przenikać do sfery prywatnej. 8 marca kobiety oczekiwały kwiatów i prezentów nie tylko od dyrekcji fabryki czy instytucji, w której pracowały, lecz także od swoich mężów czy synów. Dzieci przygotowywały laurki. Czytelnicy „Przyjaciółki” składali za pośrednictwem pisma życzenia swoim matkom, żonom i koleżankom. O istnie-

niu prywatnego świętowania Dnia Kobiet mówią badania przeprowadzone na początku lat siedemdziesiątych. 60 proc. respondentek obchodziło 8 marca prywatnie w domach – mężczyźni wręczali im kwiaty i przejmowali domowe obowiązki. Ponad 40 proc. badanych (kobiet i mężczyzn) poświęciło tego dnia czas na wizyty towarzyskie. Ankieta została przeprowadzona wśród robotników; wzorce świętowania (bądź nieświętowania) Dnia Kobiet były odmienne w różnych grupach społecznych.

### Karnawałowa zamiana ról

Święto kobiet w PRL powinno wypadać w karnawale. Jak żadne inne opierało się bowiem na karnawałowej konwencji zamiany ról. Mężczyźni stawiali się tego dnia... kobietami. Przejmowali obowiązki domowe. „Większość pań spotkała rano doroczna niespodzianka. Nie musiały szykować śniadania, zmywać i szorować” – pisano w prasie. Nie można jednak uznać tych zwyczajów za próbę zamiany tradycyjnych ról kobiet i mężczyzn w domu – rytuał odbywał się w konwencji żartu. Szydzo z nieopradności mężczyzn: „Kulinarne wyczyny niefachowców trzeba było skonsumować z czarującym uśmiechem”.

Z zamiany ról piła także Polska Kronika Filmowa. W filmie pod charakterystycznym tytułem *Dzień bez kobiet* prezentowano stołóvkę domu studenckiego, w której studenci przejęli obowiązki kucharek, przygotowując obiad. „Tak, po tej pomocy roboty będzie na tydzień” – komentarz sugerował, że mężczyźni jednak do „kobiecych” prac się nie nadają. Konwencję żartu – i karnawałowego motywu zamiany ról – wzmacniała końcowa scena tańca kucharek ze studentami. W ten sposób dawano wyraz przekonaniom, że jednak prace domowe są dla mężczyzn „nienaturalne”.

Wyśmiewanie zamiany ról było pośrednio szydzeniem z eksploatowanych przez propagandę haseł równouprawnienia, które – jak się wydaje – nie znajdowały odzwierciedlenia w rzeczywistości. Wskazywano na fakt wykonywania przez kobiety pracy związanej z prowa-

dzeniem domu, którą musiały one godzić z pracą zawodową, okrzykniętą w czasach stalinizmu „osiągnięciem” ustroju. „W Polsce wszystkie męskie hołdy ścielą się u stóp prawdziwej bohaterki naszych czasów: Weteranki Gospodarstwa Domowego i Nieznanego Żołnierza Kolejek w Skleпах” – komentowano w kronice filmowej. Prasa zamieszczała rysunki satyryczne nawiązujące do zdewaluowanego hasła równouprawnienia. Jedna z serii rysunków przedstawiała mężczyznę prowadzącego wózek z dzieckiem, gotującego, komentując: „Nam jeszcze dzieci rodzić żą!” Tego typu komentarze świadczą o istnieniu przekonania, że ustalonych ról społecznych kobiet i mężczyzn nie sposób zmienić. Przekonanie owo podzielała, zdaje się, większość społeczeństwa.

Dzień Kobiet stawał się zatem po 1956 roku świętem bardziej niż inne oswojonym, które wyrażało nie tylko to, co władza chciała powiedzieć kobietom – a czego one zwykle i tak nie słuchały. Wyrażało również rozpowszechnione, dość

tradycyjne przekonania o kobietach i kobiecości, o rolach społecznych obu płci.

### Iluzja równouprawnienia

Nie oznacza to wszakże, że Polacy z entuzjazmem podchodzili do wszystkich elementów święta. Zrytualizowane obchody Dnia Kobiet w zakładach pracy budziły niechęć wielu osób, w tym także kobiet. Powszechnie odbierano je jako nudne, a stanie w kolejkach i kwitowanie odbioru pary rajstop w prezencie denerwowało i upokarzało.

Wyniki ankiety przeprowadzonej pod koniec lat sześćdziesiątych przez związki zawodowe wskazywały, że połowa badanych dostrzega sprzeczność między hasłami powtarzanimi podczas obchodów a rzeczywistością: „Na akademiach mówi się o kobietach w samych superlatywach, natomiast w życiu powszednim, gdy tylko matka korzysta ze zwolnienia lekarskiego na skutek choroby dziecka, ma się do niej o to daleko idące pretensje”. Ankietowane miały wyrazić życzenia, by „nie męczyć audytorium na akademiach zbyt długimi przemówieniami o osiągnięciach kobiet, bo to się słyszy co roku, a każda przecież zdaje sobie sprawę, że przez równouprawnienie wzięła na swoje barki utrzymanie domu, wychowanie dzieci”.

Stefan Kisielewski komentował w swoim dzienniku: „Dziś w całej Polsce i oczywiście w telewizji specjalnie obłudne komunistyczne święto: Święto Kobiet. Przeczytałem i usłyszałem, że kobiety narreszcie mają dziś w Polsce Ludowej to, o co kilkadziesiąt lat walczyły (!). A więc praca podwójna: w domu, w małej kuchni, przy trudnościach z zakupami, i w zakładzie, biurze, fabryce, normalne osiem godzin. Sam cymes, sama słodycz!”.

W latach siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych w realizację równości płci już nie wierono. Była to – nieco paradoksalnie – zasługa form i treści świętowania Dnia Kobiet. 🍷

**dr Natalia Jarska** – historyczka, pracownica Biura Edukacji Publicznej IPN

Wykorzystałam fragmenty mojego artykułu *Obchody Dnia Kobiet w Polsce Ludowej w latach 1945–1989*, opublikowanego na łamach „Dziejów Najnowszych” w 2010 roku



► Wanda Urbańczyk, pracownica Huty „Pokój”; Ruda Śląska, 1952 rok

# Subkultura konspiratorów?

Jan Olszek



Jeszcze kilka lat temu opozycyjny drukarz z okresu PRL – brodaty, we flanelowej koszuli – wyróżniałby się na pierwszy rzut oka. Dzisiaj mógłby niezauważony wejść do najmodniejszych hipsterskich knajpek przy warszawskim pl. Zbawiciela. Po czym można było poznać opozycjonistę w latach osiemdziesiątych?

► Mirosław Chojecki – stereotypowy opozycjonista: z brodą, we flanelowej koszuli i z palcami ubrudzonymi farbą drukarską

**W** 1984 roku jeden z takich współpracowników warszawskiej Służby Bezpieczeństwa przedstawił swojemu oficerowi prowadzącemu rysopis człowieka, który w kościele św. Anny rozkładał na ławkach egzemplarze podziemnego tygodnika „Wola”: „Mężczyzna, który położył ww. gazetki, był wysokiego wzrostu, około 180 cm, posiadał gęstą czarną brodę i wąsy, włosy krótko ostrzyżone, lekko sfalowane, ubrany był w sweter i dżinsy, miał około 30 lat”. Czy taki opis pomógłby funkcjonariuszom policji politycznej PRL namierzyć kogokolwiek, jeżeli nie wiedzieliby niczego więcej? Wątpliwe.

Gdy spojrzymy na zdjęcia opozycjonistów z tamtych lat – ludzi tworzących podziemną prasę, drukarzy, działaczy związkowych – to natrafimy na wiele osób pasujących do tego opisu. Taki wygląd – trochę niezadbany, trochę hipsterski – był charakterystyczny dla wielu ludzi opozycji. Co z tego? – zapyta czytelnik. – Jakie to ma znaczenie, jak ubierali się ci ludzie? Czy nie jest ważniejsze, na czym polegała ich działalność, jak była zorganizowana, jakie podejmowali ryzyko, w imię jakich idei? Oczywiście, że te sprawy są dla historyka najważniejsze. Warto jednak przyrzeć się tym elementom funkcjonowania opozycji, na które rzadko kieruje się „szkielko i oko” naukowców. Ich ubiorowi, językowi, którego używali, zainteresowaniom, lekturom, muzyce, wpływowi konspiracji na codzienność – wszystkiemu, co składało się na ich „opozycyjny styl”.

## Broda, sweter, flanela – stereotyp?

Potoczne wyobrażenie o opozycjonistce to brodaty mężczyzna z papierosem, w flanelowej koszuli bądź swetrze, z plecakiem pełnym publikacji z drugiego obiegu. Podobnie jest w przypadku kobiet współtworzących ten ruch – często stylem trochę przypominają hipiski. Wizerunek ten kształtował się już w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Został utrwalony na zdjęciach drukarzy, strajkujących załóg czy osób internowanych. Wielu ludzi aktywnych w opozycji miało podobny styl – niedbającego o wygląd, wyluzowanego rewolucjonisty. Rzeczywiście, dla części z nich kwestie wyglądu nie miały większego znaczenia, a i czasy były takie, że nie wybrzydzało się podczas wybierania ubioru. Dodatkowo zaangażowanie w konspirację, kolportaż, a zwłaszcza w drukowanie (nie było chyba sposobu, żeby nie ubrudzić się farbą) – nie skłaniały raczej do eleganckiego stroju. Natomiast brody i długie włosy były popularne raczej z powodu mody.

Związana w latach siedemdziesiątych ze Studenckim Komitetem Solidarności w Poznaniu, a w osiemdziesiątych z tamtejszym oddziałem Solidarności Walczącej Anka Grupińska szczegółowo opisywała modę panującą w jej środowisku: „Wszyscy nasi faceci chodzili w swetrach, które im robiłyśmy na drukach. Były rozciągnięte, workowate, ze zgrzebnej owczej wełny. Zresztą myśmy też chodziły w takich swetrach. My wszyscy wyglądaliśmy, jakbyśmy mieszkali w więzieniu, tak mi powiedziała moja frankfurcka koleżanka. Bo myśmy się ubierali na szaro. Po pierwsze dlatego, że nie można było kupić żółtych butów, tak? Po drugie myśmy musieli być cierpiętnicy. Więc moim ukochanym strojem była szara kufajka. Całe zimy w niej przechodziłam. Chłopcy często chadzali w kurtkach zielonych, z taką jaskółką z tyłu, pęknięciem. Do dzisiaj w nich widuję facetów po pięćdziesiątce. Koszule flanelowe, absolutnie! W kratę. Naturalnie! Spodnie – dżinsy najczęściej, sztruksy”. Taki ubiór niósł ze sobą prze-

► Archetypowy konspirator z milicyjnej fotografii



Fot. AIPN

kaz dotyczący postawy wobec zastanej rzeczywistości: żyjemy bardziej ideami niż żmudną codziennością.

Niektórzy konspiratorzy ubierali się na sposób militarny, kojarzący się z walką czy partyzantką. Amerykańskie kurtki z demobilu, dżinsy, znoszone trampki – tego rodzaju styl dominował w niektórych środowiskach opozycyjnych. Aleksandra Zawłocka, organizatorka kolportażu „Woli” (jednego z warszawskich pism podziemnych), wspominała, że była przyzwyczajona do luźnego stylu współpracowników. Tym większe było jej zdziwienie, kiedy poznała współtworzącego od początku to pismo Andrzeja Urbańskiego: „Jak Maćka po raz pierwszy zamknęli, to wtedy zjawił się u mnie Andrzej. Ja zbierałam. Maciek [Zalewski], Michał [Boni], Mirek Pęczak, całe to grono to byli chłopcy w zielonych kurtkach, w przydeptanych tenisówkach, z brodami [...]. A nagle tu stoi taki facet w angielskiej marynarce w pepitkę, ze skórzanymi wykończeniami i z fajką w ręku. Mówi do mnie, że jest kumplem Maćka. To było dla mnie zaskoczenie, że właśnie jest taki z innego świata”. W solidarnościową konspirację angażowali się różni ludzie. W relacjach, obok brodatych drukarzy i długowłosych poetów, pojawiają się też eleganckie panie w garsonkach, skromnie ubrane bibliotekarki czy robotnicy w drelichach. Sam wygląd konspiratorów pokazywał, z jak różnych środowisk się wywodzili.

Jak dalece jednak opozycjoniści wyróżniali się wyglądem z ówczesnego społeczeństwa? Ta sama moda, która była popularna w podziemiu, pojawiała się w całym młodym pokoleniu, zwłaszcza w środowiskach inteligencji. Rozwijały się w tym czasie różne subkultury, podkreślające swoją odmienność. Konspirator nie mógł przecież za bardzo wyróżniać się ►

z tłumy. Jerzy Pawlas, w latach osiemdziesiątych redaktor podziemnego pisma „CDN – Głos Wolnego Robotnika”, wspominał: „Moda stanu wojennego, niewyszukana, ale praktyczna. Fryzura raczej długa, zaniedbana, twarz pokryta zarostem. Kurtki z demobilu amerykańskiego, buty – saperki bądź adidas. Nieodłączna torba lub plecak. Wydawało się, że wszyscy są kolporterami. Ci ostatni pod podszewką lub podpinką (zależnie od pory roku) mieli wszyte kieszenie na »bibułę«. Ginęli w tłumie podobnych do siebie”. Tak w tych czasach ubierało się znacznie więcej ludzi, niż działało w podziemiu, chociaż zapewne w środowiskach opozycyjnych było ich procentowo wyraźnie więcej niż w całym społeczeństwie.

Pamiętać też trzeba, że ruch opozycyjny w PRL był bardzo zróżnicowany. Nie tylko pod względem politycznym, lecz także pokoleniowym i kulturowym. Historyk Paweł Sowiński w monografii *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989* pisał o drukarzach: „Gdyby spojrzeć na tę grupę od strony ideowej, na pierwszy rzut oka widać zróżnicowanie – wszystkie uogólnienia stają się ryzykowne. W drukarniach opozycji spotykała się Polska niepodległościowo-tradycyjna ze światem kulturowego undergroundu, luzu życiowego i liberalnego spojrzenia na świat – niezłomni patrioci z artystami i popalającymi hipisami”. Styl życia części konspiratorów zbliżał ich do środowisk kontrkulturowych związanych z alternatywną muzyką czy teatrem. Redagując konspiracyjne gazety, drukując w podziemiu i kolportując niezależne wydawnictwa, buntowali się oni nie tylko przeciw komunizmowi i stanowi wojennemu, ale też przeciw szarości egzystencji w PRL czy modelom życia starszych pokoleń. Byli też jednak konspiratorzy zupełnie inni, żyjący w sposób tradycyjny.

Niekiedy to zróżnicowanie kulturowe mogło przynajmniej częściowo nakładać się na różnice polityczne. Tak sądził Jacek Kuroń, który pisząc w swoich wspomnieniach o przebiegu jednej z głódówek z udziałem różnych śro-

dowisk opozycyjnych (jeszcze przed powstaniem Solidarności), zamieścił obserwacje dotyczące różnic kulturowych między lewicą a prawicą w opozycji. Według niego, przejawiały się one m.in. właśnie w ubiorze – lewicę cechował znacznie luźniejszy styl. Jednak gdy podzielił się swoimi obserwacjami z uczestnikami protestu, spotkał się raczej z negatywnymi reakcjami.

Stereotypowy obraz opozycjonisty hipisa pasował zresztą tylko do części uczestników tego szerokiego ruchu: raczej do inteligencji tworzącej wydawnictwa drugiego obiegu niż do np. osób kolportujących je w robotniczych zakładach pracy czy mniejszych ośrodkach.

### Być w opozycji, czyli „knuć”

Uczestnicy solidarnościowej konspiracji posługiwali się specyficznym językiem. Ułatwiał on funkcjonowanie – krótkimi określeniami nazywano sytuacje lub przedmioty związane z działalnością podziemną. Jego używanie miało też znaczenie konspiracyjne – był zrozumiały dla wtajemniczonych. Publikacje nazywano „bibułą”, powielacz białkowy – „białkiem”, matryce – „blachami”; o diapozytywach mówiono „dia”, o sitodruku – „sita”. Druk w legalnie funkcjonujących punktach druku odbywał się – jak mówiono – „na dojsciu”. Głośniki, dzięki którym w miejscach publicznych można było słuchać audycji Radia „Solidarność”, nazywano „gadałami”, a materiały przemycane z Zachodu – „zrzutami”. „Wzięli mnie na dołek” – podobnie jak w języku przestępczym – mówiła osoba aresztowana. O osobie śledzonej mówiono, że prowadzi za sobą „ogon”. „Wpadką” nazywano moment zdekonspirowania.

Wiele słów z konspiracyjnego słownika dotyczyło relacji między działalnością podziemną a światem jawnym, legalnym. Przechodzenie na kilka dni do pracy w redakcji podziemnej nazywano „spadami” lub „zanurzaniem się”. To drugie określenie oznaczać też mogło całkowite przejście do podziemia i rozpoczęcie życia w ukryciu. Czynność odwrotna – ujawnienie się – było „wynurzeniem się” lub „wyjściem na

powierzchnię”. „Legalizacja” to preparation fałszywych dokumentów. „Skrzynkami kolportażu” bądź „kontaktoowymi” nazywano miejsca, gdzie pozostawiano materiały i informacje. Wykorzystywane przez podziemie mieszkania zależnie od przeznaczenia nazywano „śluzami” albo „spotkaniówkami”.

Język konspiratorów zdradza też, jak ludzie tworzący ten ruch myśleli o sobie i skąd czerpali inspirację. Zawierał on pojęcia wzięte ze slangu dawniejszych konspiracji – widać, że ludzie podziemnej Solidarności nawiązywali do literatury dotyczącej Armii Krajowej. Jednocześnie zauważyć można elementy wspólne z językiem policyjnym (czyli używanym przez przeciwnika) i przestępczym („na dołek” mógł iść zarówno działacz opozycyjny, jak i włamywacz). Wprowadzano też nowe wyrażenia, dotyczące bieżącej sytuacji politycznej. Przeciwnika nazywano „wroną”, „czerwonym”, „esbekiem”, stan wojenny – „wojną”, a samą działalność opozycyjną – „knuć”. To autoironiczne określenie przejęte z propagowanego przez władzę obrazu ludzi podziemia jako „knujących” przeciwko państwu. Określenie to pasowało zresztą do czasów stanu wojennego, kiedy rozmowy prowadzono ścisłym głosem, w zamkniętych pomieszczeniach, bez świadków.

### Książki, muzyka, wspólne pasje

Język konspiracji lat osiemdziesiątych nie tylko służył jako szyfr, ale był elementem wspólnego kodu kulturowego funkcjonującego głównie w środowiskach opozycyjnych. Na kod ten składały się lektury, muzyka i inne zainteresowania. Zapewne nie różnił się bardzo od tego, którym posługiwała się w tym okresie młoda inteligencja, miał jednak charakterystyczne cechy. Konspiratorzy czytali podziemną prasę i książki, słuchali Jacka Kaczmarskiego i innych opozycyjnych bardów. W ich życiu to, co opozycyjne, mieszało się z rozrywką typową dla młodych ludzi – przede wszystkim polskim i zachodnim rockiem lat osiemdziesiątych. W słuchanej przez młodych konspiratorów muzyce dobrze widać było ważny ele-

Fot. Marcin Jabłoński / ze zbiorów Ośrodka KARTA



► Brudna robota; konspiracyjna drukarnia NOW-ej w Konstancinie k. Warszawy: Mirosław Chojecki (z papierosem) i Zenon Pałka

ment ich stylu życia: połączenie rozrywki i patosu, zabawy i powagi, życia towarzyskiego i polityki.

Podziemie angażowało nie tylko czasowo, ale też intelektualnie. Piotr Piętaś, redaktor podziemnych „Wiadomości” (ukazujących się już od 15 grudnia 1981 roku!), wspominał, że w tamtych czasach czytał dużo książek politologicznych i socjologicznych. Redaktorka „Tygodnika Mazowsze” Anna Bikont przyznawała po latach, że nie miała czasu czytać książek niezwiązanych z konspiracyjną działalnością: „Czytaliśmy też *tolstyje żurnaly*, czyli grube pisma, żeby zobaczyć, czy nie ma jakichś informacji. Czytaliśmy prasę zakładową, tego było bardzo dużo”. Konspiratorzy uczestniczyli w kulturze niezależnej: w koncertach, przedstawieniach teatru domowego. Tam przenikały się

środowiska opozycjonistów i działających bardziej jawnie artystów. Często ci pierwsi utrzymywali z tymi drugimi kontakty towarzyskie, które też wykorzystywali w działaniach podziemnych. „Ludzie wiedzieli, kto jest kim, jak się spotkali na takim przedstawieniu, a potem, gdy trzeba było np. poprosić o mieszkanie, przerzucić bibułę, cokolwiek, to człowiek miał większą pewność, że się nie nadziejie na jakiegoś donosiciela” – wspominał redaktor „Woli” Piotr Stasiński.

### Życie towarzyskie opozycji

Z relacji wyłania się obraz podziemia zażarcie dyskutującego o polityce, ale też dobrze się bawiącego. Redakcje pism podziemnych często były ze sobą związane towarzysko. Spotykano się w domach, niekiedy w kawiarniach.

Rozmawiano o sprawach prywatnych, a jednocześnie ustalano szczegóły dotyczące redakcji, kolportażu czy druku. Związany z opozycją dziennikarz Ernest Skalski wspominał spotkania redaktorów i współpracowników „Tygodnika Wojennego”, na które przychodziło do dwudziestu osób. „Piło się w umiarkowanej ilości marne czerwone wino, paliło marne papierosy i głośno dyskutowało na różne tematy. Niewielkie to miało przełożenie na redagowanie pisma”.

Konspiratorzy często mieli podobną hierarchię wartości, jednakowe problemy i styl życia, wiążący się z niepewną sytuacją zawodową czy groźbą aresztowania. Ludziom spoza tego kręgu trudno było ich zrozumieć. Na przykład Małgorzata Zalewska miała problem z wyjaśnianiem sytuacji swego męża Macieja przebywającego w areszcie (wszak przestępcą był tylko w oczach władzy). Oczywiście były różne stopnie zaangażowania i wtajemniczenia w konspirację. W latach osiemdziesiątych solidarnościowi konspiratorzy byli mniej wyizolowani ze społeczeństwa niż w początkach ruchu opozycyjnego. Wielu z nich miało znajomych, którzy sympatyzowali z podziemną Solidarnością, choć nie byli w nią zaangażowani. Natomiast osoby poświęcające niemal cały swój czas podziemiu obracały się głównie w kregach opozycyjnych. Brakowało czasu na inne znajomości. „Przychodzisz do znajomych – opowiadała Marta Woydt, redaktorka »Tygodnika Mazowsze« – i [słyszysz pytanie]: »Co robisz«? Nie pracujesz? Rok, drugi, trzeci. W PRL, gdzie był nakaz pracy! Trochę kitłasilimy się we własnym sosie – plus osoby wspomagające. Właściwie wszyscy znajomi przez te dziesięć lat to były osoby, które jakoś działały. Zresztą, ja nie miałam telefonu i praktycznie nie bywałam w domu. [...] Tak się rozeszły wszystkie inne kontakty”.

Gdzie toczyło się życie konspiratorów? Oprócz drukarni mieszczących się w pustych mieszkaniach bądź domkach, korytarzy i ulic, które przemierzali kolporterzy, były to też mieszkania użyczane redakcjom. Od bezpiecznych lokali zależała ►

sprawność zespołów redakcyjnych. „Dobrze usytuowane (jakieś boczne wejście od podwórza, bramy przechodnie), a przy tym udostępnione przez ludzi godnych zaufania, którzy nie bali się represji milicyjnych – były przedmiotem zazdrości konspiratorów” – wspominał Jerzy Pawlas. Stanowiły one część systemu lokali używanych do różnych celów: spotkań, druku, jako magazyny, skrzynki, do ukrywania się działaczy podziemia. Dla Elżbiety Regulskiej, redaktorki „Tygodnika Mazowsze”, drzwi do mieszkań redakcyjnych były przejściem do świata wolności. Trzeba było jednak stosować zasady konspiracji, nie przychodzili tam przypadkowi goście. Inaczej było w domach prywatnych niektórych opozycjonistów, w których często się spotykano (choć raczej towarzysko). Na przykład wiele spotkań środowiska „Tygodnika Wojennego” odbywało się w domu Ninel i Bogdana Kosów. Był on wygodny do konspirowania. Jak wspominała (niezżyjąca już) Ninel Kameraz-Kos, budynek z zewnątrz wyglądał niepozornie, niemal nie było widać drzwi, w środku zaś okazywał się duży i miał wiele pomieszczeń oraz dwa wyjścia – drugie wychodziło na podwórko teatru „Baj”. Mieszkały w nim tylko dwie rodziny, więc konspiratorzy mogli czuć się bezpieczniej niż tam, gdzie jest wielu sąsiadów. U Kosów przecinały się drogi warszawskiego podziemia, środowisk artystycznych, dziennikarzy i osób związanych z religią i kulturą żydowską. Tworzyło to szczególną atmosferę, podobną bardziej do artystycznej bohemy niż ruchu związkowego.

### Lek na apatię

Dla wielu ludzi praca konspiracyjna była sama w sobie emocjonująca. Współorganizator druku „Tygodnika Mazowsze”, „Karol”, twierdził, że praca w podziemiu jest jedną z niewie-

lu możliwości samorealizacji w PRL. „Ten kraj wygląda tak, jak wygląda, z powodu apolityczności dużej części społeczeństwa. Garnek zajmuje ludziom tyle czasu, że już nie starcza na myślenie. Ja nie chcę być jednym z tej armii szarych ludzi. [...] My właściwie nie mamy styczności z PRL-em. Jestem szczęśliwy, że wyrwałem się spod tego straszliwie opiekuńczego państwa, które teoretycznie zapewnia wszystko, a tak naprawdę wszystko uniemożliwia”.



► Obskurne wnętrza podziemnej drukarni

Udział w opozycji chronił przed apatią i poczuciem beznadziei, wywołanym przez wprowadzenie stanu wojennego. Przeżywanie tych emocji rekompensowało trudy konspiracyjnej pracy: konieczność ciągłego zachowywania ostrożności, zapamiętywania ogromnej liczby informacji, zmęczenie żmudną pracą. Myśl o uczestniczeniu w czymś, co uznawano za ważne, nadawała sens pisaniu kolejnej wersji tej samej informacji o strajku w mało znanym zakładzie pracy w niewielkim mieście, spędzaniu godzin nad maszyną drukarską, jeżdżeniu po całym mieście z kilkoma

ryzami zadrukowanego papieru. Cytowany już historyk Paweł Sowiński pisał: „Czasem bowiem chodziło raczej o dzielenie wspólnego losu, życie obok systemu niż służbę krajowi. Często wtedy nie cele polityczne tej walki, ale wspólne przeżycia, dreszczyk emocji, towarzyskie tajemnice decydowały o jej atrakcyjności”. Różne motywy nakładały się na siebie, ale istotny był wątek osobistej satysfakcji z uczestnictwa w czymś ważnym i emocjonującym. Je-

den z redaktorów „Tygodnika Wojennego” stwierdził: „Emocja konspiracji też była niesamowita, organizowanie struktur aktywizowało ludzi, a wielość tych głosów... Wydawało mi się wtedy, że wszyscy są w podziemiu. Można było wpaść zresztą w taką chorobę – wychodziłem w niedzielę z redakcji, włączałem Wolną Europę – na wsi miałem dobry odbiór – i spiker mówi o tekście, który ja pisałem na maszynie. Chciało się żyć”.

Z konspiracją wiązały się nie tylko pozytywne emocje, lecz także te negatywne. Częste podejmowanie ryzyka powodowało nerwowość i przewrażliwienie na punkcie konspiracyjnego „BHP”. Wielu obawiało się dekonspiracji. Niepokój wywoływał dzwonek do drzwi mieszkań

redakcyjnych. Frustrujące były fałszywe alarmy, po których pospiesznie ukrywano lub niszczone materiały redakcyjne. Piotr Pacewicz pisał na łamach „Tygodnika Mazowsze” w 1984 roku: „Staramy się być ostrożni, ale nie popadać w przesadę, bo od tego już tylko krok, żeby konsekwentnie zastosować wszelkie możliwe środki ostrożności i przestać wydawać pismo. Jesteśmy dość tchórzliwi, na szczęście każdy się boi czegoś innego. Staramy się szanować swoje strachy i wzajemne wyobrażenia o tym, jak najlepiej konspirować. Jeżeli nie ma absolutnej potrzeby, każdy robi to, co lubi najbardziej

i nie robi tego, czego nie lubi. Ja np. moge najciemniejszą nocą wędrować ze zwałami bibuły, ale boję się chodzić na nowe adresy, nie przepadam też za wożeniem powielaczy. Unikam jak ognia samotnego oczekiwania w obcych lokalach”. Przełamanie strachu było szczególnie ważne dla drukarzy. W momencie zatrzymania przez Służbę Bezpieczeństwa w trakcie pracy byłoby im znacznie trudniej się wytłumaczyć niż redaktorom czy kolporterom detalicznym. Na dodatek, ich praca trwała długo, duże było więc niebezpieczeństwo wykrzyca.

Stan ciągłego napięcia, jaki towarzyszył twórcom podziemnej prasy, doskonale obrazuje historia odbioru pierwszego powielacza, który redakcja „Woli” otrzymała w 1982 roku. Był to sprzęt czechosłowackiej firmy Cyklos, prosty w obsłudze i wydajny, ale bardzo ciężki.

„Zasady konspiracji i chęć posiadania sprzętu na wyłączność pisały scenariusz tego całego przejęcia – wspomina Maciej Zalewski. – [Ryszard] Matulka pożyczyl za pieniądze samochód – syrenę Bosto. Wjechaliśmy w Nowowiejską, tam chłopaki od Teosia [Klincewicza] wynieśli nam ukradziony z politechniki powielacz. Myśmy ten powielacz zapakowali do syreny. [...] Pamiętam, że była napięta atmosfera, bo nikt nie umiał tą cholerną syreną jeździć. Jechaliśmy Polną w stronę Trasy Łazienkowskiej, tych wszystkich wjazdów i rozjazdów. Sławek [Świderski] kierował i był tak zdenerwowany, że za szybko skręcił w lewo, pod prąd. Zadyma jak cholera, musieliśmy się cofać, on nie bardzo umiał samochód obsługiwać. Jakoś się udało, objechaliśmy rondo Jazdy Polskiej, Sławek podwiózł nas na ulicę Smolną i we dwóch z Elkiem [Eli-giuszem Sitarским] przenieśliśmy skrzynię z cyklosem na peron stacji Warszawa-Powisłe. Zresztą widzieliśmy tam milicję, jakiś patrol wiejskich gości zagubionych w naszym mieście, ale nikt się nami nie interesował, a taką wielką skrzynię żeśmy targali z tym powielaczem. To wszystko było na łut szczęścia. Ale nas nie złapali”.

Działalność w podziemiu to była często ciężka praca bez szybkich efektów.



Fot. ze zbiorów Ośrodku KARTA

► Spotkanie towarzyskie działaczy podziemnej opozycji w mieszkaniu Elżbiety i Pawła Bąkowskich; z gitarami: Jacek Kaczmarski i Przemysław Gintrowski, dalej m.in. Jan Józef Lipski, Jerzy Holzer, Jerzy Jedlicki, Ewa Milewicz, Wiktor Woroszyński; Warszawa, październik 1980 roku

Z czasem przychodziły rutyna, znużenie, a z nimi zwątpienie. Podziemny drukarz związany z „Wolą”, Sławomir Świderski, wspominał: „Na Białołęce niesamowity facet fermę lisów miał. »Lis« na niego mówiliśmy. Ryzykując cały swój majątek, interes, udostępnił nam szopę. U niego drukowaliśmy »Wolę« na tym offsecie, z niedzieli na poniedziałek. Ale wtedy to już bez takiego entuzjazmu, tak już troszeczkę schodziło powietrze. Znaczący dalej trzeba było drukować, ale już nie z takim zapałem – przez to, że to już takie monotonne się stało. Wydaje mi się, że wszystkim spowszedniał ten stan wojenny”. Drukowanie było czynnością szczególnie męczącą. Tomasz Trepka organizujący druk „KOS-a” opisuje po latach codzienność podziemnych drukarzy: „Często był to druk w nocy, bo tak ludzie mieli czas. Jeśli pracowali, to nie mieli kiedy. W związku z tym na pewno zawsze były okna kocami zasłonięte, żeby nie było widać. W lokalu musiało być łazienka. Różnie to było. Czasami jakieś były pracownie artystyczne, gdzieś tam na strychach, tam były problemy

z wodą, z ogrzewaniem, to jakieś piecyki się brało. Ludzie byli wykończeni. Rano jak wychodzili, to półprzytomni byli”. Nie wszyscy dobrze znosili stres związany z działalnością konspiracyjną. Niekiedy miało to negatywne skutki dla ich życia prywatnego.

Konspiratorzy stanowili grupę barwną i wyróżniającą się aktywnością i energią życiową na tle zdemobilizowanego w stanie wojennym i kolejnych latach społeczeństwa. Przekonywał o tym Piotr Szwajcer (kierownik kolportażu Niezależnej Oficyny Wydawniczej) w 1988 roku. Na podstawie badań, w których prowadzeniu uczestniczył, stwierdził, że ludzi konspiracji łączy nie poglądy polityczne, lecz styl życia, związany z tym, że podejmują oni aktywność w sferze publicznej zgodnie z własnymi przekonaniem. To wyodrębniło działaczy podziemia spośród biernego społeczeństwa. 📌

Jan Olszok – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, przygotowuje książkę o podziemnym dziennikarstwie w czasach Solidarności

► TW „Różyczka”,  
czyli Kamila Sakowicz  
(Magdalena Boczarska),  
i pisarz Adam Warczewski  
(Andrzej Seweryn)



Fot. MONOLITH FILMS

# Różyczka

Jerzy Eisler

**Mimo drobnych nieścisłości film Kidawy-Błońskiego rzetelnie ukazuje wydarzenia polskiego Marca.**

**N**ie jest mi łatwo pisać o filmie *Różyczka* (2010), który wyreżyserował Jan Kidawa-Błoński, ponieważ byłem konsultantem historycznym tego obrazu. Fakt ten ma co najmniej dwie konsekwencje. Z jednej strony jest mi niezręcznie chwalić film, w którego powstawaniu miałem swój pewien – niewielki zresztą – udział. Z drugiej strony, skoro miałem okazję zawnoczyć z zapoznaniem się ze scenariuszem, nie bardzo wypada mi teraz wytykać twórcom rozmaite błędy, potknięcia i nieścisłości historyczne. Jest to tym trudniejsze, że scenariusz wydawał się bardzo interesujący i pozwalał żywić nadzieję, iż powstanie dzieło na pewno potrzebne, na wysokim poziomie artystycznym i ciekawe intelektualnie. Tak zresztą się stało, co nie oznacza, że nie mam wobec tego filmu żadnych zastrzeżeń i uwag krytycznych.

Wypada jednak zacząć od przypomnienia, że był to kolejny, bodajże czwarty już – po *Indeksie* (1977), *Marcowych migdałach* (1989), *1968: Szczęśliwego Nowego Roku* (1992) – film fabularny opowiadający o wydarzeniach marcowych. Można więc powiedzieć, że poświęcone tej tematyce obrazy powstawały średnio raz na dziesięć lat, co raczej trudno byłoby uznać za nadmierne eksploatowanie tej problematyki. Niemniej jednak innym „polskim miesiącom” filmowcy – jak dotąd – nie poświęcili nawet tyle uwagi.

**Jasienica, Kisielewski, Zawieyski**

*Różyczka* do pewnego stopnia oparta jest na faktach i opowiada – mocno jednak zdeformowaną – historię pisarza Pawła Jasienicy oraz działającego w środowisku literatów w Warszawie, bodaj najcenniejszego dla bezpieczeństwa w latach sześćdziesiątych tajnego współpracownika o pseudonimie „Ewa”. Z czasem okazało się, że skrywała się pod nim żona Jasienicy – Zofia Nena O’Bretny-Beynar. Co ciekawe, twórcy filmu (scenariusz napisał Jan Kidawa-Błoński wspólnie z Maciejem Karpińskim) zrobili wiele, aby podważyć wszelkie nasuwające się z Pawłem Jasenicą skojarzenia. Znakomicie zagrany przez Andrzeja Seweryna główny bohater filmu, pisarz i akademicki wykładowca prof. Adam Warczewski, jest bowiem postacią składającą się z elementów biograficznych dość swobodnie zaczerpniętych z życiorysów kilku intelektualistów.

W przeciwieństwie do Pawła Jasienicy, który w okresie stalinowskim w przymusowej izolacji przebywał „tylko” przez 10 miesięcy, bohater filmu spędził w więzieniu ponad 8 lat. Poza tym w historii Warczewskiego znalazły się też nawiązania do biografii Stefana Kisielewskiego. Pamiętne słowa o „dyktaturze ciemniaków”, wypowiedziane przez niego w czasie zebrania Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, w filmie zostały włożone w usta głównego bohatera. Warczewski – podobnie jak ich rzeczywisty autor – został kilkanaście dni później brutalnie pobity w klatce domu przez tzw. nieznaną sprawców. Natomiast jego samobójcza śmierć w następstwie skoku z okna stanowiła niewątpliwie nawiązanie

do niewyjaśnionych okoliczności śmierci (wypadek?, samobójstwo?, zabójstwo?) katolickiego pisarza Jerzego Zawieyskiego.

Wszystkie te zmiany oraz publiczne zapewnienia reżysera, że nie jest to ekranizacja dramatycznej historii Jasienicy, nie uchroniły twórców od groźby procesu sądowego, który zamierzali im wytoczyć bliscy pisarza. Mogłoby to z kolei doprowadzić do wydania sądowego zakazu prezentowania filmu, do czego jednak – na szczęście – nie doszło.

### Potęga miłości

Tytułową *Różyczką* jest Kamila Sakowicz – młoda, atrakcyjna, przebojowa dziewczyna (w tej roli wystąpiła bardzo przekonująca Magdalena Boczarska). Pracując w sekretariacie na Uniwersytecie Warszawskim, miała okazję zetknąć się z prof. Warczewskim. W wolnych chwilach często przebywała zaś w towarzystwie swojego zamożnego (jak na owe czasy) narzeczonego Romana Rożka. W tej roli wystąpił – jak zwykle znakomity – Robert Więckiewicz. Nawiasem mówiąc, aktorstwo w ogóle jest bardzo mocną stroną tego filmu, w którym nawet w rolach drugoplanowych i epizodach pojawiają się na ekranie takie znakomitości, jak: Jan Frycz, Krzysztof Globisz, Jerzy Kamas, Władysław Kowalski czy Grażyna Szapołowska.

Oficjalnie Rożek pracował w jednej z central handlu zagranicznego, w rzeczywistości zaś był oficerem Służby Bezpieczeństwa werbującym do współpracy własną narzeczoną.

Polecił jej, aby „za wszelką cenę” weszła w „jak najbliższy kontakt” z Warczewskim i informowała SB o tym wszystkim, co „figurant” robi, mówi, z kim, gdzie, kiedy i w jakim celu się spotyka, kto bywa u niego w domu itd. Dziewczyna, która początkowo traktowała to wszystko trochę jak zabawę, z czasem zaczęła wykonywać zlecane jej zadania coraz lepiej, zbierając coraz cenniejsze dla „resortu” informacje dotyczące życia zawodowego i prywatnego Warczewskiego. W całej tej grze nie przewidziała tylko jednego: potęgi miłości. Nie tylko bowiem starszy, elegancki, szarmancki profesor zakochał się w młodej, atrakcyjnej, inteligentnej dziewczynie, ale i ona pokochała jego, dostrzegając w nim z czasem nie tylko „figuranta”, a nawet nie tylko nauczyciela i mentora (analogie z *Pigmalionem* nasuwają się tutaj same), lecz w końcu mężczyznę, kochanka.

W tym miejscu wypada zwrócić uwagę na wyjątkowo liczne w tym filmie sceny erotyczne, przy czym sceny z udziałem Kamili i Romana to raczej brutalny seks, a nie subtelna erotyka. Domyślam się intencji twórców: fragmenty te zapewne miały być swoistym kontrapunktem dla delikatnych, nastrojowych scen – można by rzeczywiście powiedzieć w tym wypadku: erotycznych – z udziałem Kamili i Warczewskiego. Niemniej jednak nagromadzenie w *Różyczce* tak wielu tego typu scen w rezultacie właściwie wyeliminowało udział w pokazach kinowych grup szkolnych. Po premierze zwracano twórcom uwagę, że w ten sposób sami pozbawili się co najmniej stu tysięcy młodszych widzów, co nie tylko miało swój wymiar kasowy, ▶

▶ TW „Różyczka” i kapitan SB Roman Rożek (Robert Więckiewicz)

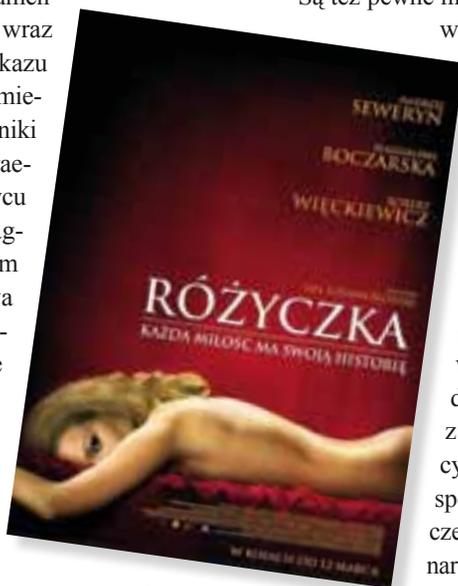




Fot. MONOLITH FILMS

materialny, lecz przede wszystkim stanowi stratę edukacyjną. Młodzi ludzie nie obejrżeli przez to dzieła, które mogłoby im powiedzieć o całej złożoności wydarzeń marcowych i peerełowskiej rzeczywistości w ogóle znacznie więcej niż najlepszy szkolny podręcznik historii.

Było to tym ważniejsze, że istotną rolę w *Różyczce* odgrywają filmowe materiały archiwalne, dokumentujące przebieg wydarzeń. Najpierw wraz z bohaterami oglądamy w czasie pokazu w kinie na wolnym powietrzu w Kazimierzu nad Wisłą fragmenty Polskiej Kroniki Filmowej, ukazujące zwycięstwo Izraela w wojnie sześciodniowej w czerwcu 1967 roku. Potem obserwujemy fragmenty balu sylwestrowego z udziałem I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki. Następnie widzimy dokumentalne kadry ukazujące pałowanie studentów na Krakowskim Przedmieściu, które zostały wplecione w barwne sceny rekonstruujące na potrzeby filmu wiec 8 marca na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego i starcia na pobliskich ulicach. Wreszcie reżyser włączył w narrację fragmenty archiwalnego filmu ukazującego przemówienie Władysława Gomułki w Sali Kongresowej 19 marca w czasie wiecu tzw. warszawskiego aktywu partyjnego. W tym ostatnim wypadku posłużono się wszakże jedynie dokumentalnymi kadrami filmowymi, podkładając pod nie głos lektora, naśladującego sposób wystawiania się I sekretarza KC PZPR. Twórcom filmu chodziło o to, żeby w usta Gomułki włożyć słowa wymierzone nie przeciwko Pawłowi Jasienicy, jak miało to miejsce w rzeczywistości, lecz przeciw prof. Warczewskiemu.



### Kilka przeinaczeń

Autorzy – mimo wielkiej troski o szczegóły – nie ustrzegli się jednak kilku przeinaczeń lub wręcz merytorycznych błędów. Na przykład wbrew temu, co oglądamy na ekranie, na premierze (w ogóle na żadnym spektaklu) *Dziadów* w reżyserii Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym w Warszawie nie było radzieckiego ambasadora, a zatem nie mógł manifestacyjnie – jak to widzimy w omawianym filmie – opuścić łoża w chwili, gdy ze sceny padały słowa rosyjskiego oficera:

„Nie dziw, że nas tu przeklinają  
Wszak to już mija wiek,  
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają  
Samych łajdaków stek”.

Gdy Warczewski mówi do Kamili, że młodzi nie znają wielkich współczesnych pisarzy polskich, bo skąd niby mieliby o nich usłyszeć, wymienia – obok Czesława Miłosza i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego – Stanisława Cata-Mackiewicza. O ile dwaj pierwsi rzeczywiście żyli wówczas i publikowali na emigracji, o tyle Cat-Mackiewicz po powrocie do Polski w czerwcu 1956 roku przez prawie 10 lat aż do śmierci tworzył w kraju, gdzie jego książki (naturalnie nie wszystkie) były oficjalnie wydawane w dużych nakładach. Na pewno byłoby więc lepiej, gdyby Warczewski obok dwóch literackich emigrantów wymienił brata Cata, z racji wyrazistych antykomunistycznych poglądów zupełnie zakazanego w PRL – Józefa Mackiewicza.

Są też pewne nieścisłości w stroju ludzi. I tak na przykład w czasie rozpędzania pierwszego wiecu na

UW wielu studentów ma na głowach czapki studenckie. W rzeczywistości zaczęli je masowo nosić dopiero po tym pierwszym wiecu, między innymi właśnie po to, aby odróżnić się od „chuliganów”, jakim to mianem od pierwszej chwili przewano ich w środkach masowego przekazu. Z kolei w końcowej scenie rozgrywanej się na symbolicznym wręcz dla wydarzeń roku 1968 Dworcu Gdańskim widzimy milicjantów w hełmach na głowach, z kałasznikowami przewieszonymi przez plecy. W rzeczywistości być może dałoby się spotkać tak wyposażonych – choć jednak raczej bez karabinów automatycznych – funkcjonariuszy na ulicach Warszawy w marcu, ale scena ta rozgrywa się przecież jesienią 1968 roku.

Wszystkie te uwagi krytyczne w żadnym jednak razie nie wpływają na moją jednoznacznie pozytywną ocenę *Różyczki* jako filmu w sposób rzetelny i – jak się wydaje – zrozumiały dla ludzi młodych, ukazującego nie tylko wydarzenia marcowe, ale w ogóle kawałek historii PRL z czasów „późnego Gomułki”.

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)

# Orły biżuteryjne produkcji Marcina Jarry

Tomasz Zawistowski

Okolo 1890 roku do Krakowa przybył Marcin Jarra, mistrz brązowniczy z warszawskiej fabryki Norblina. Wraz ze współnikiem założył pierwszą dużą fabrykę wyrobów platerowanych w Krakowie, której produkty kilkanaście lat później nagrodzone zostały złotymi medalami na wystawach w Wiedniu i Paryżu. Jego nazwisko jest doskonale znane wszystkim kolekcjonerom i znawcom polskich platerów. Nie wszyscy jednak wiedzą, że obok ogromnego asortymentu platerów oraz brązów firma Jarry produkowała również srebrne orły, noszone przez galicyjskich patriotów w charakterze biżuterii patriotycznej.

**H**istoria orła jako elementu biżuterii patriotycznej jest o wiele słabiej udokumentowana od historii godła wojskowego. Stanowi całkowicie samodzielny nurt, ewoluujący z biegiem czasu, niekiedy splatający się z dziejami orłów wojskowych, niekiedy zaś – zazwyczaj pod ich nieobecność – istniejący niezależnie.

## Biżuteryjne orły

Narodziny idei biżuterii patriotycznej przypadają na koniec XVIII i początek XIX stulecia, kiedy to społeczeństwo, uświadomiwszy sobie utratę niepodległości, kultywowało pamięć bohaterów Insurekcji Kościuszkowskiej i epoki napoleońskiej. W okresie tym orzeł pol-



► Rysunek orła autorstwa Bartłomieja Berreccio ze ściany zewnętrznej kaplicy Zygmuntowskiej

ski, jakkolwiek obecny w wielu kompozycjach, nie był jeszcze elementem samodzielnym. Biżuteria patriotyczna w postaci orłów pojawiła się dopiero w okresie żałoby narodowej 1861 roku, na fali największego jak dotąd rozkwitu symboliki narodowej. Noszenie jej zostało natychmiast zdelegalizowane przez władze, nie tylko zresztą w Królestwie Polskim, ale i w Galicji, gdzie od kwietnia 1861 roku zakazane było „noszenie kokard żałobnych – polskich orłów – trójkolorowych wstążeczek do

zegarków”. O ile jednak w Królestwie antypolskie nastawienie władz było trwałe i rzeczywiste, o tyle w Galicji pozostawało raczej ukłonem w stronę politycznych sojuszy monarchii. Już w miesiąc po obwieszczeniu policyjnego zakazu używania biżuterii patriotycznej c.k. Namiestnictwo pozwoliło mieszkańcom Krakowa na noszenie polskiego stroju z karabelą, a w roku 1865 zezwolenie to rozciągnięto na mieszczaństwo lwowskie. Tak więc nie dziwi w żadnym razie, że to właśnie Kraków i Wiedeń, ►

Fot. przedruk z: Józef Czech, Kalendarz Krakowski na rok 1902

a w pewnej mierze także Lwów, stały się głównymi ośrodkami wyrobu emblematów patriotycznych.

Polskie organizacje mundurowe, oficjalnie rejestrujące swą działalność w początkach XX wieku, w Galicji wykorzystywały symbol sokoła w miejsce orła. W miarę słabnięcia oporu władz zaborczych produkcja i sprzedaż polskich orłów o charakterze brosz i wisiorów stała się w zaborze austriackim legalna, co potwierdza użycie cech probierczych i monogramów wytwórców na licznych w tej grupie egzemplarzach srebrnych. Początkiem kulminacyjnego okresu używania biżuterii patriotycznej był rok pięćsetnego jubileuszu grunwaldzkiego. W owym czasie, aż do wybuchu wojny, największą popularnością cieszyły się orły nawiązujące do wzorców historycznych.

### Godło dłuta Bartłomieja Berrecciego

Zdecydowanie największą popularnością wśród orłów historycznych cieszyła się grupa godeł nawiązujących do czasów jagiellońskich. Ich pierwowzorem stał się orzeł umieszczony na postumencie pilastrowym wawelskiej kaplicy Zygmuntońskiej. Renesansowy orzeł – zaprojektowany przez Bartłomieja Berrecciego dla Zygmunta I Starego, przedostatniego z Jagiellonów, pogromcy zakonu krzyżackiego, władcy, którego panowanie rozpoczęło czasy świetności Rzeczypospolitej – w epoce rozbiorów wielokrotnie powracał w charakterze symbolu patriotycznego na fali owych pozytywnych skojarzeń historycznych. Ozdabiano nim liczne druki, spośród których bodaj najslawniejsze były *Śpie-*



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł zygmuntoński wyprodukowany w firmie Marcina Jarry

*wy historyczne* Juliana Ursyna Niemcewicza, wydane w 1816 roku. W latach osiemdziesiątych XIX wieku, a może nawet dekadę wcześniej, orły jagiellońskie trafiły na ubiory galicyjskich patriotów. Dokładne datowanie nie jest pewne, ale wiadomo, że już w 1887 roku krakowski złotnik Karol Czaplicki odlewał ze srebra jagiellońskie godła. Łącznie produkowano je – aż do chwili odzyskania

niepodległości – w co najmniej kilkadziesiąt wersjach. Asortyment godeł był bardzo szeroki, zarówno w formie, jak i w jakości wykonania. Najwyższej jakości wyroby wybijano matrycowo ze srebra, późniejsze – z tańszych metali, a niektóre odlewano. Z listy krakowskich producentów godeł z monogramem „Sigismundus” znany dzisiaj trzy nazwiska: Wacława Głowackiego, Franciszka Zająca i Marcina Jarry. Szczególnie ciekawą postacią jest ten ostatni; dość powiedzieć, że należy on do nielicznej grupy rzemieślników, którzy mają własne hasła w *Polskim słowniku biograficznym*.

### Marcin Jarra, brązownik z Krakowa

Pierwsza Krajowa Fabryka Wyrobów Platerowanych z Chińskiego Srebra, Prawdziwych Srebrnych i Odlewalnia Brązowych Monumentów prowadzona była samodzielnie przez Marcina Jarrę od roku 1901, od chwili rozstania się ze współnikiem Marcellem Jakubowskim. Mieszczące się w kramie numer 1 w krakowskich Sukiennicach przedsiębiorstwo jedno-



Fot. ze zbiorów autora

► Matryca do produkcji orłów zygmuntońskich używana w firmie Marcina Jarry



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł zygmuntocki noszony w charakterze broszy patriotycznej

znacznie deklarowało patriotyczne sympatie, chlubiąc się wykonaniem pomnika Teofila Lenartowicza w Panteonie Narodowym na Skałce oraz tablicy pamiątkowej Tadeusza Kościuszki na ścianie kościoła Kapucynów, a także potwierdzając w katalogu ofertowym – ozdobionym polskim orłem – zatrudnianie osób jedynie polskiej narodowości.

Marcin Jarra nie był członkiem Stowarzyszenia Złotników i Jubilerów Krakowskich, niemniej otrzymał od c.k. Namiestnictwa zgodę na wytwarzanie – obok swej podstawowej działalności, jaką była produkcja platerów i brązów – wyrobów ze złota i srebra. W ramach tej marginalnej produkcji firma wytwarzała orła z monogramem „Sigismundus”. Co ciekawe, matrycę do wyrobu tego godła zamówiono w Wiedniu, o czym świadczy umieszczona na niej sygnatura „K. BUHA/WIEN”. Zamówienie przez krakowskiego wytwórcę matrycy w stolicy monarchii nie jest niczym dziwnym w obliczu związków handlowych łączących oba miasta. Orły zygmuntockie z firmy Jarra, produkowane ze srebra i znakowane austriackimi ce-

chami krajowymi oraz inicjałami „MJ”, były dostępne w wersji przypinanej na agrafę oraz zawieszanej. Na żądanie firma gotowa była ozdobić ich rewers napisem bądź monogramem.

Podstawową grupą wyrobów firmy Marcina Jarra była zastawa platerowana. W jej skład wchodziła również niewielkich rozmiarów tacka aplikowana

wizerunkiem Bramy Floriańskiej, portretami Kościuszki i Mickiewicza oraz Orłem i Pogonią. Każdy z tych emblematów był samodzielną odkawką matrycową, wykonaną z mosiądzu, posrebrzoną i przykręconą do tacy. Matrycy orła używano do produkcji godeł biżuteryjnych, wybijanych ze srebra i opatrzonych poziomymi agrafami (ilustracja obok).

Na czas Wielkiej Wojny firma Marcina Jarra zawiesiła działalność, co pozwala datować jej wyroby cechowane austriackimi próbami na okres przed jesienią 1914 roku. ►



► Orzeł patriotyczny wyprodukowany w firmie Marcina Jarra

Fot. ze zbiorów autora

### Orły zygmontowskie na ubraniach cywilnych i na mundurach

Godła nawiązujące do czasów jagiellońskich cieszyły się w drugiej dekadzie XX wieku ogromną popularnością. Przypinano je do ubrań i noszono jako wisiory, ale również uzupełniano tarczami bądź bordiurami, tworząc większe egzemplarze brosz patriotycznych. Na ilustracji poniżej orzeł zygmontowski



Fot. ze zbiorów autora



▶ Rotmistrz c.k. kawalerii Franciszek Ożegalski z orłem zygmontowskim przypiętym do czapki w miejsce austriackiego bączka, rok 1918; w roku 1919 rtm. Ożegalski był dowódcą dywizjonu w 2. p.szwol., a później w 1. p.s.k.

z pracowni Franciszka Zająca ozdabia kłmnię pasa od stroju ceremonialnego chorążego Stowarzyszenia Kupców i Młodzieży Handlowej w Rzeszowie.

Biżuterii patriotycznej używali legioniści, którym nie udało się zdobyć orłów wojskowych. Karol Koźmiński, wyruszający z Warszawy do I Brygady Legionów w sierpniu 1915 roku, zanotował we wspomnieniach, że spotkał się z taką właśnie sytuacją: „Nie był to jeszcze ów orzeł strzelecki, którego otrzymałem później. O ile pamiętam, była to, nabyta w jakimś niezupełnie chrześcijańskim sklepie, broszka damska, przedstawiająca orła Jagiellonów z koroną na głowie”.

**Tomasz Zawistowski** – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*



Fot. ze zbiorów autora

▶ Orzeł zygmontowski na kłmnie pasa chorążego Stowarzyszenia Kupców i Młodzieży Handlowej w Rzeszowie

# Arsenał pod Arsenalem

Michał Mackiewicz

26 marca 1943 roku Grupa Szturmowa Szarych Szeregów dokonała śmiałej akcji odbicia więźniów przewożonych z warszawskiej siedziby gestapo do więzienia na Pawiaku. Powodzenie operacji oraz jej niezwykle spektakularny przebieg sprawiły, że stała się ona jednym z najbardziej znanych wydarzeń w historii Polskiego Państwa Podziemnego. Gdy na dodatek uświadomimy sobie, z jak lichym uzbrojeniem Polacy przystąpili do działania, sukces ten budzi jeszcze większe uznanie.

Zasadniczym celem akcji było odbicie członka Szarych Szeregów Jana Bytnara „Rudego”. Miejsce ataku na więzienną furgonetkę wybrano optymalnie – zbieg ulic Bielańskiej, Długiej i Nalewek, tuż przy gmachu Arsenału. Gestapowskie renault musiało tutaj zwolnić, a brak w pobliżu znaczących niemieckich posterunków uniemożliwił szybką odsiecz. Miała to być pierwsza tak duża akcja warszawskiego podziemia, wobec czego można było się spodziewać, że jej 29 uczestników, podzielonych na dwie grupy: ataku i ubezpieczenia, zostanie znakomicie uzbrojonych.

## Niechodliwe rewolwery

Nie jest tajemnicą, że przez cały okres niemieckiej okupacji największą bolączką ruchu oporu było uzbrojenie. To schowane we wrześniu 1939 roku, czyli przeważnie długie karabiny i karabinki powtarzalne, ze względu na gabaryty i niewielką szybkostrzelność zupełnie nie nadawało się dla miejskich grup szturmowych. Pożądane były pistolety samopowtarzalne i przede wszystkim maszynowe. Choć z uwagi na słaby nabój ich siła rażenia była ograniczona, to w walce na krótkim dystansie okazywały się nieocenione. Wydawałoby się, że magazyny Kedywu AK (Kierownictwa Dywersji), skąd pobierano broń, do roku 1943 powinny się już nasycić odpowiednimi jej rodzajami, pochodzącymi z rozbrojeń, zakupów na czarnym rynku czy zrzutów.

Jak zatem żołnierze dowodzeni przez Stanisława Broniewskiego „Orszę” byli uzbrojeni podczas akcji? Zachowało się kilka relacji jej uczestników, jedną z najciekawszych pozostawił ▶



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

Witold Bartnicki „Kadłubek”, wchodzący 26 marca w skład sekcji „sygnalizacja”: „Mieliśmy bardzo mało broni. Dwa steny, cztery, pięć pistoletów. Na zadania zlecone przez Kedyw dostawaliśmy broń z magazynów. Tam też nie było jej dużo [...]. Tuż przed akcją dostaliśmy pięćdziesiąt niechodliwych rewolwerów, ośmiomilimetrowych Lebeli z pierwszej wojny światowej, wzór z 1898 roku, zrobiony na podstawie doświadczeń z wojny francusko-pruskiej. Te Lebele były naszym głównym uzbrojeniem w Akcji pod Arsenalem. Niektórzy, na przykład Janek Rodowicz »Anoda« jako dowódca sekcji ataku, mieli po dwa, czyli dysponowali dwunastoma wystrzałami. Większość miała po jednym. Sześć strzałów i zostawało się bezbronnym! »Anoda« po wystrzeleniu dwóch magazynków musiał wycofać się do sekcji osłonowej i wziąć broń od Zika [Józefa] Saskiego »Katody«. »Katoda« zajął się ładowaniem broni i gdy napatoczył się Niemiec z SA, byłby zginął, gdyby nie poratował go któryś z kolegów”. Relacja ta, choć nie jest pozbawiona nieścisłości, wydaje się cenna ze względu na to, że dość dobrze pozwala nam zidentyfikować użytą pod Arsenalem broń. Warto poświęcić jej nieco więcej miejsca.

### Wzór 1892

Rewolwer, o którym wspomina „Kadłubek”, to Modèle d’Ordonnance 1892, a więc wzór z roku 1892, a nie 1898. Była to regulaminowa broń używana przez armię francuską podczas obu wojen światowych. Produkowano ją w Manufacture d’Armes de Saint-Étienne (MAS), stąd też często nazywana jest MAS-em lub Saint-Étienne. Najbardziej popularne określenie – Lebel – jest w tym wypadku zupełnie błędne, jako że słynny Nicolas Lebel nie skonstruował tej broni, mimo że wchodził w skład wojskowej komisji zatwierdzającej ją do uzbrojenia. Rewolwer wz. 1892 zastąpił używane dotychczas rewolwery wz. 1873 i 1874, dostosowane do jedenastomilimetro-

wej amunicji elaborowanej prochem czarnym. Wybór ośmiomilimetrowego naboju był podyktowany względami technologicznymi, taki właśnie kaliber miał bowiem regulaminowy karabin francuskiej armii (Lebel wz. 1886). To właśnie słaby nabój (8 x 27 mm) był największą wadą nowego rewolweru; pocisk ważył 7,8 g i wylatywał z lufy z prędkością zaledwie 220 m/s (energia 159 dżuli). Broń była solidnie wykonana, stosunkowo celna i ze względu na wspomnianą amunicję charakteryzowała się niewielkim odrzutem. Wzór 1892 był pierwszym europejskim rewolwerem z bębnum wychylnym

na bok i gwiazdowym wyrzutnikiem łusek. Pewną niedogodnością było wychylanie się bębna na prawą stronę (standardem była lewa), co powodowało, że podczas ładowania broń należało przelożyć do lewej ręki. Rewolwer miał stały szkielet i sześciopokojowy bęben zaopatrzone w gwiazdowy wy-



Fot. Filmboteka Narodowa

rzutnik pustych łusek. Wychylenie bębna odbywało się poprzez zwolnienie zawiasowego zatrzasku znajdującego się z prawej strony szkieletu. Wzór 1892 był podwójnego działania, tzn. strzał można było oddać, naciskając bezpośrednio na spust lub też po uprzednim odciągnięciu kurka.

Obecność tych rewolwerów w Polsce nie powinna dziwić. Znaczne ilości trafiły tu w 1919 roku wraz z żołnierzami Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera, a zapas został potem uzupełniony zakupami. Szacuje się, że do kraju trafiło łącznie ponad 20 tys. sztuk. Choć w 1939 roku standardową bronią krótką Wojska Polskiego były pistolety wis wz. 35, niemało francuskich re-

wolwerów znajdowało się w jednostkach tyłowych lub Korpusu Ochrony Pogranicza. Jakaś część została ukryta i zasilila podziemny arsenał.

Oczywiście, w latach okupacji każda sprawna broń była na wagę złota, zwłaszcza jeśli dysponowano odpowiednią do niej amunicją. Niemniej wybór rewolwerów dla uczestników akcji pod Arsenalem (oprócz tego dwa steny Mk II, butelki zapalające i granaty) musi budzić zdumienie i może być tłumaczony jedynie znacznym pośpiechem, jaki towarzyszył opracowywaniu planu i organizowaniu całej operacji. Trudno przypuszczać, aby w warszawskich magazynach znajdowały się tylko dwa zrzutowe

steny lub też nie było pistoletów – przecież zdecydowanie lepszych, bardziej szybkostrzelnych, celniejszych i, co najważniejsze, dzięki wymiennym magazynkom, pozwalających na błyskawiczne uzupełnienie naboju. Właśnie czasochłonne napełnianie rewolwerowego bębna stało się przyczyną pojmania Huberta Lenka „Huberta”, zwiększając krwawe straty Polaków do trzech zabitych („Huberta” zakatowano na gestapo).

### Prawda czasów, prawda ekranu

Na koniec już, w formie ciekawostki, warto odnieść się do realiów przedstawionych w filmie *Akcja pod Arsenalem* (1977), znakomicie skądinąd zrealizowanym. Chociaż polska kinematografia doby PRL wyróżniała się dbałością o szczegóły historyczne, zwłaszcza w porównaniu z żałosnymi produkcjami współczesnymi, w dziele Jana Łomnickiego nie udało się uniknąć uproszczeń. Oczywiście, są tutaj butelki zapalające, są granaty, nie mogło zabraknąć także dwóch stenów Mk II. Natomiast rolę rewolwerów wz. 1892 „grają” pocziwe naganty. To absolutnie nie razi, oba rodzaje broni powstawały bowiem mniej więcej w tym samym czasie i wizualnie różnią się od siebie nieznacznie (konstrukcyjnie owszem). „Zośka”, grany przez Mirosława Konarowskiego, rani gestapowców z wisa. W tym wypadku nie jest to niedopatrzanie ekipy filmowej, gdyż niektóre relacje wskazują, że Tadeusz Zawadzki rzeczywiście uzbrojony był w dwa pistolety samopowtarzalne (choć nie ma pewności co do wzoru). Ale już zupełnie nieprawdopodobnie prezentuje się Jan Englert, grający dowodzącego akcją „Orszę” i dumnie dzierzący rewolwer – co prawda francuski, ale... jedenastomilimetrowy czarnoprochowy wz. 1873! ■

► Kadr z filmu *Akcja pod Arsenalem*, „Orsza” (Jan Englert) z rewolwerem, z tyłu ranny „Alek” (Ryszard Gajewski) oraz „Katoda” (Ryszard Jabłoński)



Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kirchalm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

# Ładunek powrotny

Andrzej Zawistowski

**W latach sześćdziesiątych zmo-  
rą polskich kierowców cięża-  
rówek stały się obowiązkowe  
dodatkowe załadunki.**

# 22

września 1985 roku w stronę Krakowa pędzi auto państwowego Warszawskiego Przedsiębiorstwa Takśówkowego o numerze bocznym 1313. Wiezie spieszącego się na nagranie do krakowskiego ośrodka telewizji znanego aktora Wojciecha Rawicza. Nagle jadący przed taksówką samochód gwałtownie zmienia pas ruchu, a żółta taryfa z piskiem opon wyhamowuje przed olbrzymią przeszkodą, na której jest wytłoczony niepozostawiający wątpliwości napis: 8 ton. „Cudem żem się wyrobił. Przecież to pewna śmierć!” – mówi przerażony kierowca. Po chwili pojawia się ciężarówka, a jej kierowca prosi: „Cholera, znów mi spadło ze skrzyni. Droga nierówna. Pomóżcie koledzy wrzucić to draństwo na wóz”. Zrozumiałe, że propozycja ręcznego załadunku wielotonowego kolosa spotyka się nie tylko ze zdziwieniem, ale oburzeniem: „Dźwig sobie pan sprowadź!”. Kierowca ciężarówki odpowiada jednak: „To dmuchane jest, z gumy. Rozchodzi się o to, żeby nie było pustych przelotów. Milicja za to wali mandaty”.

Tak w niecałe dwie minuty w serialu *Zmiennicy* Stanisław

Bareja i Jacek Janczarski utrwalili na lata absurd komunistycznej gospodarki, który przepadł w niepamięci wraz z upadkiem PRL. Przepadł tak głęboko, że już dziś mało kto pamięta, o co w tej scenie tak naprawdę chodziło.

Jedną z podstawowych cech gospodarki centralnie sterowanej była likwidacja własności prywatnej. Znikał w ten sposób realny właściciel, który powinien na bieżąco nadzorować opłacalność przedsięwzięcia, zgodnie z zasadami rachunku ekonomicznego. Urzędnik, który go zastąpił, nie miał szans na realizację tego zadania. Faktyczna likwidacja rachunku ekonomicznego i odczuwalnego zysku, wynikającego z oszczędnego gospodarowania, ujemnie wpływały na pracowników i ich przywiązanie do przedsiębiorstwa. Rosły więc sterty biurokratycznych przepisów, a ludzie wynajdowali najprzeróżniejsze sposoby, by je omijać. Nie inaczej było wśród kierowców ciężarówek.

W lutym 1965 roku minister komunikacji Piotr Lewiński i minister gospodarki komunalnej Stanisław Sroka ogłosili rozporządzenie w sprawie krajowego transportu drogowego. Siódmy rozdział tego dokumentu zatytułowano: „Wykorzystanie ładowności ciężarowych pojazdów samochodowych i ich próżnych przebiegów”. Precyzował on zadania dla zarządzających państwowym parkiem samochodów ciężarowych. W dokumencie znalazł się m.in. następujący przepis: „Jeżeli w wyniku zamierzonej jazdy ciężarowy pojazd samochodowy ma mieć przebieg próżny

lub wykonać przewóz ładunku, przy którym ładowność pojazdu jest tylko częściowo wykorzystana, a jazda ma się rozpocząć w miejscowości, w której znajduje się państwowa jednostka organizacyjna prowadząca spedycję publiczną

[...] zlecający jazdę i kierowca obowiązani są: 1) zgłosić zamiar jazdy wyżej wymienionej placówce spedycyjnej; 2) przyjąć do przewozu przesyłkę zleconą przez placówkę spedycyjną [...]”. W ten sposób prawnie zadekretowano zachowania, które w gospodarce rynkowej są elementarnymi, zupełnie oczywistymi zasadami minimalizacji kosztów. Po raz kolejny władze starały się przekonać, że wszystko można nakazać.

Po wejściu w życie wspomnianego zarządzenia na granicach miejscowości, w których zlokalizowane były „placówki spedycyjne”, stały się tablice z dokładnymi informacjami, gdzie kierowcy mają się zgłaszać po „ładunki powrotne”. Z tym było jednak trudniej: kierowcy wcale nie palili się do wypełniania nałożonych na nich zadań. Dodatkowy załadunek i związane z tym procedury biurokratyczne opóźniały powrót do domu. Poza tym – co nie mniej istotne – zaradni kierowcy potrafili znakomicie wykorzystać niezaladowany samochód do korzystnego (choć nielegalnego) przewozu dla prywatniarzy. Nie bez znaczenia było również to, że niezaladowany samochód spalał mniej paliwa, co można było wykorzystać na własny użytek. Było to wszystko znacznie bardziej opłacalne niż premie przewidziane za odebranie ładunku powrotnego.

Milicja Obywatelska zyskała za to jeszcze jedno zadanie – wyłapywanie tych, którzy starali się „zapomnieć” o obowiązkowym załadunku. Szczególne nasilenie tych kontroli miało miejsce w latach osiemdziesiątych – to wówczas walcą się gospodarka cierpiąca na niedobory sprawnych samochodów (deficyt części zamiennej), a przede wszystkim na brak paliwa. Milicjanci, zamiast ścigać piratów drogowych bądź pijanych kierowców, kontrolowali ciężarówki i wykrywali „puste przeloty”. System „ładunków powrotnych” chociaż w niewielkim stopniu miał łagodzić braki sprzętu i surowców. Pomysł był tak samo absurdalny, jak ówczesny system ekonomiczny. Nic dziwnego, że wraz z PRL odszedł w niebyt. 🍷

dr Andrzej Zawistowski – historyk, dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, pracownik Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie



# Śladami „Alka”, „Rudego” i „Zośki”

Katarzyna Dzierzbicka

Zbliża się 71. rocznica akcji pod Arsenałem. Jak co roku do Warszawy tłumnie przyjadą harcerze z całej Polski, aby upamiętnić bohaterów, którzy 26 marca 1943 roku z narażeniem życia odbili grupę więźniów Pawiaka. Wspominając bohaterów, odwiedzimy miejsca nierozdzielnie z nimi związane, które odnaleźć można na kartach *Kamieni na szaniec* Aleksandra Kamińskiego.

**W** listach i wspomnieniach pisanych przez bohaterów *Kamieni na szaniec* zachował się obraz pełnych miłości rodzinnych domów „Zośki”, „Alka” i „Rudego”. Tadeusz Zawadzki urodził się w Warszawie. Alek Dawidowski pochodził z Drohobycza, dziś miasta na Ukrainie, a Jan Bytnar z Kolbuszowej na Rzeszowszczyźnie. Chłopcy poznali się w stołecznym gimnazjum im. Stefana Batorego przy **ul. Myśliwieckiej 6**, które ukończyli w 1939 roku. Byli harcerzami działającej tam 23. Warszawskiej Drużyny Harcerzy im. Bolesława Chrobrego „Pomarańczarnia” – nazwa ta pochodzi od koloru harcerskich chust.

## Trzej przyjaciele, trzy domy

**Maciej Alek Dawidowski** – pseudonimy: „Alek”, „Glizda”, „Kopernicki”, „Koziorożec”. Mieszkał z rodzicami i siostrą Marią, zwaną Marylą, przy **ul. Dworskiej 29/31** (obecnie **ul. Kasprzaka**) w służbowym mieszkaniu przy Państwowej Fabryce Karabinów. Ojciec „Alka” był jej dyrektorem administracyjnym. W pierwszych dniach września 1939 roku rodzina przeniosła się do mieszkania zaprzyjaźnionej z nimi doktor Marii Felsz-Krügerowej, znajdującego się przy **Marszałkowskiej 120**. 28 września, po kapitulacji Warszawy, Dawidowscy wrócili do mieszkania przy Dworskiej. W październiku 1939 roku ojciec „Alka” został aresztowany przez gestapo po odmowie uruchomienia fabryki dla Niemców. Aleksander Kamiński opisuje moment aresztowania w *Kamieniach na szaniec*: „Pan Dawidowski w czasie krótkiego badania był błydy, lecz spokojny – nie znano jeszcze wówczas ani śledztwa gestapowskiego,

ani sposobów likwidacji więźniów. Alek stał w rogu pokoju oszołomiony nieoczekiwanym wydarzeniem, zaskoczony tym, co się dzieje. Gdy zbliżył się doń ów gestapowiec w cywili i czystą polszczyzną zaczął zadawać jakieś pytania dotyczące ojca, Alek przez chwilę wahał się, co i jak odpowiedzieć. Dopiero gdy cywil, natarczywie żądając wiadomości, gdzie są ukryte pieniądze, przyłożył do brzucha chłopca lufę pistoletu i zagroził strzałem, dopiero wówczas Alek zdecydował się na odpowiedź.

– Strzelaj pan – powiedział wolno, patrząc w oczy szpicla. – Strzelaj pan – powtórzył.

Dlaczego nie aresztowano wówczas Alka, dlaczego wyprowadzono tylko ojca? Bóg to raczej wie! Być może w pierwszych

dnia okupacji gestapo nie miało jeszcze ustalonej metody postępowania w podobnych sytuacjach. Hardą odpowiedź chłopca pozostawiono bez następstw”. Alek Dawidowski senior został rozstrzelany najprawdopodobniej w Ogrodach Sejmowych, choć niektóre źródła podają jako miejsce egzekucji Palmiry. „Ojciec

zginął w listopadzie 1939 roku. Po tym, jak Niemcy przejęli fabrykę, w której był dyrektorem, zdecydował się przejść na emeryturę, by nie pracować dla wroga. Został aresztowany w czasie przeprowadzki ze służbowego mieszkania. Rozstrzelano go i tylko przez przypadek dowiedzieliśmy się o tym” – wspomina

Maryla Dawidowska-Strzembożowa, siostra „Alka”, w rozmowie z pisarką i dziennikarką Małgorzatą Wittels.

„Alek” z matką i siostrą przenieśli się do mieszkania na warszawskim Żoliborzu przy **ul. Mickiewicza 18**. Mama „Alka” z pomocą dzieci uprawiała mały ogródek znajdujący się przy **ul. Śmiałej**, w fosie Cytadeli Warszawskiej. Opis tego mieszkania odnaleźć można na stronach *Kamieni na szaniec*: „[...] nadszedł dzień, w którym nowy zespół Alka miał złożyć uroczyste przyrzeczenie. Przyrzeczenie to odbywało się w mieszkaniu Alka na Żoliborzu. Przyszedł nań komendant Wawra. Co za widok! Podłoga pokoju, w którym odbywa się przyrzeczenie, cała zasłana hitlerowskimi flagami. Chodząc – depte się po swastykach”.

Jest w Warszawie jeszcze jedno miejsce, w którym w 1942 roku ukrywał się Maciej Alek Dawidowski. To mieszkanie rodziców jego sympatii – Barbary Sapińskiej „Baśki”. Znajduje się ono przy **ul. Grottgera 23 m. 7** na Dolnym Mokotowie.



**Jan Bytnar** – pseudonimy: „Rudy”, „Janek”, „Krokodyl”. Od września 1930 roku mieszkał wraz z rodziną przy **al. Niepodległości 159 m. 63**. Lokal ten był miejscem konspiracyjnych spotkań i tajnych kompletów. W pokoju „Rudego” przygotowywano akcję wysadzenia mostu pod Kraśnikiem, zaplanowaną na sylwestra 1942/1943. „Mieszkanie Rudego zamieniło się w laboratorium. [...] Pod okiem instruktora przygotowywano miny do wysadzania torów kolejowych, sporządzano zapalniki elektryczne i czyniono szereg innych przygotowań” – pisał Aleksander Kamiński. 23 marca 1943 roku o 4.30 w mieszkaniu przy al. Niepodległości „Rudy” wraz z ojcem zostali aresztowani przez gestapo.

W 2009 roku narodził się – dotąd niezrealizowany – pomysł odkupienia przez miasto mieszkania Bytnarów od ich spadkobierców za 700 tys. złotych. W mieszkaniu miało zostać urządzone muzeum poświęcone Szarym Szeregom – filia Muzeum Historycznego m.st. Warszawy.

**Tadeusz Zawadzki** – pseudonimy: „Zośka”, „Kotwicki”, „Kajman”, „Lech Pomarańczowy”. Mieszkał przy **ul. Koszykowej 75** w budynku należącym do Politechniki Warszawskiej, gdzie jego ojciec – Józef Zawadzki – był rektorem i profesorem chemii. Na ścianie wewnątrz głównego gmachu uczelni widnieje tablica poświęcona harcmistrzowi Tadeuszowi Zawadzkiemu oraz innym studentom Politechniki, a zarazem żołnierzom podziemia. Inną mieszkanką domu przy Koszykowej 75 była Anna Smoleńska „Hania”, autorka kotwicy – znaku Polski Walczącej. „Hania” została aresztowana 3 listopada 1942 roku. Zginęła w Auschwitz.

### Tajna politechnika

Jan Bytnar uczęszczał do **Szkoły Powszechnej nr 29** przy ul. Zagórnej 9



na warszawskim Solcu (obecnie **Zagórna 3**). Jak wspomina matka „Rudego”, szkoła miała „przepiękny ogród botaniczny, pracownie i znakomitych, mądrych nauczycieli. Od 1 września 1930 roku dziewięcioletni Jaś stał się uczniem tej szkoły, dzielnie dojeżdżając z Piastowa. Zdobywał ostrogi przyrodnika, miał swój zielnik, zaczął studiować encyklopedie, atlasy, robić doświadczenia”.

Wspomnienia matki „Rudego” zebrała pisarka Barbara Wachowicz. Ukazały się w jej książce *Rudy, Alek, Zośka. Gawęda o bohaterach „Kamieni na Szaniec”*.

W czasie wojny budynek szkoły został przejęty przez Wehrmacht. W 1944 roku mieścił się tam powstańczy szpital. Po jego zdobyciu Niemcy część rannych rozstrzelali, a część trafiła na **Szucha**. Obecnie kamienicą, która została wpisana do rejestru zabytków, zarządza Kancelaria Sejmu.

Tadeusz Zawadzki uczył się w Prywatnej Szkole Powszechnej Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej przy **ul. Klonowej 16**. Do tej samej placówki uczęszczał Jan Rodowicz „Anoda”.

W 1940 roku chłopcy podjęli naukę w jawnej Państwowej Szkole Budowy Maszyn, czyli dawnej **Państwowej Wyższej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda (ul. Mokotowska 4/6)**. Niemcy wydali pozwolenie na działalność średniej szkoły technicznej, w rzeczywistości jednak wykładali w niej profesorowie z Politechniki Warszawskiej, prowadząc zajęcia na poziomie akademickim. Ze względu na działalność w konspiracji, „Alek” przerwał naukę w 1942 roku i rozpoczął pracę w straży przemysłowej fabryki firmy Fuchs przy ul. Topiel. Strażacy przechodzili tam także szkolenie paramilitarne. „Zośka” przerwał naukę na przełomie 1942 i 1943 roku. Budynek szkoły został zniszczony podczas Powstania Warszawskiego i po wojnie odbudowany. Na jego fasadzie znajduje się pamiątkowa tablica.

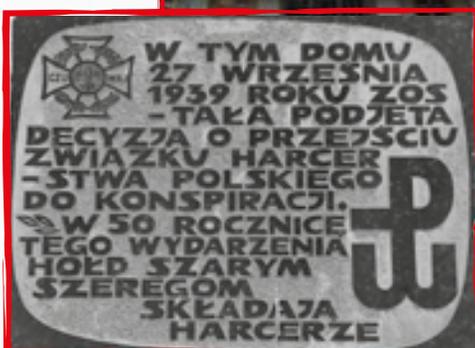
## „Klawe sprawy”, czyli Mały Sabotaż i akcje Szarych Szeregów

27 września 1939 roku w mieszkaniu harcmistrza Stanisława Borowieckiego – Szefa Głównej Kwatery Męskiej Szarych Szeregów – mieszczącego się w kamienicy przy **ul. Polnej (obecnie Noakowskiego 12)** została podjęta decyzja o przejściu Związku Harcerstwa Polskiego do konspiracji. O wydarzeniu tym informuje umieszczona przy wejściu do bramy kamienicy tablica pamiątkowa.

Od stycznia do czerwca 1940 roku „Alek” był łącznikiem w komórce więziennej Związku Walki Zbrojnej (poprzednika AK). Jej zadaniem było utrzymywanie łączności między konspiracją wojskową a więzieniami na **Pa-wiaku przy ul. Dzielnej** i Centralnym Aresztem Śledczym, zwanym także Centralniakiem, przy **ul. Daniłowiczowskiej 7**. „Alek” codziennie odbierał grypsy z Pawiaka, a następnie rowerem przewoził je do „skrzynki” na Żoliborzu.

12 grudnia 1940 roku z inicjatywy Aleksandra Kamińskiego rozpoczęła działalność Organizacja Małego Sabotażu „Wawer”. „Organizowałem go nie jako harcerz, nie jako przedstawiciel Szarych Szeregów, ani jako przedstawiciel ZWZ. Organizowałem go niejako na swój własny rachunek i wyraźnie tak sprawę stawiałem ludziom, których zapraszałem do współpracy; tworzymy niezależną, samodzielną organizację, pragnącą swe zadania wykonać w kontakcie z Wojskiem i Delegaturą Rządu” – czytamy w książce Barbary Wachowicz *Kamyk na szanćcu. Gawęda o druhu Aleksandrze Kamińskim w stulecie urodzin*. Jednym z zachowanych do dziś rysunków Małego Sabotażu jest szubienica z wiszącą na niej swastyką autorstwa nieznanego harcerza. Zobaczyć ją można na kamienicy przy **ul. Ligockiej**. Rysunek został zasłonięty szybą, co uchroniło go od dewastacji.

11 lutego 1942 roku „Alek” zastąpił brawurową akcją zdjęcie niemieckiej tablicy z pomnika Mikołaja Kopernika, stojącego przed gmachem Pałacu Staszica. Wyczyn ryzykowny, gdyż odbywało się to tuż pod oknami znajdującej się obok Komendy Głównej granatowej policji. „Z grzmiotem i mocnym metalicznym dźwię-



kiem spada na marmur stopni wielka, gruba, mosiężna płyta i po chwili ześlizguje się w śnieg. Przerażony hałasem Alek w jednej sekundzie zeskakuje z cokołu i jak ściągany zając pędem mknie w kierunku ul. Kopernika. Po paruset metrach staje zdyszany i nasłuchuje. [...] Zawraca i ostrożnie, w każdej chwili gotów do ucieczki, idzie pod pomnik i obchodzi go dookoła. Zdumiewająca historia! Nikt niczego nie zauważył, nikt niczego nie słyszał”. Za usunięcie tablicy „Alek” otrzymał honorowy pseudonim wawerski „Kopernicki”. Tablica została zakopana w ogrodzie Jana Rossmanna przy **ul. Sulkowski**

29 na Żoliborzu. W odwecie za akcję „Alka” Niemcy zdemontowali pomnik Jana Kilińskiego i ukryli go w gmachu Muzeum Narodowego. W nocy na budynku muzeum pojawił się napis autorstwa „Alka”:

JAM TU LUDU W-WY. KILIŃSKI JAN. W ramach Małego Sabotażu „Alek” i „Rudy” zrywali wielkie hitlerowskie flagi – „Alek” z gmachu PKO **na rogu ulic Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej**, a „Rudy” trzy dziesięciometrowe z gmachu Zachęty. Zdarzenie to opisał Aleksander Kamiński:

„Alek ruszał do flag największych, do najbardziej eksponowanych punktów miasta. [...] Wspinanie się, silne szarpnięcie, szybkie zwinięcie flagi i jazda. A potem – uśmiechnięty, zadowolony odwiedza Alek przyjaciół i wymachując rękoma, pełen entuzjazmu szybko opowiada o tym, jak to było. – Cóż u Boga Ojca, myślisz, że ty jeden to potrafiysz! – zachnął się kiedyś Rudy. – Przyjdź do mnie jutro, a postaram się pokazać ci coś! Zaintrygowany Alek wpadł następnego dnia do Rudego i oczom swoim nie wierzył: w pokoju czerwieniła się masa płótna trzech potężnych, dziesięciometrowych flag. – Rudy! Człowieku! Gdzieś ty to zrobił? – Zdjąłem z Zachęty. – Bujasz, niemożliwe! – Jedźmy, sprawdzimy. Pojechali. Alek już z daleka wlepił wzrok we fronton Zachęty i zdumiony zaczął cmokać. – No, no, no! – Spośród czterech olbrzymich flag wisiała tylko jedna. Trzy inne były zerwane. Na drążkach u góry czerwieniły strzepy mocno trzymających się resztek materii”.

Do zadań Małego Sabotażu należało również malowanie napisów i rysunków ośmieszających okupanta. „Rudy” wykonał napis „Tylko świnie siedzą w kinie”, wraz ze stosownym rysunkiem, na murze przy **Rakowieckiej 4**, gdzie mieściły się koszary lotnicze i koszary SS. Olbrzymie napisy „Polska zwycięży!” autorstwa „Alka” pojawiły na budynkach Banku Gospodarstwa Krajowego przy **Nowym Świecie** oraz

Funduszu Kwaterunkowego **na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Królewskiej**. Napisy tej samej treści – tym razem autorstwa „Rudego” – pojawiały się wzdłuż **ul. Puławskiej**. Na **bramie Ogrodu Saskiego**, do którego wstęp mieli tylko Niemcy, „Alek” namalował napis ZOO. Jego dziełem było również zamalowanie tablic z nazwą Adolf-Hitler-Platz (obecnie **pl. Piłsudskiego**) oraz wymalowanie dwóch wielkich kotwic na drzwiach do domu niemieckich żołnierzy, który znajdował się przy **ul. Królewskiej 13**, w miejscu dawnego Instytutu Propagandy Sztuki. Dziś w tym miejscu stoi hotel Sofitel (dawniej: Victoria).

Wiosną 1942 roku na warszawskich ulicach pojawiła się kotwica Polski Walczącej. „To, że znak kotwicy utrwalił się w Warszawie na cały czas okupacji – było w pierwszym rzędzie zasługą Zośki, któremu z tej racji »Wawer« nadał zaszczytny pseudonim Kotwickiego. W okresie kotwicowego szaleństwa Rudy sporządził własnoręcznie ponad dziesięć dużych stempli kotwic z chytrze obmyśloną poduszczką nasyconą farbą. [...] Drugi wynalazek był jeszcze bardziej pomysłowy. Wynalazca nazwał go »wiecznym piórem«.

[...] można było pisać farbą wielkie i grube litery wysokości trzech do czterech metrów. Ku pochwalę Rudego stwierdzić należy, że »wieczne pióro« było niewielkie i łatwo dawało się ukryć nawet pod marynarką. [...] Całe słowo pisało się jednym zamachem. Takim to piórem wykonano między innymi »poprawkę« na wielkim szyldzie zawieszonym na wysokości pierwszego piętra nad urzędem Arbeitsamtu przy Nowym Świecie. Szyld głosił: »Jedźcie z nami do Niemiec«, zaś po »poprawce« na szyldzie widniało: »Jedźcie sami do Niemiec!«” – pisał Kamiński w *Kamieniach na szaniec*. Wspomniany w książce budynek biura werbunkowego urzędu pracy mieścił się przy **Nowym Świecie 68**. Dziś w tym miejscu znajduje się wylot **ul. Świętokrzyskiej**.

Jedna z kotwic autorstwa „Rudego” znalazła się 2 maja 1942 roku na cokole pomnika Lotnika, na **pl. Unii Lubelskiej**. „W pełnym świetle szeregu lamp mała postać Rudego zbliżała się do stojącego w samotnym centrum pomnika. Już podszedł, skacze na stopnie i gdzieś wysoko w górze zaczyna swym wiecznym piórem malować kotwicę. Gdy to robi, na placu panuje zwykły o tej porze i w tym miejscu ruch. [...] Lada moment mogło się stać coś bardzo złego. Nic się jednak nie stało. W minutę potem Rudy siedział już na rowerze i razem z Zośką pędził do domu” – opisuje brawurową akcję Kamiński. W lecie tego samego roku pomnik Lotnika z wymalowaną kotwicą został sfotografowany przez Stefana Bałuka „Starbę”. Oryginalny pomnik Niemcy rozebrali w pierwszych dniach października 1943 roku i zamierzali przetopić w celach militarnych (zniszczony, odnalazł się po wojnie wśród złomu

na terenie fabryki Lilpopa na Woli). Fragmenty cokołu zostały porzucone 13 września 1944 roku w parku na Grochowie (od 2005 roku park nosi imię płk. Jana Szypowskiego „Leśnika”). Na cokole nowego pomnika, który dziś stoi na **skrzyżowaniu ulic Wawelskiej oraz Żwirki i Wigury**, 26 września 2010 roku umieszczono metalową kopię kotwicy „Rudego”.

W rysowaniu kotwic wyróżniał się również „Alek”. Jego rysunki z kamiennego ogrodzenia kawiarni Lardellego przy dawnej **ul. Polnej 30** zachowały się na fotografiach. Jedno z takich zdjęć, autorstwa Edwarda Dziewońskiego, można zobaczyć w fototece Muzeum Powstania Warszawskiego. Przedstawia ono aktorkę Alinę Janowską „Alineę”, łączniczkę batalionu AK „Kiliński”, stojącą przy kotwicy wykonanej przez „Alka”. Drugie znane zdjęcie tej kotwicy wykonał Stefan Bałuk „Starba”. Fragmenty ogrodzenia kawiarni pod koniec lat pięćdziesiątych harcerze Pomarańczarni przenieśli do liceum im. Stefana Batoryego. W 2004 roku zostały odrestaurowane i ustawione na dziedzińcu szkoły, przy pomniku jej patrona.

W niedzielę 17 stycznia 1943 roku Niemcy zatrzymali „Alka” w ulicznej łapance. Udało mu się uciec z samochodu wiozącego go z Pawiaka prawdopodobnie do obozu koncentracyjnego na Majdanku. „Podjeżdżali do rogu Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia. Alek szybkim ruchem przerzucił nogi na zewnętrzną stronę barierki i po chwili był już na jezdni. Zgrzytnęły hamulce jadącego za nim wozu, rozległ się jakiś niemiecki krzyk – ale Alek nie oglądał się już na boki. Wpadł w najbliższą uliczkę Starego Miasta, potem w następną, poprzeczną, wmieszał się w tłum... i był wolny!” – pisał w *Kamieniach na szaniec* Aleksander Kamiński.

2 lutego 1943 roku „Rudy” został ranny w nogę podczas akcji „Bracka”. Chłopcy ewakuowali z domu Jana Błońskiego przy **ul. Brackiej 23** konspiracyjne materiały, broń i dzieła sztuki. „Robota trwała bite dwie godziny. Dowódcą całości ubezpieczenia był Rudy, dowódcą piątki ubezpieczającej od strony ulicy był Alek. Wynoszeniem rzeczy kierował Zośka. Od chwili rozpoczęcia akcji nie można było dopuścić, aby ktokolwiek



wyszedł z wielkiej kamienicy, w której przeprowadzano ewakuację” – czytamy w *Kamieniach na szaniec*. Podczas akcji zginął Kazimierz Pawłowski „Paweł”.

10 lipca 1943 roku na Karowej został aresztowany „Zośka”. Trafił do siedziby gestapo przy al. Szucha, a następnie został przewieziony do obozu na **Gęsiówce**. Nie wiadomo dokładnie, kiedy go opuścił. Wiadomo natomiast, że uwolnienie zawdzięczał Zygmuntowi Kaczyńskiemu „Wesołemu” oraz swemu ojcu – prof. Józefowi Zawadzkiemu.

### Kryptonim: „Meksyk II”

„Rudy” po aresztowaniu 23 marca 1943 roku trafił do więzienia na Pawiaku, skąd przewożony był na przesłuchania do siedziby gestapo w al. Szucha. Choć koledzy podjęli natychmiastową decyzję o jego uwolnieniu, to na zatwierdzenie akcji przez Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej trzeba było czekać kolejne trzy dni.

Akcja Szarych Szeregów o kryptonimie „Meksyk II”, która przeszła do historii jako **akcja pod Arsenalem (przy ul. Długiej)**, została ostatecznie przeprowadzona 26 marca 1943 roku. Skatowany „Rudy” wraz z 25 więźniami został odbity z rąk gestapo, a następnie przewieziony do domu Stefana Mirowskiego przy **ul. Ursynowskiej 46/48**. Tam udzielono mu pomocy lekarskiej. Ranny w brzuch Aleksy Dawidowski trafił do Szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie zoperował go dr Andrzej Trojanowski. Wieczorem tego samego dnia koledzy przenieśli

„Rudego” do domu Gustawa Wuttke przy **ul. Kazimierzowskiej 15**, gdzie ponownie zbadał go lekarz. Tam też po raz pierwszy od aresztowania „Rudy” widział się z matką. Następnie przeniesiono go do kolejnego mieszkania nieznanego z nazwiska osoby z sanitariatu Komendy Głównej AK przy ul. Karłowicza. Ze względu na bardzo ciężki stan Jana Bytnara, koledzy podjęli decyzję o przewiezieniu go do **Szpitala Wolskiego przy ul. Płockiej**.

„Alek” i „Rudy” zmarli tego samego dnia – 30 marca 1943 roku. „Śmierć ich wywarła wstrząsające wrażenie na braterskim gronie przyjaciół. Zbyt wielka była poprzednio radość z odzy-



skania Rudego. Wszystko dookoła na świecie blade wobec tej nieprawdopodobnej radości. Radości krótkiej, gwałtownej. I dumy, że ich braterstwa nie wolno bezkarnie tykać” – pisał Aleksander Kamiński.

### Aleja Brzozowych Krzyży

Trzej przyjaciele z Pomarańczarni, którzy razem walczyli o wolną i niepodległą Polskę, spoczęli obok siebie w **Aleji Brzozowych Krzyży na Powązkach Wojskowych**. Na grobach „Alka”, „Rudego” i „Zośki”, który zginął 20 sierpnia 1943 roku podczas akcji w Sieczechach, zawsze palą się znicze, wiszą zdjęcia i harcerskie chusty. Początkowo Jan Bytnar został pochowany jako Jan Domański (nazwisko jego drużynowego z Pomarańczarni), a Tadeusz Zawadzki jako Tadeusz Górecki. Zwłoki „Alka” zostały przeniesione do kwatery w Alei Brzozowych Krzyży dopiero po wojnie. 26 marca 1946 roku jego ciało

ekshumowano z grobu rodzinnego Zdanowiczów na cmentarzu Powązkowskim.

„Alek”, „Rudy” i „Zośka” zostali pośmiertnie odznaczeni Krzyżami Srebrnymi Orderu Virtuti Militari V klasy; Tadeusz Zawadzki dodatkowo dwukrotnie Krzyżem Walecznych. W 2011 roku Maciej Aleksy Dawidowski „Alek” został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski za „wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej”.

**Katarzyna Dzierzbicka** – dziennikarka, przewodniczka po Warszawie

Zdjęcia ilustrujące artykuł wykonała autorka tekstu



# Los Żołnierzy Wyklętych rzucony na stos... kart

Ogólnopolski projekt edukacyjny „Rok Żołnierzy Wyklętych”, zainicjowany przez Fundację Niepodległości, oraz wzrastające zainteresowanie nieznaną dla wielu historią Żołnierzy Wyklętych przyniosły nam grę *Bohaterowie Wyklęci*, wydaną przez wspomnianą fundację we współpracy z lubelską Fabryką Gier Historycznych.

**N**ie jest to pierwsza próba przybliżenia tej tematyki w postaci gry. Kilka lat temu ukazała się kolekcjonerska gra karciana *Żołnierze Wyklęci*, wydana przez Towarzystwo Michała Archanioła. Gra nie miała jednak dopracowanej mechaniki i mimo zapału twórców przeszła w zasadzie bez echa. Szczęśliwie temat podjęli na nowo Adam Kwapiński i Michał Sieńko, dużo lepiej oddając realizm walk podejmowanych przez oddziały polskiego podziemia antykomunistycznego. Zatem poza tematyką i wykorzystaniem kart, nie ma zbyt wielu podobieństw w tych prawie tak samo brzmiących tytułach.

W niewielkim pudełku *Bohaterów Wyklętych* znajdziemy talię solidnie wykonanych 110 kart o frapującej grafice oraz kilka drewnianych znaczników. Jakość wykonania gry nie budzi zastrzeżeń, instrukcja jest napisana w miarę czytelnie, choć można jej zarzucić brak kilku zdań wstępu przypominającego podstawowe fakty historyczne na poruszany przez grę temat czy paru zdjęć archiwalnych.

Rozgrywka została opisana rzetelnie, ale ze względu na swoją karcianą naturę gra nie należy do łatwych. Trzeba docenić starania twórców o jak najprostsze wyjaśnienie reguł, choć nie zawsze im się to udało. Do płynnej gry w *Bohaterów Wyklętych* potrzeba będzie kilku rozgrywek z instrukcją w rękę. Minusem



gry, utrudniającym przyswojenie zasad, jest grafika znajdująca się na rewersach kart. Przedstawione na nich postaci wilków tylko nieznacznie różnią się między sobą, co powoduje trudności w zorientowaniu się, który stos zawiera jakie karty. Wydawcy zalecają grę osobom powyżej dziesiątego roku życia, aczkolwiek z uwagi na trudną tematykę i poziom skomplikowania wydaje się, że wiek graczy został w tym przypadku mocno zaniżony.

Rozgrywka sprawia wrażenie skomplikowanej, ale rdzeń gry jest stosunkowo prosty. Dowodząc swoim oddziałem Żołnierzy Wyklętych, staramy się wspólnie z innymi graczami wykonać powierzoną nam misję. Podana na zagrywanych kartach siła naszych podkomendnych musi przewyższać podany na karcie misji poziom siły komunistów. Żeby osiągnąć przewagę, używamy też rozmaitych kart rozkazów, które – choć zwiększają wartość bojową naszych żołnierzy – zawsze powodują jakiś skutek uboczny. W najlepszym razie jest to wycofanie się bez walki, ale przeważnie aresztowanie, odniesienie ran, a nawet śmierć. W grze nieraz będziemy musieli decydować, czy posłać na pewną śmierć mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę” lub skazać na areszt i nieuniknione tortury rtm. Witolda Pileckiego. Często nie będziemy mieli wyjścia i będziemy zmuszeni poświęcić ludzi dla dobrej sprawy. Mimo że działamy wspólnie z innymi graczami i wykonanie misji powinno być naszym wspólnym zadaniem, każdy ma własną kartę celów, która daje mu możliwość zdobycia punktów chwały za ich zrealizowanie. I tu autorzy po raz kolejny stawiają nas przed trudnym wyborem. Przed rozpoczęciem każdego etapu losujemy kartę tajnego celu i możemy otrzymać kartę zdrajcy, która sprawia, że dostajemy dodatkowe punkty za dopuszczenie do niepowodzenia misji. Czy ważniejsza jest wygrana, czy bycie w zgodzie z samym sobą? Gra testuje charakter jej użytkowników i stara się oddać realia tamtych czasów.

W ramach wykonywanych misji możemy wcielać się w różne role: dowódcy, zwiadowcy, łącznika lub członka grupy uderzeniowej. Zależnie od



wybranej funkcji otrzymujemy pewne przywileje. Oczywiście najchętniej wybierana jest funkcja dowódcy, którego władza przejawia się w rozdzielaniu między graczy punktów chwały za wykonaną misję. Jak możemy się domyślić, dowódca przydziela sobie samemu najwięcej punktów chwały, więc rywalizacja o bycie dowódcą jest często zawzięta. W *Bohaterach Wyklętych*, tak jak w życiu, żołnierz, który będzie miał wyższą szarżę od aktualnego dowódcy, będzie mógł zająć jego miejsce, a jego poprzednik zostanie odesłany do grupy szturmowej.

Podczas wykonywania misji komuniści nie pozostają bierni. Gracze losują karty akcji „władzy ludowej”, które sprawiają, że misja jest trudniejsza do wykonania i może nieść z sobą dodatkowe konsekwencje, takie jak areszt dla rannych lub uaktywnienie się konfidenta, który wydaje Żołnierzy Wyklętych wrogom. Pojmani przez władzę partyzanci trafiają do aresztu, z którego możemy ich odbić, ale musimy się spieszyć, bo możliwe, że następna karta „władzy ludowej” będzie powodowała egzekucję jednego z aresztowanych.

Po wykonaniu misji i przydzieleniu punktów chwały losujemy nową misję, którą będziemy musieli realizować, zazwyczaj dysponując oddziałem o pomniejszonym składzie. Przed nami staną kolejne dylematy: kogo poświęcić, kogo wycofać i czy oszukać swoich towarzyszy broni.

*Bohaterowie Wyklęci* mają ograniczone walory edukacyjne. Autorzy postawili na ukazanie atmosfery walk z komunistami oraz dylematów Żołnierzy Wyklętych. W dużej mierze udało im się ten cel osiągnąć. Niestety, odbyło się to kosztem dość mrocznej i miejscami przytłaczającej rozgrywki. Gra jest skierowana do bardziej doświadczonych graczy. Ze względu na jej złożoność trudno byłoby ją wykorzystywać podczas edukacji szkolnej. Jednak dla tych, którzy już interesują się tematem, z pewnością jest to pozycja warta wypróbowania. 🍀

**Andrzej Lipson** – absolwent Wydziału Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego, hufcowy w Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej; interesuje się nowoczesnymi grami planszowymi

Współpraca: Karol Madaj

Dziękujemy Fabryce Gier Historycznych za udostępnienie gry.



## OKIEM HISTORYKA

Fabula gry osadzona jest w realiach wojny partyzanckiej toczzonej w latach czterdziestych i pięćdziesiątych przez polskie podziemie niepodległościowe przeciwko okupantowi sowieckiemu i władzy komunistycznej przyniesionej na bagnietach Armii Czerwonej w 1944/1945 roku. Bohaterami gry są autentyczne postaci, przede wszystkim najbardziej znani dowódcy partyzanci, reprezentujący główne nurty ówczesnego podziemia zbrojnego (poakowski i narodowy), różne regiony Polski, włącznie z ziemiami zabranymi przez ZSRR na wschodzie. Niestety, nie zasygnalizowano przy tej okazji choćby nazw najważniejszych formacji podziemnych, np. Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” czy Narodowych Sił Zbrojnych. Wśród 32 postaci znajdziemy m.in. cichociemnego mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”, legendarnego dowódcę polowego z Lubelszczyzny, czy ppor. Anatola Radziwonika „Olecha”, ostatniego dowódcę polskiej partyzantki na Nowogródczyźnie. Można by się przy tej okazji zastanawiać nad kryterium doboru postaci, bo wśród pominiętych też są osoby bardzo znane, np. kpt. Stanisław Sojczyński „Warszyc”, dowódca Konspiracyjnego Wojska Polskiego, czy por. Józef Kuraś „Ogień” – legendarny dowódca partyzancki z Podhala. Kluczowy problem polega jednak na tym, że u osób nieznaną jeszcze historii antykomunistycznego oporu lakonicznie podpisane portrety postaci nie wywołają żadnej refleksji, nie zasygnalizują bowiem, czym owi ludzie zapisali się na kartach ojczyńskiej historii. Można się obawiać, że rzadko który z gorzej zorientowanych w historii graczy zada sobie trud wyszukania informacji biograficznych choćby w internecie. Dlatego bardzo by się przydała wkładka do gry z wydrukowanymi biogramami tych postaci. Niestety, autorzy nie uniknęli też drobnych potknięć. Na przykład na jednej z kart umieszczono portret marynarza ppor. Zbigniewa Smoleńskiego „Żurawia”, błędnie podpisując go, zapewne na skutek zbieżności nazwisk, jako ppor. Leona Smoleńskiego „Zeusa” (z V Wileńskiej Brygady AK).

Walorem gry są użyte w niej karty misji i karty działań władzy, które trafnie, choć oczywiście w znacznym uproszczeniu (co jest uzasadnione w przypadku gry), odzwierciedlają taktykę walki obu stron konfliktu. Przypominają daty i charakter wielu autentycznych akcji podziemia (np. ataki na lokalne placówki UB i MO), w tym tych najbardziej spektakularnych – rozbicia więzień w Kielcach (4/5 sierpnia 1945 roku) i Krakowie (18 sierpnia 1946 roku). Sygnalizują też typowe formy działania sił reżimowych: zasadki, oblawy, aresztowania oraz infiltrację podziemia przy wykorzystaniu konfidentów. Do tego zestawu warto byłoby dodać jeszcze akcje amnestyjne, które w największym stopniu przyczyniły się do wygaszenia masowej partyzantki.

Gra jest ciekawą próbą wprowadzenia odbiorców w trudną tematykę „wojny po wojnie”, choć nie wykorzystuje w pełni dostępnego potencjału.

Paweł Rokicki – historyk, kierownik Sekcji Wystaw w Biurze Edukacji Publicznej IPN

# Ida, czyli historia bez uproszczeń

Jan Olszek

*Ida*, choć nakręcona na czarno-białej taśmie, jest jak najdalsza od pokazywania czarno-białego obrazu historii.

**S**tosunki polsko-żydowskie w czasach II wojny światowej i latach powojennych, w tym w okresie stalinowskim, to jeden z najtrudniejszych tematów w najnowszej historii Polski. Twórcom filmu *Ida* w reżyserii Pawła Pawlikowskiego udało się w spokojny, wyważony sposób pokazać opowieść, której tłem są budzące chyba największe emocje wątki tego tematu: przypadki zabijania w czasie wojny Żydów przez Polaków i zaangażowania osób żydowskiego pochodzenia w system zbrodni stalinizmu.

Akcja filmu dzieje się na początku lat sześćdziesiątych XX wieku, kiedy Polską rządziła ekipa Władysława Gomułki. Anna (Agata Trzebuchowska), wychowanka sierocińca prowadzonego przez zakonnice, tuż przed ślubami zakonnymi spotyka się po raz pierwszy w życiu ze swoją ciotką Wandą (Agata Kulesza), o której istnieniu wcześniej nawet nie wiedziała. Dowiaduje się od niej, że z pochodzenia jest Żydówką. Ich cała rodzina zginęła w czasie wojny. Ciotka jest komunistką, w stalinizmie jako prokurator uczestniczyła w procesach politycznych, w których skazywano ludzi na śmierć. Nazywano ją nawet „krwawą Wandą”. Choć nie przyznaje się do tego, widać, że ma świadomość, iż zaangażowanie w komunizm doprowadziło ją do udziału w zbrodni.

Bohaterki filmu to dwie kobiety pochodzące z jednej rodziny, ale z zupełnie innych światów. Razem przyjeżdżają do swojej rodzinnej wsi, by poznać prawdę o tym, jak zginęli najbliżsi. Dokonane przez nich odkrycie jest przerażające – rodzice Anny i syn Wandy zostali zabici przez ukrywających ich sąsiadów. Film pokazuje, jak odkrycie prawdy wpłynęło na życie obu kobiet.

Obraz Pawlikowskiego ukazuje tę historię bez łatwego usprawiedliwiania, potępiania czy dokonywania jakichkolwiek generalizacji. Postaci nie są czarno-białe, przeżywają dylematy moralne, targają nimi wyrzuty

sumienia. Film został nakręcony w dość kameralny sposób, akcja toczy się powoli, główne postaci często milczą. Tłem wydarzeń jest PRL czasów Władysława Gomułki: z jednej strony wszechobecna bieda i bylejakość, z drugiej – jazz i chęć młodych ludzi do zabawy.

*Ida* to kino bardziej artystyczne niż historyczne. Choć wspomniane trudne wątki dziejów najnowszych zajmują tu ważne miejsce, to jednak najważniejsze w filmie są dylematy głównej bohaterki, która – zanim podejmie najważniejszą w życiu decyzję: o złożeniu ślubów zakonnych – chce dowiedzieć się czegoś o sobie: o swojej przeszłości, ale też o teraźniejszości. Przeżywa

dylematy nie tylko spowodowane tym, że jest jednocześnie katoliczką i Żydówką, lecz także te, które są typowe dla młodych dziewczyn. Obie odtwórczynie głównych ról – debiutująca Agata Trzebuchowska i znana m.in. z *Róży* Agata Kulesza – grają znakomicie. Atutami filmu są ponadto świetne zdjęcia, scenografia i pasująca do nastroju muzyka.

Film w reżyserii Pawła Pawlikowskiego dowodzi, że historia może być silnie obecna w filmie, a jednocześnie nie zdominować jego fabuły. *Ida* nie popada ani w dydaktyzm, ani w skandalizowanie. Skomplikowane problemy przedstawia w zniuansowany sposób.

Jakże odróżnia ją to od – z jednej strony – hurrapatriotycznych produkcji, pokazujących tylko polskie bohaterstwo, a z drugiej – od np. skandalizującego *Poklosia*, portretującego mieszkańców polskiej wsi niemal jako krwiożercze bestie. *Ida* dowodzi, że historia na wielkim ekranie nie musi być uproszczona i że nawet bez wydawania ogromnych pieniędzy można z sukcesem ją na nim pokazywać. ■



# Zawody kontrolowane

Jeśli na półce w księgarni pod szyldem „historia najnowsza” wyziera z grzbietu przerażające słowo „sport”, rzesza czytelników mechanicznie przenosi wzrok na kolejny tytuł. Ci, których nie porusza *Samotność w peletonie* ani nie nęci *Pilka jest okrągła* wybitnego trenera, bez lęku powinni jednak sięgnąć po *Sport wyczynowy w polityce państwa 1944–1989* Artura Paski.

Autor, który już wcześniej nie stronił od tematyki sportowej (*Wyścig Pokoju w dokumentach władz partyjnych i państwowych 1948–1989*), potwierdza w swej nowej pracy, że historyk zajmujący się tą dziedziną życia nie musi koncentrować się na opisie zmagania herosów. Czczony przez kibiców remis piłkarzy na Wembley sprzed czterdziestu lat czy niezapomniane złoto siatkarzy na igrzyskach w Montrealu w 1976 roku to tylko tło, na którym Artur Pasko szkicuje taktykę partyjno-państwowego aparatu, niezmordowanego w staraniach – od ostrego startu Polski Ludowej do jej przegranego finiszu – o jak najskuteczniejsze ingerowanie w sport i jego propagandowe wykorzystywanie. Postawy sportowców, działaczy i dziennikarzy sportowych, metody podporządkowywania ich sobie przez władze obrazują doświadczenia nie tylko tej wąskiej grupy, lecz także całego społeczeństwa w opisywanym przez autora okresie.

Dzieje zawłaszczania sportu przez władze komunistyczne śledzimy w książce etapami, zgodnie z kanonem podziału chronologicznego. W ten sposób jak przez kalkę widać historię Polski w latach 1944–1989. Najpierw – rachunek strat wojennych. Na zgłiszczach komuniści bezwzględnie ustanowili swój porządek, a historia kraju jak w zwierciadle odbijała się w wydarzeniach kluczowych również dla sportu. Starcie PPR z PPS o pozycję lidera w początkowym okresie, stalinizacja i przyjęcie wzorców radzieckich, pienne nadzieje związane z odwilżą po wydarzeniach październikowych, mała stabilizacja, gierkowska propaganda sukcesu, stan wojenny i kryzys z lat osiemdziesiątych aż po kres Polski Ludowej w czerwcu 1989 roku – sztafeta dziejów sportu przypomina bieg historii społecznej i politycznej.

Artur Pasko naświetla schematy rządzące w tym czasie sportem, zarysowuje wydarzenia, przedstawia instytucje i zapadające w nich decyzje, ale nie zapomina o uwikłanych w system ludziach. Cytowane w książce wspomnienia sportowców, wypowiedzi działaczy i fragmenty relacji prasowych tworzą wyraźny obraz peerelowskiej rzeczywistości: groźnej, zakłamej, przytłaczającej, ale niekiedy również w swoim absurdzie śmiesznej, tak jak – w relacji Władysława Kozakiewicza, złotego medalisty w skoku o tyczce – oficjalne przyjęcie wydane przez władze na powitanie sportowców powracających z igrzysk w Moskwie w 1980 roku: „Stoimy w szeregu, najpierw złoci medalisci, potem srebrni i tak dalej. Wchodzi [premier Edward] Babiuch, ubrany normalnie, garnitur, krawat, ale spoglądamy na dół, a on na nogach ma adidas. W ten sposób zaznaczył, że idzie na spotkanie ze sportowcami. Nagle rozsunęły się drewniane ściany, a za nimi ukazały się stoły zastawione po brzegi: kawior, kabanosy, artykuły wtedy w Polsce niedostępne. Jacek

Wszola pakuje kabanosy do kieszeni marynarki. Zobaczył to Babiuch, podchodzi i mówi: – Panie Jacku, nie trzeba, starczy dla wszystkich. A Jacek na to: – Moja żona została na dole i chciałem jej pokazać, bo dawno kabanosa nie widziała”.

Zazwyczaj jednak sportowcom towarzyszył ponury wymiar Polski Ludowej: marginalizowanie niepokornych, reglamentowanie wyjazdów zagranicznych, nękające służby, trudne decyzje, w tym wybór – wierność przekonaniom czy kontynuowanie kariery.

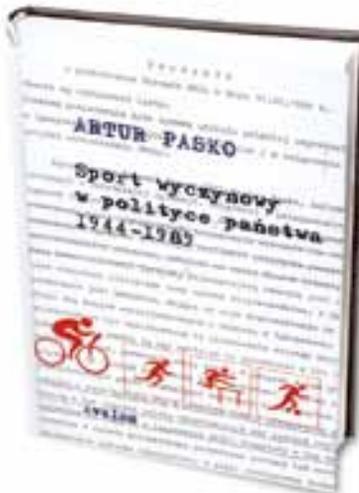
Jednak dla władz liczyła się nie tylko subordynacja sportowców. Sport ważny był przede wszystkim jako narzędzie propagandy, a nawet – co uzmysławia lektura książki – jako istotny element polityki zagranicznej komunistycznego państwa. Już w 1952 roku „Przegląd Sportowy” pisał, że należy wychowywać sportowców w duchu „miłości do Związku Radzieckiego i nienawiści do imperializmu anglo-amerykańskiego”. Czasami chodziło o jak najlepsze wyniki, przygotowanie na pokaz zawodów (na przykład etapów Wyścigu Pokoju), a niekiedy o bojkot, aby przeciwstawić się „nasileniu ataków na kraje socjalistyczne i zaostreniu sytuacji międzynarodowej”, jak uzasadniał w 1984 roku Polski Komitet Olimpijski rezygnację narodowej reprezentacji z udziału w igrzyskach w Los Angeles.

Upolitycznienie sportu najbardziej uderzało w samych sportowców, którzy podobnie jak ogół społeczeństwa prezentowali w większości postawy konformistyczne, czasem cichego lub symbolicznego sprzeciwu – przypomnijmy słynny gest Kozakiewicza na olimpiadzie w Moskwie. Głośniejsi byli kibice, o których na marginesie wspomina Artur Pasko. Już w 1946 roku mecz Legii z Partizanem Belgrad w Warszawie stał się okazją do zmanifestowania poglądów. Agitujący przed spotkaniem za „trzy razy tak” w referendum mówcy zostali wygwizdani, a chwilę potem stadion wypełniły gromkie okrzyki „Mikołajczyk! Ratuj Polskę!”. Inną formę demonstracji – spontaniczną radość – wybrali kibice, fetując zwycięstwo piłkarzy w Chorzwie nad drużyną ZSRR w 1957 roku. W latach osiemdziesiątych trybuny wyrażały zaś poparcie dla opozycji, także za granicą, co obserwowali telewizywnie w Polsce podczas mundialu w Hiszpanii – niekiedy nie udawało się cenzurować obrazu na żywo z białoczerwonymi flagami z napisem „Solidarność” prezentowanymi przez kibiców.

Wydarzenia te autor pozostawia na drugim planie, bo książka nie ma na celu przedstawienia „atmosfery tamtych dni”. Praca nie stanowi też gratki dla koneserów tabel z rekordami czy statystyk wyników. Nie jest ona również encyklopedią porządkującą osiągnięcia i porażki białoczerwonych. *Sport wyczynowy w polityce państwa 1944–1989* to dzieło naukowe. Pełne detali, spoczywające na solidnym fundamencie historycznego rzemiosła studium ujawnia, w jaki sposób sprzeniewierzono się w Polsce Ludowej definicji sportu ukutej przez redaktora Bohdana Tomaszewskiego: „Sport jest demokratyczny i sprawiedliwy; jest zaprzeczeniem fałszu, przemocy i hipokryzji”.

■

Karol Usakiewicz



Artur Pasko, *Sport wyczynowy w polityce państwa 1944–1989*, Avalon, Kraków 2012, 536 s.

# Mikrohistoria konfliktu

**D**o tej pory kwestię stosunków polsko-ukraińskich w latach II wojny światowej i burzliwym okresie po jej zakończeniu traktowano niemal wyłącznie w ogólnym wymiarze. Historycy starali się pokazać problem bez poważniejszych prób odtworzenia historii poszczególnych lokalnych społeczności polskiej i ukraińskiej, ogarniętych krwawym konfliktem. Praca Tomasza Berezy, który szczegółowo opisał dzieje kilku gmin położonych na prawym brzegu Sanu w latach 1939–1945, jest pod tym względem dziełem pionierskim.

Stopień wykorzystania przez autora bogatej bazy źródłowej musi budzić szacunek. Tomasz Bereza sięgnął bowiem do materiałów przechowywanych w archiwach państwowych województw podkarpackiego i lubelskiego, nie wyłączając skromniejszych zbiorów zlokalizowanych w mniejszych miejscowościach. Korzystał z akt urzędów stanu cywilnego, wyjątkowo cennych przy pracy nad dokładnym ustalaniem liczby śmiertelnych ofiar obu stron, przeprowadził także kwerendę w archiwach ukraińskich we Lwowie (w Państwowym Archiwum Obwodu Lwowskiego – DALO) oraz w Kijowie (w Wydzielonym Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy – HDA SBU). Informacje zdobyte w archiwach uzupełnił o wspomnienia świadków i uczestników opisywanych wydarzeń. Wiedzę pochodzącą z dokumentów skonfrontował z informacjami od świadków, prezentując jednocześnie wysoki poziom znajomości krytyki źródłowej, co pozwoliło na wyeliminowanie licznych błędów i nieścisłości powtarzanych dotąd w pracach innych historyków.

Zrekonstruowanie przebiegu konfliktu oraz charakterystyka poszczególnych aktorów dramatu, który rozegrał się na obszarach Zasania położonych między Leżajskiem, Sieniawą a Tarnogrodem, wymagało od historyka rzeszowskiego oddziały IPN prawdziwie benedyktyńskiej pracy. Bereza odtworzył wiele ważnych, a jednocześnie trudnych do uchwycenia wątków z życia obu społeczności i umiejscowił je w realiach dwóch okupacji, zażartych walk ukraińskiej Powstańczej Armii z AK i Narodową Organizacją Wojskową, a po „wyzwoleniu” – systemu komunistycznego instalującego się za pomocą bagnetów i karabinów NKWD. Wszystko to pozwala czytelnikowi na wnikliwe poznanie zależności pomiędzy wybranymi aktami przemocy wobec przeciwnika, dokonanymi przez zbrojne formacje polskiego i ukraińskiego podziemia.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że autor nie obawiał się podjęcia trudnych tematów, takich jak kolaboracja, zbrodnie na ludności cywilnej czy bandytyzm podziemia, bez względu na to, którą ze stron konfliktu opisywał. Bohaterowie jego narracji to ludzie z krwi i kości, ich postawy i zachowania przybierają liczne odcienie szarości i są ściśle uzależnione od trudnych sytuacji, w których przyszło im się znaleźć. Precyzyjnie odtworzony

świat Zasania z lat 1939–1945 trudno zakwalifikować do stereotypowo nierządno postrzeganej polskiej prowincji lat wojny i przełomu. Klarowny opis gwarantuje przyjemność z lektury i chwilami czytelnik może odnieść wrażenie, że ma do czynienia z powieścią historyczną, a nie pracą naukową, bogato okraszoną przypisami i archiwalnymi fotografiami.

W książce są drobne pomyłki, dotyczące głównie nazewnictwa wybranych formacji czy zjawisk. Do takich bowiem należy zaliczyć używanie pojęcia „esesmani” (zamiast „żołnierze Waffen-SS”) lub skrótu SS w odniesieniu do regularnej formacji zbrojnej, której poprawna nazwa brzmiała właśnie „Waffen-SS”. Nieścisłe jest również nazwanie operacji lwowsko-sandomierskiej Armii Czerwonej częścią operacji „Bagration” – w sowieckiej i rosyjskiej historiografii rezerwuje się ten kryptonim dla działań trzech Frontów Białoruskich i 1. Frontu Nadbałtyckiego przeciwko niemieckiej Grupie Armii „Środek” na kierunku białoruskim. Operacja zaczepna na kierunku ukraińskim, podjęta latem 1944 roku przez 1. Front Ukraiński przeciwko wojskom Grupy Armii „Północna Ukraina”, była *de facto* operacją pomocniczą względem operacji „Bagration” i miała wesprzeć Armię Czerwoną w osiągnięciu pełnego powodzenia prowadzonej ofensywy, co się zresztą w stu procentach Sowietom udało. W niektórych przypadkach Tomasz Bereza nie zachował też konsekwencji w pisowni nazwisk w oficjalnie przyjętej transkrypcji z języka ukraińskiego, chociaż niewykluczone, że takie rozwiązanie podyktował brak możliwości konfrontacji ich zapisu w dokumentach polskich i ukraińskich. Wspomniane nieścisłości w żadnym wypadku nie wpływają jednak na ogólną wartość pracy.

Tytuł książki może w pewien sposób wprowadzać w błąd, ponieważ zbrodnia w Piskorowicach stanowi zaledwie jeden z problemów podjętych przez autora, zresztą sprawnie osadzonych w chronologiczno-tematycznej konstrukcji monografii. W rzeczywistości praca ma znacznie większy zakres. Ramy chronologiczne to z jednej strony początek okupacji w roku 1939, a z drugiej – lato 1945 roku, czyli moment względnego okrzepnięcia komunistycznej władzy na Zasanu i rozformowanie większości sił polskiej partyzantki działającej na tym terenie. Tomasz Bereza przedstawił niezwykle ciekawy wątek z ogólnej historii konfliktu polsko-ukraińskiego, zastrzegając przy tym jego niepowtarzalność i wyjątkowość w odniesieniu do opisywanego czasu i miejsca. Konflikt ten w setkach innych miejsc przybrał zupełnie inne formy, innemu rozłożeniu uległy straty ludzkie, inne było zakończenie każdej z tych mikrohistorii. Jednakże bez wątpienia praca Berezy pomaga zrozumieć każdą z nich. Zrozumieć i porównać z tym, co działo się wokół Piskorowic. ■

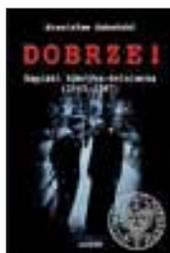
Damian Markowski



Tomasz Bereza, *Wokół Piskorowic. Przyczynki do dziejów konfliktu polsko-ukraińskiego na Zasanu w latach 1939–1945*, IPN, Rzeszów 2013, 384 s.+ 24 s. wkl. ilustr.



■ *Bez (auto)cenzury. Z Wojciechem Bogaczykiem rozmawia Bartłomiej Noszczak*, IPN, Warszawa 2013, 352 s. + 32 s. wkł. ilustr.



■ Stanisław Gabański, *Dobrze! Zapiski kleryka-żołnierza (1965–1967)*, wstęp, oprac. J. Marecki, IPN, Avalon, Kraków 2013, 326 s.



■ Joanna Hytrek-Hryciuk, *„Rosjanie nadchodzą!” Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948*, wyd. II (popr. i uzup.), IPN, Wrocław 2013, 301 s.



■ Mariusz Krzysztofiński, *W służbie Chrystusa Króla. Ks. Józef Sondej*, IPN, Rzeszów 2013, 288 s. + 40 s. wkł. ilustr.



■ Krzysztof G. Latocha, Artur Ossowski, Paweł Spodenkiewicz, Magdalena Zapolska-Downar, *Najdłuższe pół wieku. Kalendarium Łodzi 1939–1989*, IPN, Łódź 2013, 253 s.



■ Michał Paziewski, *Grudzień 1970 w Szczecinie*, IPN, Szczecin 2013, 495 s. + 56 s. wkł. ilustr.



■ *Pod dyktando ideologii. Studia z dziejów architektury i urbanistyki w Polsce Ludowej*, red. P. Knap, IPN, Szczecin 2013, 418 s.



■ *PZPR a Solidarność 1980–1981. Tajne dokumenty Biura Politycznego*, wstęp T. Kozłowski, IPN, Warszawa 2013, 919 s.



■ Janusz Przemysław Ramotowski *„Przem”, Sto razy głową w mur. Historia o tych, co chcieli zrobić coś innego niż druk bibuły*, IPN, Warszawa 2013, 592 s.



■ *Realny socjalizm – Solidarność – kapitalizm. Wokół myśli politycznej Leszka Nowaka*, red. K. Brzechczyn, IPN, Poznań 2013, 120 s.



■ Ewa Rogalewska, *Getto białostockie. Doświadczenie Zagłady – świadectwa literatury i życia*, wyd. II, IPN, Białystok 2013, 320 s.



■ Mateusz Szpytma, *ZSL w województwie krakowskim (1949–1956). Geneza – ludzie – działalność*, IPN, Kraków 2013, 544 s.



■ *Teki edukacyjne IPN, Warmia i Mazury w latach 1945–1950. Kształtowanie się stosunków politycznych i narodowościowych*, IPN, red. i oprac. D. Krysiak, Olsztyn – Białystok 2013, 117 s. + 46 s. + 23 s.



*Twórcy na służbie. W służbie twórczości*, red. S. Ligarski, IPN, Warszawa 2013, 216 s.



■ *Władze wobec Kościołów i związków wyznaniowych na Środkowym Nadodrzu w latach 1956–1970*, red. E. Wojcieszek, IPN, Poznań 2013, 217 s.



■ *Zbrodnie niemieckie na Pomorzu Zachodnim i ziemi lubuskiej popełnione w latach 1939–1945 w świetle śledztw prowadzonych przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie. Wybór źródeł*, oprac. M. Maciejowski, M. Dźwiągła, IPN, Szczecin 2013, 141 s.



■ Marcin Zwolski, *Śladami zbrodni okresu stalinowskiego w województwie białostockim*, IPN, Białystok 2013, 456 s.



■ Maria Żychowska, *Represje komunistyczne w Tarnowskim 1945–1956*, t. 1: *Miasto i powiat Tarnów*, IPN, Kraków 2013, 720 s.

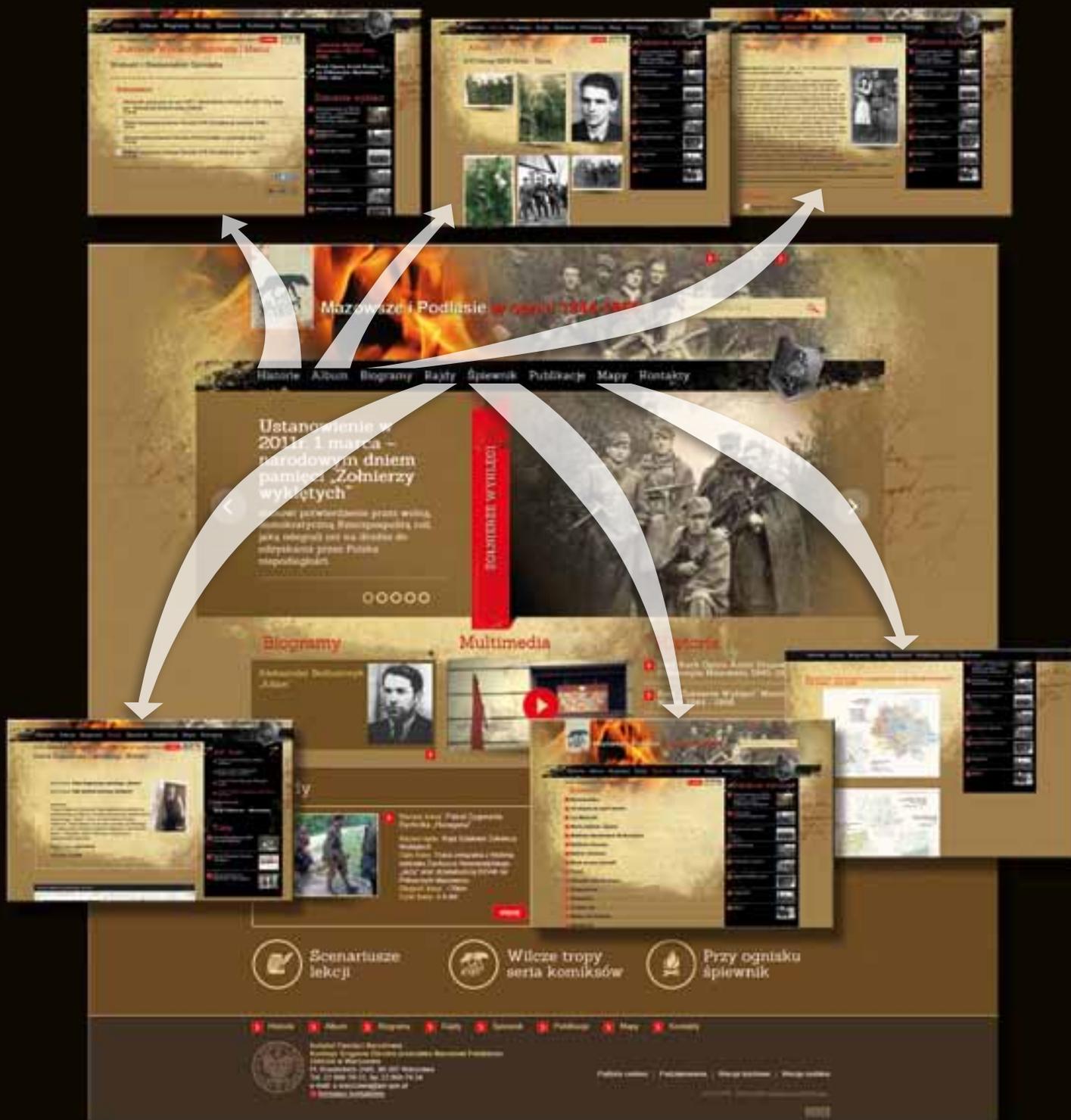
Instytut Pamięci Narodowej  
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7  
**Publikacje IPN można nabyć:**  
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki  
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa  
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,  
sobota w godz. 9:00–14:00, tel. 22 576 30 06

**Prenumerata „Pamięci.pl”**  
Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl) przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

**Sprzedaż wysyłkowa publikacji**  
zamówienia można składać telefonicznie:  
tel. 22 431 82 92, 22 431 82 88;  
22 431 82 89; faks 22 431 82 91  
pocztą zwykłą na adres Instytutu  
pocztą elektroniczną: [joanna.pamula@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pamula@ipn.gov.pl);  
[joanna.pszczola@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pszczola@ipn.gov.pl); [danuta.wierzman@ipn.gov.pl](mailto:danuta.wierzman@ipn.gov.pl)  
lub w księgarni internetowej: [www.ipn.poczytaj.pl](http://www.ipn.poczytaj.pl)

# PODĄŻAJ TROPEM WILCZYM

Zapraszamy na stronę internetową poświęconą podziemiu niepodległościowemu na Mazowszu i Podlasiu: [www.wilczetropy.ipn.gov.pl](http://www.wilczetropy.ipn.gov.pl)



[WWW.WILCZETROPY.IPN.GOV.PL](http://WWW.WILCZETROPY.IPN.GOV.PL)



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

Strona przygotowana przez Oddział Warszawski  
Instytutu Pamięi Narodowej